

Pierścień wokół słońca

Simak Clifford



calibre 0.9.43

PIERŚCIEN

WOKÓŁ SŁOŃCA

1

VICKERS WSTAŁ O POTEPIEŃCZO wczesnej, ze swego punktu widzenia, godzinie, i to tylko dlatego, że Ann zatelefonowała do niego poprzedniego wieczora i powiedziała, że chce, aby spotkał się z pewnym człowiekiem w Nowym Jorku.

Oczywiście próbował się wymigać.

- Wiem, że będziesz musiał zmienić swój rozkład dnia, Jay - odparła Ann - ale nie powinieneś przepuścić tego spotkania.

- Nie mogę, Ann - oponował dalej. - Właśnie piszę i całkiem nieźle mi idzie.

Nie mogę sobie pozwolić na przerwę.

- Ale to coś ważnego - twierdziła Ann - ważniejszego niż możesz sobie wyobrazić. Wybrali właśnie ciebie jako pierwszego pisarza, z którym będą rozmawiać. Wydaje im się, że jesteś właściwym człowiekiem do tego zadania.

- Reklama.

- Nie chodzi o reklamę. To coś zupełnie innego.

- Przestań już. Nie mam zamiaru z nikim się spotykać, niezależnie od tego, kim jest - odparł i odłożył słuchawkę.

Ale mimo to wstał teraz i właśnie robił sobie wczesne śniadanie, przygotowując się do podróży do Nowego Jorku.

Smażył jajecznicę na bekonie i opiekął tosty, starając się jednym okiem cały czas obserwować ekspres do kawy, który miewał swoje humory, kiedy nagle

rozległ się dzwonek u drzwi.

Okrył się szlafrokiem i poszedł otworzyć.

Mógł to być chłopiec z gazetą. Prawdopodobnie a tej parze krążył już po okolicy i widząc zapalone światło w kuchni, mógł tu zawitać.

Mógł to też być sąsiad, dziwny starszy człowiek o nazwisku Horton

Flanders, który przeprowadził się tutaj rok temu i od czasu do czasu wpadał na godzinkę w najmniej spodziewanych i odpowiednich momentach.

Uprzejmy starszy człowiek, z którym miło było pogawędzić, o dystyngowanym wyglądzie, w nieco może zakurzonym i nadgryzionym przez mole ubraniu.

Jednakże wolałby, żeby Flanders miał trochę bardziej ortodoksyjne zasady, jeśli chodzi o składanie wizyt.

Tak więc mógł to być albo chłopiec z gazetą, albo Flanders. Wydawało mu się raczej wątpliwe, żeby o tak wczesnej porze mógł pojawić się ktoś inny.

Otworzył drzwi i ujrzał małą dziewczynkę w wiśniowym szlafroku i puchatych kapciach w kształcie królika. Jej włosy były jeszcze splątane po nocy, ale oczy lśniły pełnym blaskiem, kiedy uśmiechała się mówiąc:

- Dzień dobry, panie Vickers. Obudziłam się i nie mogłam zasnąć, i wtedy zobaczyłam światło w kuchni i pomyślałam, że może pan jest chory.

- Nic mi nie jest, Jane - uśmiechnął się Vickers. - Właśnie robię sobie śniadanie. Może masz ochotę zjeść ze mną?

- Och, tak - odparła dziewczynka. - Miałam nadzieję, że może pan właśnie je i mnie zaprosi.

- Twoja mama nie wie, że tu jesteś, prawda?

- Mamusia i tatuś śpią - odpowiedziała Jane. - Dzisiaj tatuś nie pracuje, więc

położyli się wczoraj bardzo późno spać. Słyszałam, jak przyszli i mamusia mówiła tatusiowi, że za dużo wypił, i mówiła też, że już nigdy z nim nigdzie nie pójdzie, jeśli będzie tyle pić, a tatuś...

- Jane - przerwał jej Vickers ostro - wątpię, żeby mamusia i tatuś chcieli, abyś opowiadała takie rzeczy.

- O, im to wcale nie przeszkadza. Mamusia opowiada o tym przez cały czas.

Słyszałam, jak mówiła pani Traynor, że prawie już się zdecydowała na rozwód. Panie Vickers, co to jest rozwód?

- Nie wiem - stwierdził Vickers z zakłopotaniem. - Chyba nigdy jeszcze nie słyszałem tego słowa. Może jednak nie rozmawiajmy już o tym, co mówi twoja mamusia. Popatrz, twoje kaptcie są całe przemoczone od chodzenia po trawie.

- Rzeczywiście, na dworze jest dość mokro. Mamy strasznie mglisty poranek.

- Choć, weźmiemy ręcznik i osuszymy twoje nóżki, a potem zjemy śniadanie i zadzwonimy do mamy, żeby wiedziała, że jesteś tutaj.

Dziewczynka weszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Usiądź na tym krześle - rzekł. - Przyniosę jakiś ręcznik. Żebyś się tylko nie przeziębiła.

- Panie Vickers, pan nie ma żony, prawda?

- No cóż... Tak się składa, że nie.

- Prawie wszyscy mają żony - ciągnęła Jane. - Prawie wszyscy, których znam.

Dlaczego pan nie ma żony, panie Vickers?

- Cóż, właściwie nie wiem. Chyba nigdy nie znalazłem odpowiedniej dziewczyny.

- Jest dużo dziewczyn.

- Była kiedyś jedna dziewczyna - przypomniawsobie Vickers. - Dawno temu.

Minęło wiele lat od okresu, gdy pieczolowicie przechowywał jej obraz w sercu. Potem usilnie starał się wyrzucić ją z pamięci, ukryć przed samym sobą i więcej już o niej nie myśleć, a przynajmniej sprawić, by wspomnienia wydawały się odległe i mgliste.

Teraz jednak przeszłość wróciła ze zdwojoną siłą.

Była sobie raz dziewczyna, i była też zaczarowana dolina, którą razem szli, wiosenna dolina, dokładnie to pamiętał, z różowymi kwiatami dzikich jabłoni płonącymi na zboczach oraz śpiewem skowronka szybującego po niebie. W powietrzu czuło się wiosenny wietrzyk, który marszczył gładkie lustro wody i pochylał trawę tak, że łąka falowała niczym jezioro z bielejącymi grzbietami fal.

Szli doliną. Nie mieli wątpliwości, że jest zaczarowana, bo kiedy Vickers potem wrócił tam sam, doliny już nie było. No, może i była, ale na pewno nie taka sama. Tym razem była to już zupełnie inna dolina.

Szedł nią dwadzieścia lat temu i odtąd ukrywał bajkową wizję przed samym sobą, gdzieś w najgłębszych zakamarkach umysłu. A mimo to obraz powrócił teraz, świeży i tak wyraźny, jakby wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj.

- Panie Vickers - usłyszał nagle głos Jane. - Pana tosty chyba się palą.

2

KIEDY JANE WYSZŁA i umył naczynia, przypomniawsobie mu się, że co najmniej od tygodnia miał zadzwonić do Joe'ego w sprawie myszy.

- Mam myszy - oznajmił Vickers.

- Co masz?

- Myszy - powtórzył Vickers. - Takie małe zwierzątka. Biegają po całym domu.

- Dziwne. - Joe uśmiechnął się do słuchawki. - W takim domu jak twój nie powinno być ani jednej myszy. Chcesz, żebym przyjechał i pozbył się ich?

- Chyba będziesz musiał. Próbowałem już pułapek, ale one nie dają się złapać na sztuczkę z serem. Miałem wcześniej kota, ale dał dyla. Był tu zaledwie przez dzień albo dwa.

- Ciekawe. Koty zazwyczaj lubią miejsca, gdzie mogą łapać myszy.

- Ale ten kot miał świra - wyjaśnił Vickers. - Zachowywał się jak nawiedzony. Bał się własnego cienia.

- Koty to ciekawe zwierzęta - zauważył Joe.

- Jadę dziś do miasta. Może mógłbyś to załatwić, kiedy mnie nie będzie?

- Pewnie - odparł Joe. - Tępienie szkodników w obecnych czasach to szybka robota. Będę koło dziesiątej.

- Zostawię otwarte drzwi frontowe - dodał Vickers.

Odłożył słuchawkę i zabrał gazetę z werandy. Położył ją na stole i sięgnął po maszynopis. Przez chwilę sprawdzał jego grubość i wagę, tak jakby w ten sposób chciał upewnić się, że trzymane w ręku dzieło jest dobre, że nie zmarnował cennego czasu. Miał nadzieję, że opowiada o wszystkim, co chciał opowiedzieć w taki sposób, że inni ludzie czytając słowa zrozumieją myśl, która kryje się pod czarnym drukiem.

Naprawdę nie miał ani chwili do stracenia. Powinien zostać w domu i popracować. Nie wolno mu włączyć się nie wiadomo gdzie i spotykać się z

człowiekiem zachwalanym przez jego agentkę. Ale Ann nalegała i twierdziła, że sprawa jest ważna. Nawet kiedy powiedział, że jego samochód znajduje się w warsztacie i czeka na naprawę, nadal się upierała. Oczywiście historia z samochodem była zmyślona, bo dobrze wiedział, że Eb na czas przygotowałby go do podróży.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma tylko pół godziny do otwarcia warsztatu Eba i nie warto już brać się za pisanie.

Wziął gazetę i wyszedł na podwórko, żeby przeczytać wiadomości.

Myślał o małej Jane, o tym, jakim jest miłym dzieckiem i jak jej smakowało jedzenie, które dla niej przygotował oraz jak im się razem miło gawędziło.

Jane spytała, dlaczego nie jest żonaty.

A on odpowiedział: "Była kiedyś pewna dziewczyna. Dawno temu."

Nazywała się Kathleen Preston i mieszkała w dużym, ceglanym domu na wzgórzu, podpartym kolumnami, z szeroką werandą i półkolistymi świetlikami nad drzwiami. Dom był stary i został zbudowany przez pierwszą falę optymistycznych pionierów, kiedy kraj był jeszcze bardzo młody. Tkwił niczym bastion, a tymczasem ziemia poddała się i odpadała całymi kawałami, wyłobienia zaś odsłoniły żółtą glinę na stokach.

Jay był wtedy młody, tak młody, że gdy teraz się nad tym zastanawiał, czuł ból serca. Jego młody umysł nie mógł pojąć, że dziewczyna, która mieszka w starym, odziedziczonym po przodkach domu z półkolistymi świetlikami nad drzwiami i podtrzymywanym filarami portykiem nie chce brać poważnie chłopca, którego ojciec miał starą farmę, gdzie kukurydza rosła z przymusu i na dodatek w niewielkich ilościach. A może to jej rodzina nie chciała go brać

poważnie, bo dziewczyna również była zbyt młoda i niedoświadczona. Być może klóciła się ze swoimi rodzicami, być może padały gorzkie słowa i lały się łzy. Tego nie mógł wiedzieć. W każdym razie natychmiast po spacerze w dolinie dziewczyna została wyekspediowana do jakiejś szkoły z internatem na wschodzie Stanów i już nigdy jej nie zobaczył.

Poszedł raz jeszcze do bajkowej doliny starając się odnaleźć to coś, co przywróciłoby zauroczenie, jakiego doświadczył owego dnia, kiedy była przy nim. Ale z dzikich jabłoni spadły już liście, a skowronek nie śpiewał już tak pięknie. Dawne zauroczenie nigdy nie powróciło. Cała magia odeszła razem z dziewczyną.

Gazeta wypadła mu z ręki i schylił się, żeby ją podnieść. Rozkładając ją zauważył, że wiadomości były takie jak co dzień.

Zimna wojna trwała od dawna i wszystko wskazywało, że potrwa jeszcze co najmniej tyle samo. W ciągu ostatnich czterdziestu lat pojawiał się kryzys za kryzysem, słyszało się ciągle plotki, ludziom wmawiano, że są już o krok od otwartego konfliktu zbrojnego, który nigdy nie wybuchł, aż w końcu wszyscy przyzwyczaili się do codziennego zagrożenia i przestali się nim przejmować.

Ktoś gdzieś na jakimś zapadłym uniwersytecie w stanie Georgia ustanowił nowy rekord w wypijaniu surowych jaj, wielka gwiazda kina zmieniała mężów jak rękawiczki, a robotnicy grozili strajkiem.

W gazecie znajdował się również dość długi artykuł na temat osób zaginionych. Przeczytał go do połowy. Wyglądało na to, że znika coraz większa ilość osób, przy czym najbardziej tajemnicze było to, że przeważnie wchodziły w grę całe rodziny. Policja w całym kraju gorączkowo próbowała działać.

Zawsze oczywiście byli jacyś ludzie, którzy znikali, twierdził artykuł, ale z reguły rzecz dotyczyła pojedynczych osób. Teraz z jednego miasteczka znikaly dwie lub trzy rodziny i nie pozostawialy po sobie zadnego sladu. Zazwyczaj byli to ludzie z nizszych klas spolecznych. W przeszlosci, kiedy ktos zaginal, natychmiast znajdowano jakis powod, ale w przypadku tych grupowych znikniec nie odnaleziono zadnych wspolnych elementow oprócz tego, że rodziny byly biedne. Dlaczego jednak bieda mialaby spowodowac czyjes znikniecie, tego autor artykulu ani osoby przez niego pytane nie potrafili powiedziec.

Kolejny naglowek brzmial: UCZONY TWIERDZI, ZE ISTNIEJE WIĘCEJ WSZECHŚWIATÓW NIŻ JEDEN.

Przeczytal urywek:

BOSTON, STAN MASSACHUSETTS. (AP) Jest prawdopodobne, że przesunięta o jedną sekundę w czasie przed nami, istnieje bliźniacza Ziemia, a inny świat sekundę za nią, sekundę dalej następny i następny.

Jest to rodzaj nieskończonego łańcucha światów, które, rozciągnięte w czasie, znajdują się jeden "przy" drugim.

Taką teorię wysunął dr Vincent Aldridge...

Vickers pozwolił gazecie zsunąć się na schody werandy i siedział rozglądając się po ogrodzie pełnym kwiatów i przygrzewającego słońca. W okolicy panowała cisza, tak jakby ogród był na końcu świata i nie istniało nic poza nim. Cisza składała się z wielu elementów, złotych promieni słonecznych, szelestu letnich liści unoszonych wiatrem, ptaków, kwiatów, zegara słonecznego, drewnianego płotu ze sztachetami, który wymagał

odnowienia oraz starej sosny, umierającej cicho i spokojnie, bez pośpiechu, będącej za pan brat z trawą, kwiatami i innymi drzewami.

Tutaj nie było plotek ani zagrożeń. Tutaj w sposób naturalny, oczywisty, akceptowało się fakt, że czas ucieka, że po lecie nadchodzi zima, że po nocy nastaje dzień, a życie, którym każdy z nas dysponuje, jest raczej bezcennym darem niż prawem, o które człowiek musi walczyć z innymi żyjącymi istotami. Vickers spojrzął na zegarek i stwierdził, że już czas ruszać w drogę.

3

EB, MECHANIK SAMOCHODOWY, podciągnął swoje umazane smarem spodnie i wpatrywał się w niego przez chmurę dymu z papierosa, który tkwił w kąciku usmolonych ust.

- Wiesz, jak to jest, Jay - tłumaczył się. - Nie naprawiłem twojego samochodu.

- Miałem jechać do miasta - powiedział Vickers - ale jeśli mój samochód nie jest naprawiony...

- Nie będziesz już potrzebować tego samochodu. Właściwie chyba właśnie dlatego go nie naprawiłem. Powiedziałem sobie, że to czysta strata pieniędzy.

- Nie jest z nim tak źle - zaprotestował Vickers. - Może wygląda na zdezelowany, ale przejedzie jeszcze wiele setek kilometrów.

- On już ma na liczniku setki kilometrów. Ale na pewno i tak kupisz ten nowy samochód Forever.

- Forever? Wieczny? - powtórzył Vickers. - Co za dziwna nazwa dla samochodu.

- Nie, wcale nie jest dziwna - uparł się Eb. - Ten samochód naprawdę jest

wieczny. Dlatego właśnie nazwali go Forever, bo będzie jeździł przez wieczność. Wczoraj był tu mój kumpel, opowiedział mi o nim i spytał, czy nie wziąłbym jednego, a ja powiedziałem mu, że pewnie, a ten kumpel odpowiedział, że dobrze robię, bo już wkrótce nie będą sprzedawać żadnych innych marek, tylko tę.

- Zaraz, zaraz - powstrzymał go Vickers. - Może i nazywa się Forever, ale na pewno nie będzie jeździł przez wieczność. Nie istnieją niezniszczalne samochody. Może pojeździ dwadzieścia lat, może nawet tak długo, jak będzie żyć jego właściciel, ale na pewno nie wiecznie.

- Jay - tłumaczył mu Eb - posłuchaj tylko, co ten facet mi powiedział. "Niech pan kupi jeden", mówił, "i korzystaj z niego całe swoje życie. Jak pan będzie umierał, niech go pan przekazuje synowi. Jak on będzie umierał, też przekazuje go swojemu synowi i tak dalej." Ten samochód ma gwarancję, która mówi, że będzie działał wiecznie. Jak coś się zepsuje, natychmiast zostanie naprawione albo wymienią go na nowy. Tylko opony nie są objęte gwarancją. Opony musisz kupować sam, bo wiadomo, zużywają się tak jak w każdym innym samochodzie. Aha, i lakier też. To znaczy lakier ma gwarancję na dziesięć lat. Jeśli zejdzie wcześniej, muszą ci za darmo nałożyć nowy.

- No może, chociaż szczerze w to wątpię - pokręcił głową Vickers. - Pewnie, że można skonstruować samochód, który będzie o wiele trwalszy niż te, które sprzedają dzisiaj. Ale przecież gdyby samochody były zbyt trwałe, nie trzeba by kupować nowych. Kto chciałby produkować samochody, które będą działać wiecznie, w ten sposób skazałby się na bankructwo. A poza tym taki samochód za dużo by kosztował...

- I tu się właśnie mylisz - przerwał mu Eb. - Kosztuje tylko tysiąc pięćset zielonych. Nie musisz dokupywać żadnych dodatkowych akcesoriów ani bajerów. Wszystko jest wliczone w cenę.

- W takim razie nie wygląda chyba najlepiej.

- To najbardziej elegancki wóz, jaki kiedykolwiek widziałeś. Facet, który tu był; przyjechał takim, a ja dobrze mu się przyjrzałem. Możesz wybrać sobie dowolny kolor. Pełno chromowanych części, a blacha jest z nierdzewnej stali. Wszystkie najnowsze rozwiązania techniczne. A silnik... człowieku, ten wóz prowadzi się jak złoto. Chociaż trzeba się pewnie do niego trochę przyzwyczaić. Chciałem podnieść klapę silnika, żeby mu się lepiej przyjrzeć i wiesz co? Kłapa się nie otwiera. "Co pan tam robi?" pyta mnie ten facet. No to mu mówię, że chciałem obejrzeć silnik. A on mi na to, że nie ma takiej potrzeby, bo on się nigdy nie psuje. "Ale gdzie w takim razie nalewa się oleju?" pytam go, i wiesz co on mi na to? "No cóż, po prostu się nie nalewa. Wystarczy benzyna." Jutro albo pojutrze będę tu miał kilkanaście tych cacek i lepiej mnie uproś, żebym ci jedno zostawił - dodał Eb.

Vickers pokiwał głową.

- Cienko u mnie z gotówką.

- A propos gotówki. Ta firma odkupuje w zamian stare samochody. I co najważniejsze, dają za nie dużo pieniędzy. Myślę, że za twój mogę ci dać tysiąc.

- Przecież wiesz, że nie jest tyle wart.

- Nie szkodzi. Ten facet powiedział: "Niech pan im daje więcej niż zazwyczaj.

Niech się pan o nic nie martwi. Już my się z panem odpowiednio rozliczymy.

Na pewno pan na tym nie straci." Nie jest to chyba właściwy sposób robienia interesów, ale jeśli tak chcą, to ja się nie będę sprzeciwiać.

- Zastanowię się.

- Musiałbyś wtedy dopłacić pięćset zielonych. Ale mogę wszystko jeszcze bardziej uprościć. Ten facet mówił, żeby pomagać kupującym. Że nie interesuje ich w tym momencie tak bardzo forsa, tylko żeby parę z tych aut znalazło się wreszcie na drogach.

- Coś mi się to wszystko nie podoba - zaprotestował Vickers. - W ciągu jednego dnia pojawia się bez żadnych zapowiedzi jakaś nieznana firma i ogłasza sprzedaż nowego samochodu. Chyba powinni byli wcześniej zamieścić jakieś ogłoszenia w prasie? Gdybym to ja wypuszczał na rynek nowy samochód, cały kraj wiedziałby o tym... wielkie reklamy w gazetach, ogłoszenia w telewizji, billboardy co kilometr i tak dalej.

- Wiesz co? - ciągnął Eb. - Też o tym pomyślałem. Mówię mu: "Słuchaj pan, mam sprzedawać ten samochód, ale niby jak właściwie mam to robić, jeśli wy go w ogóle nie reklamujecie? Jak go mogę sprzedawać, skoro nikt nawet nie wie, że on istnieje?" A facet odpowiedział, że samochód jest tak rewelacyjny, że każdy będzie przekazywać znajomym informację o nim. Powiedział też, że nie ma takiej reklamy, która pobilaby pocztę pantoflową. A oni wolą zaoszczędzić pieniądze i w ten sposób obniżyć cenę samochodu. Przecież konsument nie powinien płacić za koszty kampanii reklamowej.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Rzeczywiście, to wszystko jest aż za piękne, żeby mogło być prawdziwe - przyznał Eb. - Firma, która produkuje samochody, na pewno nie traci na tym

pieniędzy. Przecież musieliby być wariatami. A jeśli nie tracą, dopiero teraz można zobaczyć, ile zarabiała dotąd wszystkie inne firmy samochodowe. Dwa czy trzy tysiące za kupę złomu, która rozpada się po pierwszej jeździe. Aż mnie ciarki przechodzą, kiedy pomyślę, jaką forszę na tym zbili.

- Jak dostarczą ci auta, przyjdę na nie rzucić okiem stwierdził Vickers. -

Może rzeczywiście kupię sobie taki.

- Nie ma sprawy - zgodził się Eb. - Mówiłeś chyba, że jedziesz do miasta?

Vickers potaknął ruchem głowy.

- Zaraz powinien przyjechać autobus - oznajmił Eb. Złapiesz go na rogu. Za parę godzin będziesz na miejscu. Ci kierowcy potrafią docisnąć gaz do dechy.

- Rzeczywiście, mogę pojechać autobusem. Dziwne, że o tym nie pomyślałem.

- Przykro mi z powodu samochodu - dodał jeszcze Eb. Gdybym wiedział, że będzie ci potrzebny, naprawiłbym go. Nie ma z nim wiele roboty. Ale chciałem zobaczyć, co powiesz o nowym samochodzie, zanim przedstawię ci rachunek za naprawę twojego starego.

Róg ulicy przy sklepie perfumeryjnym wyglądał dziwnie nieznajomo, a Vickers idąc w jego kierunku zastanawiał się dlaczego. Kiedy jednak się zbliżył, zobaczył, co było w nim takiego niezwykłego.

Parę tygodni wcześniej stary Hans, szewc, położył się do łóżka i umarł.

Zakład szewski, który znajdował się obok sklepu perfumeryjnego od niepamiętnych czasów, został więc zamknięty.

Teraz był ponownie otwarty, a w każdym razie okno wystawowe zostało umyte. Stary Hans przez te wszystkie lata nigdy nie pomyślał, że można umyć

okno. Teraz lśniło czystością, a za nim znajdowała się dekoracja. Była tam też wywieszka. Vickersa tak bardzo zaintrygowało czyste okno, że zauważył wywieszkę dopiero w momencie, gdy stanął wprost przed wystawą: Na kawałku kartonu widniały nowe i pięknie wykaligrafowane litery, które oznajmiały: **SKLEP 1001 DROBIAZGÓW.**

Vickers podszedł do okna, żeby zajrzeć, co jest w środku. Po drugiej stronie okna leżał pas czarnego aksamitu, na którym ustawiono trzy przedmioty: zapalniczkę, maszynkę do golenia i żarówkę. Tylko tyle.

Tylko te trzy przedmioty. Nie było przy nich żadnych znaków, reklam ani cen. Bo przecież nie istniała taka potrzeba. Vickers wiedział, że każdy, kto spojrzy na to okno, rozpozna wystawione przedmioty, chociaż z pewnością nie były one jedynymi sprzedawanymi w sklepie. Pewnie oferowano tam całe mnóstwo innych bibelotów, spośród których każdy był równie łatwo rozpoznawalny i wiele mówiący jak te trzy, które spoczywały na kawałku aksamitu.

Vickers usłyszał za sobą odgłos kroków i obrócił się. Był to jego sąsiad, Horton Flanders, który właśnie wyszedł na poranny spacer w swoim lekko podniszczonym, dobrze wyprasowanym ubraniu, z piękną trzciniową laską. Nikt inny, pomyślał Vickers, nie wpadłby na pomysł używania laski na ulicach Cliffwood.

Pan Flanders uklonił się i również stanął przy witrynie. - Więc otwierają nowy sklep - zaczął rozmowę.

- Najwyraźniej - zgodził się Vickers.

- Cóż za przedziwna reklama - zauważył Flanders. Może pan wie, chociaż

raczej wątplię, że od pewnego czasu interesuję się tą firmą. Tak tylko, ze zwykłej ciekawości. Jestem również ciekaw wielu innych rzeczy.

- Zauważyłem - rzucił Vickers.

- O tak - ciągnął Flanders. - Wielu innych rzeczy. Na przykład węglowodanów. Cóż za intrygujące związki, nie uważa pan, panie Vickers?

- Nie zastanawiałem się nad tym ostatnio. Byłem tak zajęty, że...

- Coś się dzieje - przerwał mu Flanders. - Mówię panu, coś się dzieje.

Ulicą nadjechał autobus, minął ich i zatrzymał się przy sklepie perfumeryjnym.

- Obawiam się, że będę musiał pana pożegnać, panie Flanders - rzekł Vickers. - Jadę do miasta. Jeśli wrócę przed wieczorem, to proszę do mnie wpaść.

- Bardzo chętnie - zgodził się Flanders. - Prawie zawsze korzystam z pańskich zaproszeń.

4

NAJPIERW POJAWIŁA SIĘ maszynka do golenia. Maszynka, która nigdy się nie tępiła. Potem zaś zapalniczka, która nigdy nie przestawała działać, nie potrzebowała kamieni i nie musiała być co jakiś czas napełniana gazem.

Następnie żarówka, która świeciła w nieskończoność, o ile oczywiście nie przytrafił się jej wcześniej jakiś wypadek. Teraz wymyślili wieczny samochód.

Gdzieś tam pewnie mają w zanadrzu syntetyczne węglowodany.

"Coś się dzieje", powiedział mu Flanders przed sklepem starego Hansa.

Vickers siedział na swoim miejscu przy oknie, na końcu autobusu i starał się uporządkować myśli.

Między tymi pięcioma rzeczami: maszynką do golenia, zapalniczką, żarówką, syntetycznymi węglowodanami i wiecznym samochodem musi istnieć jakiś tajemniczy związek. Dlaczego właśnie one, a nie na przykład rolety, jo jo, samolot czy pasta do zębów, zostały ulepszone? Maszynka służyła człowiekowi do golenia, żarówka oświetlała mu drogę, zapalniczka przypalała mu papierosa, a węglowodany zażegnały niejedną kryzys międzynarodowy i ocaliły miliony ludzi od śmierci głodowej lub wojny.

"Coś się dzieje", powiedział Flanders, stojąc w swoim schludnym, acz wytartym ubraniu, ze śmieszną laseczką w ręku, która, jeśli się dobrze zastanović, nie była wcale śmieszna, kiedy Flanders ją trzymał.

Samochód Forever miał jeździć w nieskończoność, nie potrzebował oleju silnikowego, a kiedy się umierało, można go było przekazać synowi, który odchodząc mógł go z kolei przekazać swemu potomkowi. W ten sposób, jeśli twój pra-pra-pradziadek kupił taki samochód, a ty jesteś najstarszym synem najstarszego syna najstarszego syna, to z pewnością też go będziesz miał.

Jeden samochód ku wygodzie całych pokoleń.

Ale to jeszcze nie wszystko. W ciągu roku splajtują wszystkie firmy produkujące samochody. Zostaną też zamknięte warsztaty i garaże samochodowe. Będzie to ogromny cios dla przemysłu metalowego, producentów szkła i tworzyw sztucznych, a może także dla wielu innych gałęzi przemysłu.

Wydawało się, że maszynka do golenia, żarówka ani zapalniczka nie są istotne, ale teraz wszystko nabierało nowego znaczenia. Tysiące ludzi straci posady. Przyjdą do domu i patrząc na swe rodziny powiedzą: "No cóż, to by

było na tyle. Po tylu latach nie mam już nic do roboty."

Rodzina w ponurej ciszy rozejdzie się do swoich codziennych zajęć. Nad ich głowami zawiśnie ponury cień. Mężczyzna zaś wykupi w kiosku wszystkie gazety i zacznie przeglądać ogłoszenia o pracy. Potem wyjdzie i zacznie się przechadzać ulicami, a mijający go znajomi będą z dezaprobatą potrząsać głowami na jego widok.

W końcu mężczyzna dotrze do jednego z tych miejsc, nad którymi zawieszono tabliczkę WĘGLOWODANY, SP. Z O.O. Zawstydzony wejdzie do środka z wyrazem twarzy sumiennego pracownika, który nie może znaleźć posady i powie: "Trochę mi się ostatnio nie wiedzie. Brakuje pieniędzy.

Zastanawiałem się...

Człowiek stojący za ladą odpowie: "Doskonale pana rozumiem, jak liczna jest pańska rodzina?" Mężczyzna rzuci liczbę, a ten, który będzie stał za ladą, napisze coś na kartce papieru i wręczy mu ją. "Teraz do tamtego okienka", wskaże palcem. "Myślę, że to wystarczy do końca tygodnia, jeśli nie, proszę się nie krępować i wpaść wcześniej."

Mężczyzna weźmie kartkę papieru i zacznie dziękować, ale człowiek za ladą zauważy: "Nie ma za co, przecież jesteśmy właśnie po to, żeby pomagać ludziom takim jak pan."

Mężczyzna podejdzie do okienka, a człowiek po drugiej stronie spojrzy na kawałek papieru i poda mu parę paczek. W jednej paczce znajdować się będzie mieszanka syntetyczna o smaku ziemniaków, w innej - o smaku chleba, a w jeszcze innej - odpowiednik fasolki albo kukurydzy.

Tak się już zdarzało i tak dzieje się cały czas.

Nie było to jednak nic w rodzaju pomocy społecznej. Ludzie od węglowodanów nigdy nie obrażali nikogo, kto do nich przychodził. Traktowali cię jak klienta, który płaci za siebie i zawsze powtarzali, żeby przyjść, kiedy się chce. Czasami, gdy nie przychodziłeś, sami się pojawiali, żeby sprawdzić, co się stało. Może dostałeś pracę albo wstydzili się przyjść do nich jeszcze raz. Jeśli okazywało się, że się wstydzisz, siadali obok ciebie i zaczęli cię przekonywać. Zanim wyszli, byłeś już zupełnie pewien, że biorąc od nich węglowodany pozbawiasz ich wielkiego ciężaru, który dźwigają na swych barkach.

Dzięki węglowodanom miliony ludzi w Indiach i Chinach, którzy dawno by zmarli, nadal żyją. Teraz tysiące tych, którzy tracą swe posady, gdy zbankrutują firmy samochodowe, huty i warsztaty obsługowe, podążą tą samą drogą do drzwi z napisem WIGLOWODANY.

Przemysł samochodowy straci rację bytu. Nikt przecież nie kupi innego samochodu, jeśli dostępny będzie taki, który jeździ wiecznie. Tak samo przemysł wytwarzający maszynki do golenia zamyka już swoje podwoje, ponieważ w dowolnym sklepie można znaleźć nie tępiące się maszynki. To samo działo się z żarówkami i zapalniczkami, a istniało dość poważne prawdopodobieństwo, że wieczny samochód nie jest ostatnią nowinką, którą wprowadzą na rynek zapaleni innowatorzy.

Bo chyba byli to ciągle ci sami ludzie. Ci, którzy wymyślili niestępalne maszynki do golenia, nie wymagające kamieni i gazu zapalniczki oraz nieskończenie długo świecące żarówki, a którzy teraz zabrali się za wieczny samochód. Może nie są to te same firmy, chociaż nikt nigdy nie zadał sobie

trudu, żeby to sprawdzić.

Autobus powoli się zapelniał, a Vickers nadal siedział sobie przy oknie i rozmyślał.

Tuż za nim zajęły miejsca dwie kobiety, które cały czas rozmawiały i Vickers chcąc nie chcąc przysłuchiwał się ich konwersacji.

Jedna z nich roześmiała się i powiedziała:

- Ależ mamy interesującą grupę. Tylu ciekawych ludzi. A druga dodała:

- Zastanawiałam się, czy nie powinnam dołączyć do jednej z takich grup, ale

Chanie mówi, że to wszystko bzdura. Mówi, że żyjemy w Ameryce w roku 1977

i nie ma powodu, żebyśmy mieli udawać, że tak nie jest. Mówi, że to najlepszy

kraj na świecie i najlepszy czas, w którym przyszło nam żyć. Mówi, że mamy

wszystkie nowoczesne udogodnienia. Jesteśmy bardziej szczęśliwi niż ludzie,

którzy żyli kiedykolwiek wcześniej. Mówi, że cała ta heca z wojną to nic innego

tylko komunistyczna propaganda i chciałby dostać w swoje ręce tych, którzy

to wszystko rozpętali. Mówi też...

- O, nie wiem - przerwała jej pierwsza. - Przecież to całkiem niezła zabawa.

Oczywiście, trzeba się przy tym nieźle napracować, dużo czytać o dawnych

czasach i w ogóle, ale przecież coś się z tego wynosi. Jeden pan mówił na

spotkaniu, że pewnego dnia cała praca, którą w to włożyliśmy, zaowocuje, i

chyba ma rację. Ale ja jakoś nie mogę się do tego przekonać. To wszystko

przez mój słomiany zapal. Nie lubię też zbytnio czytać książek i nie jestem

najbardziej inteligentna, więc trzeba mi dużo tłumaczyć. Ale są tacy, którzy

poświęcają temu mnóstwo czasu. W naszej grupie jest na przykład mężczyzna,

który udaje, że mieszka w Londynie, w czasach jakiegoś Sama Pepisa. Nie

mam pojęcia, kim był ten Pepis, ale to chyba jakaś ważna figura. Słuchaj,

Gladys, a może ty wiesz, kim był Pepis?

- Pojęcia nie mam - odparła Gladys.

- No cóż, tak czy inaczej - kontynuowała jej rozmówczyni - on cały czas opowiada nam o tym Pepisie. Napisał na przykład książkę, to znaczy ten Pepis, i musiała być chyba strasznie gruba, bo opisuje tyle różnych rzeczy. Ten pan, o którym ci opowiadam, też pisze najwspanialszy pamiętnik na świecie. Zawsze bardzo lubimy, kiedy nam go czyta. Brzmi to zupełnie tak, jakby on rzeczywiście tam żył.

Autobus zatrzymał się na przejeździe kolejowym i Vickers spojrzął na zegarek. Za jakieś pół godziny dojadą do miasta. To czysta strata czasu.

Niezależnie od tego, co Ann miała w zanadrzu, była to strata czasu, bo nie zamierzał pozwalać sobie na przerwy w pisaniu. Nie powinien tracić ani jednego dnia.

Za jego plecami Gladys mówiła:

- Słyszałaś o tych nowych domach, które stawiają? Rozmawiałam o tym parę dni temu z Charliem i doszliśmy do wniosku, że może warto by było rzucić na nie okiem. Nasz dom wymaga remontu, trzeba by pomalować ściany i podreperować dach, ale Charlie mówi, że te domki to jakiś niezły numer.

Twierdzi, że nikt nie sprzedawałby takich domów za taką cenę, gdyby nie krył się w tym wszystkim jakiś haczyk. Charlie mówi, że jest za stary, żeby się na coś takiego nabrać. Mabel, widziałaś któryś z tych domów albo czytałaś coś o nich?

- Mówię ci - upierała się Mabel. - Ta grupa, do której należę, to coś

naprawdę wspaniałego. Jest tam taki jeden, który udaje, że żyje w przyszłości.

No powiedz, czy to nie jest zabawne? Wyobraź sobie kogoś, kto udaje, że żyje w przyszłości...

5

ANN CARTER ZATRZYMAŁA się przed drzwiami i powiedziała:

- Proszę cię Jay, pamiętaj, że nazywa się Crawford. Nie nazywaj go Cranford ani Crawham, ani w żaden inny sposób, tylko Crawford.

- Zrobię co w mojej mocy - odparł pokornie Vickers. Podeszła do niego, poprawiła krawat, a następnie strzepnęła z niego jakiś wymaginywany pyłek.

- Jak tylko skończymy, idziemy kupić ci nowy garnitur stwierdziła.

- Mam garnitur - zauważył Vickers.

Litery na drzwiach tworzyły napis: PÓLNOCNOAMERYKAŃSKIE BIURO BADAŃ.

- Nie rozumiem tylko - zaprotestował Vickers - co Północnoamerykańskie Biuro Badań i ja mamy ze sobą wspólnego. - Pieniądze - odpowiedziała Ann. - Oni je mają, a ty ich potrzebujesz.

Otworzyła drzwi, a Vickers posłusznie podążył za nią, zastanawiając się nad tym, jak piękną i energiczną kobietą jest Ann. Zbyt energiczną. Wiedziała stanowczo za dużo. Znała książki i wydawców, wiedziała czego potrzebują ludzie i w każdej dziedzinie była na bieżąco. Wodziła za nos wszystkich, którzy się wokół niej obracali. Nigdy nie była tak szczęśliwa jak w chwilach, gdy dzwoniły jednocześnie trzy telefony, na biurku leżała sterta listów, na które musiała pilnie odpowiedzieć, a w kolejce czekały również nie cierpiące zwłoki telefony, które powinna była natychmiast wykonać. Zmusiła go dzisiaj do

przyjścia i nie wykluczone, że zmusiła również Północnoamerykańskie Biuro Badań do przyjęcia go.

- Panno Carter - rzekła dziewczyna za biurkiem - może pani wejść. Pan Crawford czeka na panią.

Potrafi nawet przekonać do siebie sekretarkę, pomyślał Vickers.

6

GEORGE CRAWFORD BYŁ wielkim mężczyzną, który ledwo mieścił się w fotelu, na którym siedział. Ręce założył sobie na wydatnym brzuchu i mówił jednostajnym tonem nie wyrażającym absolutnie żadnych uczuć. Był najbardziej flegmatycznym człowiekiem, jakiego Vickers kiedykolwiek widział. Nie poruszał się przy tym ani odrobinę. Siedział wielki i nieruchomy, a jego usta ledwo się poruszały, kiedy mówił głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Czytałem niektóre z pańskich utworów, panie Vickers rzekł. - Jestem pod wrażeniem.

- Miło mi - odpowiedział Vickers. - Jeszcze trzy lata temu nigdy bym nie pomyślał, że kiedykolwiek przeczytam jakąś powieść, ani tym bardziej, że będę rozmawiał z jej autorem. Teraz jednak uważam, że potrzebujemy człowieka takiego jak pan. Omówiłem to z moimi dyrektorami i wszyscy zgodziliśmy się, że jest pan właściwą osobą, która może wykonać powierzone przez nas zadanie.

Na chwilę zamilkł i przypatrywał się Vickersowi jasnoniebieskimi oczyma, głęboko schowanymi w fałdach tłuszczu.

- Panna Carter powiedziała mi - kontynuował po chwili - że w tej chwili jest

pan bardzo zajęty.

- Zgadza się.

- Rozumiem, że ma pan na głowie jakąś ważną pracę rzucił Crawford.

- Mam taką nadzieję.

- Jednakże to, o czym mówimy, byłoby znacznie ważniejsze.

- To już kwestia punktu widzenia - zauważył Vickers.

- Nie lubi mnie pan, panie Vickers - skostatował Crawford. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, co bardzo zirytowało Vickersa.

- Nic do pana nie mam - odparł. - Interesuje mnie tylko to, co ma mi pan do zaproponowania.

- Zanim jednak będziemy kontynuować - ciągnął Crawford - chciałbym, żeby pan zrozumiał, iż to co panu powiem, nie powinno opuścić tego pokoju.

- Panie Crawford - powiedział Vickers - nie interesują mnie niczyje brudy.

- To nie są niczyje brudy - odparł Crawford, a w jego głosie po raz pierwszy pojawił się odcień irytacji. - To problemy świata, który został przyparty do muru.

Vickers przyjrzał mu się zaskoczony. Mój Boże, pomyślał, ten facet chyba naprawdę mówi poważnie. On rzeczywiście uważa, że świat został przyparty do muru.

- Być może - ciągnął Crawford - słyszał pan już o wiecznym samochodzie.

Vickers skinął głową.

- Właściciel warsztatu samochodowego w moim miasteczku starał się sprzedać mi taki dziś rano.

- Oraz o wiecznych maszynkach do golenia, zapalniczkach i żarówkach?

- Mam taką maszynkę - zauważył Vickers - nigdy nie miałem lepszej. Wątpię, żeby była wieczna, ale rzeczywiście jest świetna i jak dotąd nie stępiła się jeszcze ani trochę. Kiedy się zużyje, kupię sobie nową.

- Jeśli jej pan nie zgubi, wcale nie będzie pan musiał wymieniać jej na nową.

Dlatego panie Vickers, że to rzeczywiście jest wieczna maszynka, a samochód rzeczywiście jest wiecznym samochodem. Może słyszał pan też o domach?

- Prawdę mówiąc, niewiele.

- Domy składają się z prefabrykowanych ścian - wyjaśnił Crawford. -

Sprzedawane są w cenie pięciuset dolarów za pokój. Może pan w zamian oddać swój dotychczasowy dom za fantastyczną cenę. Poza tym przepisy kredytowe producenta są bardzo liberalne, o wiele bardziej liberalne niż wszelkie, które jakakolwiek zdrowo myśląca instytucja finansowa mogłaby kiedykolwiek określić, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Domy są ogrzewane i posiadają klimatyzację pracującą dzięki baterii słonecznej, która swoją wydajnością znacznie przewyższa wszystkie najnowsze osiągnięcia techniczne w tej dziedzinie. Jest też wiele innych zalet, ale już te wystarczą, żeby dać panu jakie takie pojęcie.

- Brzmi zachęcająco. Już od wielu lat mówi się o tanich mieszkaniach. Może wreszcie skończy się puste gadanie.

- To rzeczywiście dobry pomysł - zgodził się Crawford i byłbym ostatnim, który chciałby temu przeczyć. Trzeba tylko pamiętać, że w ten sposób ludzie pracujący w elektrowniach stracą pracę. Bateria słoneczna zapewnia ogrzewanie, światło, energię elektryczną. Jeśli kupi pan sobie taki dom, nie będzie pan musiał korzystać z podłączenia do sieci elektrycznej. W ten sposób

tysiące stolarzy, murarzy i malarzy straci pracę i ustawi się w kolejce po syntetyczną żywność. Przez to wszystko załamać się może cały przemysł drzewny.

- Rozumiem pańskie obawy co do elektrowni - odparł Vickers - ale jeśli chodzi o stolarzy i przemysł drzewny, myślę, że chyba pan przesadził. Przecież te domy muszą być z drewna, a więc stolarze potrzebni będą do ich budowania.

- Rzeczywiście, są z drewna i ktoś je buduje, ale nie mamy pojęcia kto.

- To chyba da się sprawdzić - zasugerował Vickers. Czy to takie skomplikowane? Musi istnieć jakaś firma. Muszą gdzieś mieć jakieś fabryki i tartaki.

- Faktycznie, istnieje firma - przyznał Crawford - ale jest to firma handlowa.

Śledząc jej działalność znaleźliśmy magazyny, z których transportuje się poszczególne elementy domów. I na tym koniec. Jak dotąd nie udało nam się odnaleźć fabryki, która by je budowała. Kupuje się je od pewnej firmy, której adres i nazwę znamy, ale nikt nigdy nie sprzedał jej nawet drewnianej drzazgi.

Firma ta nigdy nie kupiła również ani jednego zawiasu. Nie zatrudnia ludzi.

Wymienia wprawdzie miejsca produkcji, które rzeczywiście istnieją, tylko że nie ma tam żadnych fabryk. Poza tym, zgodnie z naszymi informacjami, do siedziby firmy nikt nigdy nie wchodził ani też z niej nie wychodził.

Przynajmniej od czasu, gdy jest pod obserwacją.

- To niemożliwe - zaprotestował Vickers.

- Oczywiście, że to niemożliwe - zgodził się Crawford. - Te domy niewątpliwie są z drewna i innych materiałów i ktoś niewątpliwie je buduje.

- Jeszcze jedno pytanie, panie Crawford. Dlaczego w ogóle tak się tym zainteresowaliście?

- No cóż - zmieszał się Crawford. - Tego właściwie nie powinienem panu mówić.

- Ale teraz już pan musi.

- Miałem zamiar nakreślić lepiej całą sytuację, żeby pan zrozumiał, do czego zmierzam. Obawiam się, że bez tego to co powiem, może wydać się panu śmieszne.

- Ktoś pana zastraszył - zauważył Vickers. - Oczywiście nie przyzna się pan, ale jest pan poważnie przestraszony.

- Owszem, przyznaję, że ma pan rację. Ale to nie ja jestem przestraszony, panie Vickers. To przemysł, przemysł całego świata.

- Uważa pan, że ludzie, którzy produkują i sprzedają te domy, to ci sami, którzy stworzyli wieczny samochód, zapalniczki i żarówki?

Crawford skinął głową.

- I węglowodany - dodał. - To straszne, kiedy się o tym pomyśli. Ktoś stara się zniszczyć przemysł i wyrzucić miliony ludzi na bruk. Następnie te same osoby oferują tymże milionom pożywienie, dzięki któremu mogą oni przeżyć. Bez żadnych ograniczeń i formalności, jakie zawsze towarzyszyły pomocy społecznej.

- Ma pan na myśli spisek polityczny?

- To coś więcej. Jesteśmy przekonani, że chodzi o zaplanowany i przemyślany atak na światową gospodarkę. O strategiczny ruch mający na celu zdyskredytowanie systemu społecznego i ekonomicznego, a co za tym

idzie, systemu politycznego. Nasz system bazuje na kapitale, niezależnie od tego czy jest to kapitał prywatny, czy kontrolowany przez państwo, oraz na założeniu, że robotnik zarabia na życie swą codzienną pracą. Jeśli te dwie rzeczy przestaną istnieć, kapitał i praca, to podstawa systemu będzie zniszczona.

- Jacy "my"? - spytał Vickers.

- Północnoamerykańskie Biuro Badań. - A dokładniej?

- Widzę, że robi się pan coraz bardziej dociekliwy - zauważył Crawford.

- Chciałbym wiedzieć, z kim rozmawiam, czego pan ode mnie chce i o co w tym wszystkim chodzi.

Crawford siedział przez dłuższą chwilę bez słowa, aż w końcu powiedział:

- Właśnie to miałem na myśli, kiedy mówiłem, że sprawa nie powinna opuścić tego pokoju.

- Nie mam zamiaru składać przysięg, jeśli o to panu chodzi - oświadczył Vickers.

- Cofnijmy się trochę w czasie i spójrzmy na historię. Crawford zmienił temat. - Wtedy zrozumie pan, kim jesteśmy. Pamięta pan maszynkę do golenia? To był pierwszy "wieczny" wynalazek. Wieść szybko się rozniosła i każdy poszedł do najbliższego sklepu, żeby kupić sobie takie urządzonek. W tamtych czasach maszynka do golenia starczała na parę razy, potem trzeba ją było wyrzucić i kupić nową. Oznacza to, że każdy co jakiś czas kupował nową maszynkę. Dlatego też przemysł produkujący je kwitł. Zatrudniał tysiące pracowników i w czasie swej działalności zapewniał określony zysk tysiącom handlowców. Był to też pośrednio rynek sprzedaży producentów stali. Innymi

słowy był to czynnik ekonomiczny, który w połączeniu z tysiącem innych podobnych czynników ekonomicznych budował obraz przemysłu światowego.

I co się stało?

- Nie jestem ekonomistą, ale to mogę panu powiedzieć odparł Vickers. - Nikt nie kupował już maszynek do golenia. W ten sposób ta gałąź przemysłu załamała się.

- No, oczywiście nie w tak szybkim tempie - zauważył Crawford. - Wielki przemysł jest bardzo skomplikowaną strukturą, która umiera dość wolno, nawet jeśli przestanie się kupować jego produkty i sprzedaż spadnie prawie do zera. Ale oczywiście ma pan rację. Przemysł załamał się.

A potem była zapalniczka. Mała rzecz, ale dość ważna, jeśli spojrzeć na nią przez pryzmat sprzedaży światowej. I tu stała się rzecz podobna. Wreszcie nastąpiły nieprzepalające się żarówki. I wszystko odbyło się dokładnie w taki sam sposób. Trzy gałęzie przemysłu znikły w ciągu paru miesięcy. Powiedział pan przed chwilą, że jestem przestraszony i przyznałem panu rację. To właśnie po żarówkach przestraszyliśmy się nie na żarty. Bo jeśli ktoś zniszczył trzy gałęzie przemysłu, to dlaczego nie miałby zniszczyć kolejnych trzech, trzydziestu, trzystu, albo w ogóle wszystkich?

Wtedy zorganizowaliśmy się. Mówiąc "my" mam na myśli przemysł światowy, nie tylko amerykański, ale również brytyjski, rosyjski, europejski i wszystkie pozostałe. Oczywiście znaleźli się i sceptycy. Nadal są tacy, którzy nie chcą się przyłączyć, ale właściwie mogę panu powiedzieć, że nasza organizacja reprezentuje i wspierana jest przez wszystkie ważniejsze państwa świata. Tak jak już powiedziałem, wolałem panu tego nie wyjawiać, ale cóż,

stało się.

- W tym momencie nie mam zamiaru nikomu o tym mówić - zapewnił go

Vickers.

- Zorganizowaliśmy się - ciągnął Crawford - i oczywiście, jak może pan sobie wyobrazić, stanowimy poważną siłę. Stworzyliśmy kilka przedstawicielstw i wywarliśmy odpowiedni nacisk, dzięki czemu udało nam się załatwić parę rzeczy. Przede wszystkim żadna gazeta, żadne pismo ani stacja radiowa nie przyjmą reklamy tych produktów ani nie napomkną o ich istnieniu w podawanych przez siebie informacjach. Poza tym żaden większy sklep perfumeryjny ani żaden inny sklep nie będzie sprzedawał tych maszynek do golenia, żarówek ani zapalniczek.

- To dlatego zorganizowali sklepy "1001 drobiazgów"?

- Właśnie - odparł Crawford.

- Jest ich coraz więcej - stwierdził Vickers. - Parę dni temu otworzyli kolejny w Cliffwood.

- Zorganizowali sklepy "1001 drobiazgów" - ciągnął Crawford - i stworzyli nową formę reklamy. Zatrudnili tysiące mężczyzn i kobiet, którzy chodzą tu i tam i mówią napotkanym ludziom: "Czy słyszał pan o tych wspaniałych wynalazkach? Nie? Niech pan tylko posłucha..." Coś w tym stylu. Rozumie pan, chodzi im o nawiązanie osobistych kontaktów, które są najlepszą formą reklamy. Ale taka reklama jest o wiele droższa, niż może pan to sobie wyobrazić.

Zorientowaliśmy się, że stoimy w obliczu nie tylko płodnego geniuszu wynalazczego, ale również prawie nieograniczonego kapitału finansowego.

Badaliśmy dalej sprawę. Staraliśmy się ustalić, kim są producenci, w jaki sposób działają i jaki jest ich cel. Ale jak już panu powiedziałem, nie udało nam się niestety nic odkryć.

- Przecież można chyba skierować sprawę na drogę sądową - zasugerował Vickers.

- Podjęliśmy wszystkie możliwe kroki sądowe, ale ci ludzie są kryci na całej linii. Podatki? Płacą. Nawet sami nalegają, żeby je płacić. I żeby nie było żadnych wątpliwości i dochodzeń, płacą więcej niż powinni. Zasady działania firmy? Są bardzo skrupulatni, jeśli chodzi o ich przestrzeganie. Ubezpieczenie społeczne? Płacą ogromne sumy na ubezpieczenia zgodnie z długimi listami płac swoich pracowników, które, jak sądzimy, są fikcyjne, ale nie można do nich pójść i powiedzieć: Słuchajcie, przecież ludzie figurujący na waszych listach w ogóle nie istnieją. Mógłbym mnożyć takie przykłady, ale myślę, że pan zrozumiał. Staraliśmy się wykorzystać wszystkie możliwe kuczki prawne, tak że nasi adwokaci dostają bólu głowy od myślenia.

- Panie Crawford - przerwał mu Vickers - pańskie wyjaśnienia są wielce interesujące, ale zupełnie nie rozumiem tego, co powiedział pan wcześniej. Mówił pan, że chodzi o jakiś spisek mający na celu załamanie przemysłu światowego, zniszczenie systemu społecznego. Jeśli prześledzi się historię ekonomiczną świata, bez trudu można znaleźć rozliczne przykłady współzawodnictwa na śmierć i życie. Być może również i w tym wypadku chodzi właśnie o konkurencję.

- Zapomina pan o węglowodanach - rzucił Crawford. To prawda, pomyślał Vickers. Węglowodany zupełnie nie pasowały do teorii konkurencji.

Vickers pamiętał, że głód panował kiedyś równocześnie w Chinach i Indiach, a Kongres Amerykański debatował nad tym, komu pomóc i czy w ogóle ma komukolwiek pomagać.

Cała sprawa dostała się do gazet. W jakimś zapomnianym laboratorium dokonano syntezy węglowodanów, co wyjawiono dopiero później. Jeszcze później stwierdzono, że o laboratorium tym nikt nigdy nie słyszał, a mimo to w ciągu paru dni znalazło się ono na ustach wszystkich. Było nawet kilku znanych przemysłowców, którzy już na samym początku oskarżyli producentów syntetycznych węglowodanów o oszustwo.

Nie byli to jednak żadni oszuści. Może firma miała dość nietypowe podejście do interesów, ale z pewnością nie zamierzała zniknąć z rynku. Kilka dni po podaniu faktu do publicznej wiadomości laboratorium ogłosiło, że nie zamierza sprzedawać swego produktu, lecz rozdawać go osobom znajdującym się w potrzebie. Osobom, nie populacjom ani narodom, ale osobom będącym w potrzebie, które nie mogły zarobić pieniędzy wystarczających do zakupu odpowiedniej ilości pożywienia. Nie tylko głodującym, ale również tym, których nie stać na pełną rację żywnościową, czyli wielkiej części ludzkości, która nigdy tak naprawdę nie głodowała, ale cierpiała z powodu chronicznego niedożywienia.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęły powstawać biura w Indiach i Chinach, we Francji, Anglii i Włoszech, w Ameryce, Islandii, Irlandii i Nowej Zelandii, gdzie biedni ustawiali się w kolejkach i nigdy im nie odmawiano. Byli też tacy, którzy korzystali z sytuacji, kłamali i dostawali nienależne im pożywienie, ale jak wkrótce się okazało, biurom to nie

przeszkadzało.

Same węglowodany nie były oczywiście wystarczającym pożywieniem. Były jednak z pewnością lepsze niż brak jakiegokolwiek żywności, a bezpłatne ich udostępnianie pozwalało wielu ludziom oszczędzić pieniądze na zakup mięsa, które od wielu już miesięcy nie gościło na ich stole.

- Sprawdziliśmy też węglowodany - mówił Crawford ale i tutaj nie znaleźliśmy nic, czego można by się ucześcić. Zgodnie z naszymi informacjami syntetyczne węglowodany nie są produkowane, one po prostu istnieją.

Przesyłane są do centrów dystrybucyjnych z kilku magazynów. Trzeba nadmienić, że żaden z tych magazynów nie jest na tyle duży, żeby przechowywać zapas wystarczający choćby na jeden dzień. Nie znaleźliśmy jednak jak dotąd żadnych fabryk i nie udało nam się prześledzić szlaków transportowych, to znaczy, oczywiście, znamy szlaki dystrybucyjne z magazynów do punktów dystrybucji, ale nadal nie wiemy, skąd produkt dociera do magazynów. Zupełnie jak w opowiadaniu Hawthorne'a o dzbanie mleka, który nigdy nie był pusty.

- Może powinniście sami rozpocząć produkcję węglowodanów.

- Dobrze powiedziane, ale może nam pan jeszcze podsunie pomysł, jak to zrobić? Pewnie, że chcielibyśmy produkować wieczny samochód albo nie tępiącą się maszynkę do golenia, ale nie mamy zielonego pojęcia w jaki sposób. Nasi technicy i naukowcy pracują nad tym, ale jak dotąd nie ruszyli nawet o krok z miejsca, w którym staliśmy, kiedy to wszystko się zaczęło.

- Co się stanie, jeśli ludzie pozbawieni pracy zapragną czegoś więcej niż tylko pożywienia? - spytał Vickers. - Jeśli ich rodziny będą chodzić w

lachmanach i potrzebować ubrań? Co się stanie, jeśli zostaną wyrzuceni na ulicę?

- Myślę, że mogę odpowiedzieć panu na to pytanie. W ciągu jednej chwili pojawi się jakieś inne towarzystwo filantropijne, które dostarczać będzie ubrań i mieszkań. Już teraz sprzedają domy w cenie pięćset dolarów za pokój, a to przecież oplata symboliczna. Dlaczego więc nie mieliby rozdawać ich za darmo? A co dopiero ubrania, które kosztować będą jedną dziesiątą lub nawet dwudziestą tego, co płacimy za nie dziś. Na przykład garnitur za pięć dolarów. Albo sukienka za piętnaście centów. - Nie wie pan przypadkiem, co nowego szykują?

- Staraliśmy się to wywęszyć - rzekł Crawford. - Doszliśmy do wniosku, że wkrótce pojawi się samochód i rzeczywiście, pojawił się. Domów też się spodziewaliśmy. Podejrzewamy, że jednym z następnych artykułów będą ubrania.

- Pożywienie, mieszkanie, transport, ubranie - wymieniał Vickers. - To cztery podstawowe rodzaje artykułów.

- Pozostaje nam jeszcze paliwo i energia - dorzucił Crawford. - Jeśli wystarczająca ilość populacji przeniesie się do tych nowych domów na baterie słoneczne, przemysł energetyczny przejdzie do historii.

- Ale kto może za tym wszystkim stać? - zapytał Vickers. - Mówił pan, że nie wiecie. Ale chyba podejrzewacie kogoś?

- Otóż nikogo nie możemy podejrzewać. Posiadamy schemat ich organizacji wraz z placówkami na całym świecie. Nie możemy jednak znaleźć ludzi jako takich, bo okazuje się, że nikt o takim nazwisku po prostu nie istnieje.

- Rosja?

Crawford potrząsnął głową.

- Kreml jest również bardzo zaniepokojony. Rosja współpracuje z nami na tym polu. To chyba najlepszy dowód, jak bardzo się boją. - Crawford po raz pierwszy poruszył się. Zdjął ręce z brzucha, chwycił dłońmi poręcze masywnego fotela i podciągnął się, wyprostowując. - Teraz zastanawia się pan pewnie - powiedział - gdzie w tym wszystkim znajduje się zadanie dla pana?

- Właśnie.

- Nie możemy przecież wyjść na ulicę i powiedzieć: Oto my, zjednoczona siła przemysłu światowego, walcząca o utrzymanie waszego trybu życia. Nie możemy wytłumaczyć ludziom, jak wygląda sytuacja, bo będą się z nas śmiać. Przecież nie można im ot tak powiedzieć, że samochód, który będzie jeździł zawsze albo dom w cenie pięciuset dolarów za pokój jest dla nich bardzo niekorzystną rzeczą. Nie możemy nic im powiedzieć, a przecież oni muszą coś wiedzieć. Chcemy, żeby napisał pan o tym książkę.

- Nie rozumiem... - zaczął Vickers, ale Crawford przerwał mu w pół zdania.

- Opisz pan to tak, jakby sam pan to wszystko odkrył. Napomknij pan o wysoko postawionych informatorach, których nazwisk nie może pan podać. Dostarczymy panu wszelkich danych, ale na książce oczywiście będzie figurował wyłącznie pan jako autor.

Vickers powoli wstał. Wyciągnął rękę po kapelusz.

- Dziękuję bardzo za propozycję, ale nie skorzystam rzucił.

- Pewnego dnia, Jay, tak się na ciebie wścieknę, że rozniosę cię w drobny mak. A kiedy już to zrobię, może w końcu dowiem się, dlaczego taki jesteś.

- Przecież piszę książkę - odparł zdziwiony Vickers czego jeszcze chcesz?

- Tę książkę możesz napisać później. Trzeba było skorzystać z oferty, którą ci złożono.

- No proszę, wmawiasz mi, że właśnie wyrzuciłem w błoto milion dolców.

Tak myślisz, prawda?

- Mogłeś zażyczyć sobie pokaźnej sumki za tę pracę i podpisać z wydawcą umowę stulecia. Poza tym...

- Poza tym mogłem zapomnieć o pisaniu największej powieści, jaką kiedykolwiek udało mi się stworzyć - skończył za nią Vickers. - Wrócić do niej po jakimś czasie i stwierdzić, że zupełnie straciłem wątek.

- Każda książka, którą piszesz, jest twoją największą książką. Jayu Vickers, jesteś po prostu kiepskim pisarzem. Pewnie, ciężko pracujesz, a twoje cholerne książki nieźle się sprzedają, chociaż czasami zastanawiam się, dlaczego ludzie w ogóle je kupują. Gdyby nie chodziło o pieniądze, nigdy nie napisałbyś nawet jednego słowa. Powiedz szczerze, dlaczego piszesz?

- Sama sobie odpowiedziałas na to pytanie. Powiedziałaś, że dla pieniędzy.

Niech więc będzie, że dla pieniędzy.

- No dobrze, przyznaję, jestem wstrętna.

- O mój Boże - zdziwił się Vickers - klócimy się jak stare małżeństwo.

- Tu dotknąłeś kolejnego problemu. Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś, Jay? To przecież najlepszy dowód twojego egoizmu. Założę się, że nigdy nawet nie pomyślałeś o małżeństwie.

- Raz pomyślałem - zauważył Vickers. - Dawno temu. - No dobrze, połóż tu główkę i popłacz sobie. Założę się, że to była smutna historia. To stąd biorą się owe rozdzierające sceny miłosne, które można znaleźć w twoich książkach.

- Ann, chyba za dużo pijesz.

- Jeśli za dużo piję, to wyłącznie z twojego powodu. Ty przecież powiedziałeś: "Dziękuję bardzo za propozycję, ale nie skorzystam."

- Miałem przecucie, że coś jest nie tak - tłumaczył Vickers.

- To z tobą coś jest nie tak - stwierdziła Ann, dopijając swojego drinka. - Nie mów mi, że z powodu przecucia odrzuciłeś najlepszą propozycję, jaką ci kiedykolwiek złożono. Za każdym razem, kiedy ktoś brzęczy taką kupą forsy w mojej obecności, nie pozwalam, aby przecucie stanęło mi na drodze.

- W to akurat wierzę - zgodził się Vickers.

- No trudno - westchnęła Ann. - Płać za drinki i wynośmy się stąd. Wsiadaj do autobusu i niech moje oczy cię więcej nie oglądają.

8

NA ŚRODKU WIELKIEJ WITRYNY sklepowej widniała ogromna tablica z napisem:

DOMY NA ZAMÓWIENIE 500

DOLARÓW ZA POKÓJ

W ZAMIAN SKUPUJEMY KORZYSTNIE

STARE DOMY

Na wystawie prezentował się okazale model pięcio- lub sześciopokojowego domu otoczonego pięknie rozplanowanym trawnikiem i ogrodem. W ogrodzie znajdował się zegar słoneczny i garaż z kopułą, na której umieszczono

obracaający się wiatrowskaz w kształcie kogucika. Na równo przyszytych trawie stały dwa białe krzesła ogrodowe i okrągły stół, a na podjeździe do garażu parkował nowiutki i błyszczący lakierem samochód.

Ann ścisnęła Vickersa za ramię. - Wejźmy do środka.

- To chyba to, o czym mówił Crawford - pomyślał na głos Vickers.

- Masz jeszcze mnóstwo czasu do odjazdu autobusu stwierdziła Ann.

- No dobrze, wejźmy, a jak już się zajmiesz tym domem, może wreszcie przestaniesz się mnie czepiać.

- Gdyby to było możliwe, uwięziłabym cię tam, a potem za ciebie wyszła.

- Zmieniając moje życie w piekło.

- Cóż, pewnie, że tak - powiedziała słodko Ann. - Inaczej po co miałabym cię poślubić?

Weszli do środka, a drzwi zamknęły się za nimi samoczynnie. Hałas ulicy został na zewnątrz, a oni szli po grubym zielonym dywanie imitującym trawę.

Zauważył ich sprzedawca i zbliżył się do nich.

- Właśnie przechodziliśmy - zaczęła Ann - i pomyśleliśmy sobie, że wpadniemy. To coś na wystawie wygląda na całkiem miły domek i...

- Bo to j e s t miły domek - zapewnił ją sprzedawca a w dodatku posiada dużo nowatorskich rozwiązań.

- Czy to prawda, co napisano na witrynie? - spytał Vickers. - Pięćset dolarów za pokój?

- Każdy mnie o to pyta. Ludzie czytają wywieszkę, ale nie wierzą, więc jak tylko wchodzi do sklepu, od razu pytają mnie, czy to prawda, że sprzedajemy domy po pięćset dolarów za pokój.

- No i co? - dopytywał się Vickers.

- Och, ależ oczywiście - odparł sprzedawca. - Dom z pięcioma pokojami kosztuje dwa i pół tysiąca dolarów, a dom z dziesięcioma pokojami pięć tysięcy dolarów. Oczywiście na początku większość ludzi nie jest zainteresowanych domami z dziesięcioma pokojami.

- Jak to na początku?

- Rozumie pan, my to nazywamy rosnącym domem tłumaczył sprzedawca. -

Kupuje pan na przykład dom z pięcioma pokojami i po pewnym czasie orientuje się pan, że potrzebny jest panu jeszcze jeden pokój. W tym momencie przyjeżdżamy, przebudowujemy dom i dodajemy szósty pokój.

- Czy to nie jest dość kosztowne? - zdziwiła się Ann. - Ależ skąd - zapewnił ją sprzedawca. - Płaci pani tylko pięćset dolarów za dodatkowy pokój. Cena jest standardowa i nie podwyższamy jej o żadne dodatkowe narzuty.

- Ten dom zbudowany jest z prefabrykatów, prawda? dopytywała się Ann.

- Myślę, że można tak powiedzieć, chociaż nie jest to zbyt precyzyjne określenie. Mówiąc "prefabrykowany" ma pani zapewne na myśli dom, który został już wstępnie zaprojektowany i wystarczy go tylko zmontować; montaż trwa tydzień albo dziesięć dni, a i tak ma pani dopiero same ściany, bez kotłowni, kominka, niczego.

- Zaraz, zaraz, wracając do tego dodatkowego pokoju wtrącił się Vickers. -

Powiedział pan, że kiedy chce się dodatkowy pokój, można po was zadzwonić, a wy przyjedziecie i w pewnym sensie przykleicie go.

Sprzedawca nieznacznie zeszywniał.

- Niezupełnie, sir. My niczego nie przyklejamy. My rzebudowujemy pański

dom. Po każdej przeróbce pański dom jest doskonale rozplanowany i praktyczny, zaprojektowany zgodnie z najnowszymi koncepcjami naukowymi i estetycznymi dotyczącymi projektowania w budownictwie. W niektórych przypadkach dostawienie dodatkowego pokoju pociąga za sobą całkowitą przebudowę domu i na przykład zmianę rozmieszczenia pokoi. Oczywiście, jeśli chce pan zupełnie zmienić wygląd swojego domu, o wiele sensowniej byłoby zamienić go na nowy. Za taką usługę pobieramy opłatę w wysokości jednego procenta kosztu początkowego rocznie plus, oczywiście, wartość ewentualnych dodatkowych pokoi.

Spojrzał na nich i spytał:

- Mają państwo chyba dom?

- Małą chałupkę w dolinie - odparł Vickers. - Nie jest to pałac.

- Jak pan sądzi, ile jest warta ta "chałupka"?

- Tysiąc pięćset, może dwa tysiące, ale raczej wątpię.

- Dalibyśmy panu za nią około dwudziestu tysięcy - rzekł sprzedawca. - To trzeba by dokładniej określić. Nasze wyceny są jednak bardzo korzystne dla klientów.

- Niech pan posłucha - powiedział Vickers - mnie wystarczy dom z pięcioma, sześcioma pokojami. To by było jakieś dwa i pół albo trzy tysiące.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnął się sprzedawca. - Różnicę zapłacilibyśmy w gotówce.

- To przecież bez sensu!

- Ależ oczywiście, że to ma sens. Chętnie płacimy o wiele wyższą cenę po to, by wprowadzić na rynek nasz produkt. W pana przypadku zapłacilibyśmy

panu różnicę, rozebrali stary dom i postawili na jego miejscu nowy. To całkiem proste.

Ann zwróciła się do Vickersa:

- No, dalej, powiedz temu panu, że nie zamierzasz zamieniać swojej ohydnej, starej chałupy. Jak na mój gust ta oferta jest zdecydowanie zbyt korzystna, żebyś chciał z niej skorzystać. - Nie rozumiem - potrząsnął głową sprzedawca.

- To taki osobisty żart - wytłumaczył Vickers.

- Ach... no tak, powiedziałem państwu również, że ten dom posiada dużo nowatorskich rozwiązań.

- Rzeczywiście, proszę nam o nich opowiedzieć - zachęciła go Ann.

- Z przyjemnością. Na przykład dom wyposażony jest w baterię słoneczną.

Wiedzą państwo, co to jest bateria słoneczna? Vickers skinął głową.

- Bateria, która gromadzi energię pochodzącą z promieniowania słonecznego.

- Oczywiście - zgodził się sprzedawca. - Bateria ta jest jednak nieco bardziej wydajna niż zwykła bateria słoneczna. Nie tylko ogrzewa dom zimą, ale w czasie całego roku dostarcza energię elektryczną. W ten sposób nie muszą państwo zdawać się na publiczne źródło zasilania. Chciałbym dodać, że bateria gromadzi ogromną ilość energii. Większą, niż kiedykolwiek będziecie państwo w stanie zużyć.

- To miło - zauważyła Ann.

- I jest wliczona w koszt mieszkania. Poza tym otrzymujecie państwo lodówkę i zamrażarkę, automatyczną pralkę i suszarkę, zmywarkę do naczyń,

urządzenie do utylizacji odpadków, toster, gofrownicę, radio, telewizor i inne urządzenia.

- I oczywiście trzeba za nie dodatkowo zapłacić - rzekł pewny siebie Vickers.

- Ależ nie. Płaci się tylko za pokoje.

- A łóżka? - spytała Ann. - Krzesła i inne meble?

- Meble niestety trzeba kupić oddzielnie - stwierdził sprzedawca.

- Ale jest pewnie dodatkowa opłata za zburzenie starego domu i postawienie nowego - nalegał Vickers.

Sprzedawca wyprostował się i rzekł z godnością.

- Niech pan wreszcie zrozumie, że jest to uczciwa oferta. Nie ma żadnych ukrytych kosztów dodatkowych. Kupuje pan dom i płaci lub umawia się, że zapłaci pięćset dolarów za pokój. Dysponujemy brygadami fachowców, którzy burzą stary dom i stawiają na jego miejscu nowy. Wszystko to wliczone jest w cenę. Niczego nie liczymy dodatkowo. Oczywiście są tacy klienci, którzy chcą zmienić miejsce zamieszkania. W takich przypadkach najczęściej udaje nam się znaleźć rozsądny sposób rozliczenia starej ziemi i nowo wybranego przez klienta miejsca. Pan, domyślam się, wolałby zostać tam gdzie teraz, prawda? Powiedział pan, że mieszkają państwo w dolinie, piękne miejsce.

- No cóż, tego jeszcze nie wiem - rzekł Vickers.

- Aha, zapomniałem dodać jeszcze jedno - uzupełnił sprzedawca. - Tego domu nigdy nie trzeba odnawiać. Zbudowany jest z materiału pomalowanego w jednym, bardzo trwałym kolorze. Kolor ten nigdy nie blaknie ani się nie ściera. Udostępniamy szeroką gamę kolorów do wyboru.

- Nie chcielibyśmy zajmować panu zbyt dużo czasu przerwał mu Vickers. -

Wie pan, my tak naprawdę nie jesteśmy klientami. Tak tylko wpadliśmy po drodze.

- Ale macie państwo dom? - Oczywiście.

- A my gotowi jesteśmy zamienić go na nowy, dopłacając panu dodatkowo okazałą sumkę.

- To wszystko wiem - zgodził się Vickers - ale...

- Wydaje mi się więc, że to panu powinno zależeć na sprzedaniu mi starego domu, a nie mnie na sprzedaniu panu nowego.

- Ależ ja mam dom i całkiem go sobie chwałę. Skąd mam wiedzieć, że spodoba mi się któryś z waszych domów?

- Proszę pana, przecież właśnie tłumaczyłem panu...

- Przyzwyczailem się do mojego domu. Zaprzyjaźniłem się z nim i znam go na wylot. Przywiązałem się do niego.

- Jayu Vickers! - zdenerwowała się Ann. - Nie sposób chyba tak bardzo przywiązać się do domu w ciągu trzech lat. Słuchając ciebie można odnieść wrażenie, że to co najmniej dom twoich przodków.

Vickers najwyraźniej zaparł się.

- Dobrze się w nim czuję. Znam go. W jadalni jest skrzypiąca deska w podłodze i czasami specjalnie na nią następuję, żeby usłyszeć jak skrzypi. W winorośli w ogrodzie para drozdów uwiła sobie gniazdko, a w piwnicy mieszka świerszcz. Kiedyś go chciałem zatłuc, ale nie udało mi się go znaleźć. Teraz nawet jak bym mógł, to nic bym mu nie zrobił, bo stanowi część domu i...

- W naszym domu świerszcze nigdy nie będą pana nękać. W dom

wmontowane jest urządzenie odstraszające owady. Nigdy nie uświadczą pan tam komara, mrówki, świerszcza ani niczego podobnego.

- Ale mnie ten świerszcz nie przeszkadza - powiedział Vickers. - Właśnie to usiłuję panu wytłumaczyć. Lubię go. Nie wiem, czy chciałbym mieć dom, w którym świerszcze nigdy by nie grały. Co do myszy, to inna historia.

- Jeśli wolno mi zauważyć - wtrącił szybciotko sprzedawca - w żadnym z naszych domów nie znajdzie pan myszy. - W moim też nie. Zadzwońm po specjalistę od deratyzacji i do czasu gdy wrócę do domu, myszy wyniosą się z niego na zawsze.

- Zastanawia mnie tylko jedna sprawa - zmarszczyła brwi Ann. - Mówił pan o tych wszystkich urządzeniach, które się dostaje, pralce, lodówce...

- Tak, oczywiście.

- Ale ani słowem nie wspomniał pan o piecu.

- Naprawdę? - zdziwił się sprzedawca. - Jak mogłem to przeoczyć? Ależ oczywiście, otrzymują państwo również piec.

9

KIEDY AUTOBUS DOJechał do Cliffwood, zapadał już zmrok. Vickers kupił gazetę w narożnym kiosku i ruszył przez miasteczko do jedynej czystej restauracji.

Zamówił danie i właśnie zamierzał zabrać się do czytania gazety, gdy powstrzymał go jakiś piskliwy głosik:

- Dzień dobry, panie Vickers. - Po przeciwległej stronie stołu stała dziewczynka, która tego ranka zjawiała się na śniadaniu u Vickersa.

- Dzień dobry, Jane - odparł pisarz. - Co ty tu robisz?

- Przyjechałam z mamusią, żeby kupić lody na kolację wyjaśniła Jane.

Przysiadła na brzegu krzesła stojącego po drugiej stronie stolika. - Gdzie pan dziś był, panie Vickers? Przyszłam pana odwiedzić, ale tam był jakiś pan, który nie chciał mnie wpuścić. Powiedział, że zabija myszy. Dlaczego on zabijał myszy, panie Vickers?

- Jane - do rozmowy włączył się trzeci głos.

Vickers podniósł wzrok i dojrzał kobietę, zadbaną i piękną, która się do niego uśmiechała.

- Mam nadzieję, że córka panu nie przeszkadzała, panie Vickers - rzekła.

- Och, ani trochę. Uważam, że jest wspaniała.

- To ja jestem pani Leslie - ciągnęła kobieta. - Matka Jane. Już od tak dawna jesteśmy sąsiadami, a nigdy się nie spotkaliśmy.

Przysiadła się do stolika.

- Czytałam kilka pańskich książek - kontynuowała - są piękne. Nie przeczytałam niestety wszystkich. Nie miałam zbyt dużo czasu.

- Dziękuję pani - uradował się Vickers. Zastanawiał się, czy kobieta nie pomyśli, że dziękuje jej za nieprzeczytanie tych pozostałych.

- Chciałam nawet przyjść i porozmawiać z panem. Organizujemy klub wizjonistów i zastanawiałam się, czy by pan do nas nie dołączył.

Vickers potrząsnął głową.

- Nie mam czasu - odparł. - Poza tym moją zasadą jest nieangażowanie się w nic.

- Ale przecież chyba jest pan z nami?

- W każdym razie dziękuję, że pani o mnie pomyślała. Kobieta zaśmiała się.

- Bierze pan nas za głupców, panie Vickers?

- Nie, nie za głupców.

- Ale uważa pan, że jesteśmy dziecinni.

- To pani tak powiedziała - zauważył Vickers. - Ale tu się z panią zgodzę. Tak, muszę przyznać, że wydaje mi się to nieco dziecinne.

Teraz palnąłem, pomyślał. Zaraz tak obróci kota ogonem, iż okaże się, że to moje słowa. Opowie wszystkim sąsiadom, jak powiedziałem jej prosto w twarz, że ich klub jest dziecinadą.

Kobieta jednak nie wyglądała na urażoną.

- Rzeczywiście, dla kogoś takiego jak pan, kto nie ma ani chwili wolnego czasu, może wydawać się to głupotą. Ale powiedziano mi, że chodzi o wspaniały sposób na rozwinięcie swoich zainteresowań.

- O, w to nie wątpię - poparł ją Vickers.

- Oczywiście, wiąże się z tym mnóstwo pracy. Kiedy już zdecyduje pan, w jakiej epoce chce żyć, musi pan przeczytać wiele dzieł o danym okresie. Potem pisze pan pamiętnik, codziennie przelewając na papier wszystkie wykonywane przez siebie czynności. Musi pan poza tym starać się pisać w taki sposób, aby zainteresować czytającego, a jeszcze lepiej, by wciągnąć go w akcję.

- Jest wiele okresów w historii, które mogą być bardzo wciągające - stwierdził Vickers.

- Miło, że pan to mówi - podchwyciła pani Leslie. - Czy mógłby mi pan coś zaproponować? Gdyby miał pan wybrać najbardziej ekscytujący okres historii, to który by pan wybrał?

- Przykro mi, ale nie potrafię tak szybko odpowiedzieć. Musiałbym się nad tym zastanowić.

- Ale powiedział pan, że jest ich dużo...

- Wiem. Ale kiedy tak się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że dzisiejsze czasy mogą okazać się równie ekscytujące co jakiekolwiek inne.

- Ale przecież w dzisiejszych czasach nic się nie dzieje. - Dzieje się i to o wiele za dużo - zaprzeczył Vickers.

Cały ten pomysł wydawał mu się żaloszny. Dorośli ludzie, którzy udają, że żyją w innych czasach, publicznie przyznają się do tego, że nie potrafią żyć w swoim własnym, i chcą poszukiwać swego szczęścia w przeszłości. Oznaczało to zapewne gorzką porażkę w życiu tych ludzi, jakąś straszną pustkę, która nie dawała im spokoju, krzyczącą próżnię, którą w jakiś sposób usiłowali wypełnić.

Przypomniał sobie dwie kobiety, które rozmawiały za nim w autobusie i zastanawiał się, jakiego uczucia doznawać musiał wizjonista "żyjący" w czasach Pepysa. Życie Pepysa było oczywiście bardzo urozmaicone. Spotkania z wieloma ciekawymi ludźmi, małe tawerny, gdzie jadło się ser i popijało winem, teatry, dobre towarzystwo i nocne rozmowy, wiele ciekawych spotkań, które sprawiały, że Pepys był równie pełen życia, jak wizjoniści go pozbawieni.

Cały ruch był oczywiście ucieczką, ale od czego? Być może od poczucia braku bezpieczeństwa. Od nerwów, od codziennej, wszechobecnej niepewności, która nigdy nie przerodziła się w prawdziwy strach, ale nigdy też nie wygasła. Stan niepewności, stan umysłu, którego nie mogły ukoić

żadne nowinki techniczne.

- Pewnie już spakowali nasze lody - stwierdziła pani Leslie, podnosząc rękawiczki i torebkę. - Niech pan kiedyś wpadnie do nas na kolację, panie Vickers.

Vickers również wstał.

- Ależ z przyjemnością. Pewnie niedługo uda mi się znaleźć wolną chwilę. Wiedział jednak, że nie znajdzie wolnej chwili i był pewien, że kobieta zaprosiła go jedynie z grzeczności. Obydwoje jednak najwyraźniej chcieli trzymać się konwenansów.

- Chodź, Jane. Miło mi było poznać pana po tych wszystkich latach, panie Vickers.

Nie czekając na odpowiedź zaczęła się oddalać.

- U nas w domu wszystko jest znowu w porządku - rzuciła na odchodnym Jane. - Mamusia i tatuś pogodzili się.

- Cieszę się - odparł Vickers.

- Tatuś mówi, że nie będzie już prowadzić się z innymi kobietami - dodała Jane.

- To też dobrze.

Matka dziewczynki zawołała ją stojąc przed drzwiami.

- Muszę już iść - powiedziała Jane. Zsunęła się z krzesła i podbiegła do matki. Stojąc u jej boku odwróciła się i pomachała do niego.

Biedne dziecko, pomyślał. Jakież życie ją czeka. Gdybym ja miał taką córeczkę... Nie, lepiej o tym nie myśleć. Nie była mu pisana. Jemu były pisane półki z książkami i rękopis, który czekał na niego. Nagle jednak zdał sobie

sprawę, jak krucha i złudna jest sława pisarza. Książki i rękopis, pomyślał.

Nie jest to podstawa, na której zbudować można piękne życie.

I miał rację. Był to problem nie tylko jego samego, ale wszystkich wokół.

Nikt nie miał solidnej bazy do zbudowania sobie życia. Przez tyle lat świat żył wojną i zagrożeniem wojny. Na początku był to tylko wielki strach, panika nakazująca ucieczkę, jaka następnie przerodziła się w moralne i psychiczne odrętwienie, którego nawet się nie zauważało, biorąc je za normalny przejaw życia.

Nic dziwnego, że pojawili się wizjoniści, pomyślał. On został sam na sam ze swoimi książkami i rękopisami.

10

ZAJRZAŁ POD DONICZKĘ z kwiatami stojącą w rogu werandy w

poszukiwaniu klucza, ale nie znalazł go tam. W tym momencie przypomniał sobie, że zostawił drzwi otwarte, aby Joe mógł wejść i pozbawić go raz na zawsze towarzystwa myszy.

Nacisnął klamkę, wszedł do środka i skierował kroki w kierunku lampki na biurku. Obok lampki znalazł kartkę z nagryzmołoną ołówkiem notatką:

"Jay: wykonałem zadanie, po czym wróciłem i otworzyłem okna, żeby wywietrzyć mieszkanie. Daję ci stówę za każdą mysz, jaką znajdziesz. Joe."

Nagle usłyszał szelest i stwierdził, że ktoś jest w ogródku i siedzi w jego ulubionym fotelu bujanym, z papierosem, którego żar podrygiwał śmiesznie w ciemności.

- To ja - przedstawił się Horton Flanders. - Jadł pan już?

- Tak, w miasteczku.

- Szkoda. Przyniosłem tacę z kanapkami i trochę piwa. Myślałem, że może pan być głodny, a wiem, przecież, jak bardzo nie znosi pan gotować.

- Dziękuję - uśmiechnął się Vickers. - Nie jestem już głodny. Ale możemy zjeść kanapki później.

Rzucił kapelusz na krzesło i wyszedł do ogrodu.

- Siedzę w pana fotelu - zauważył Flanders.

- Nic nie szkodzi - zapewnił go Vickers. - Ten jest równie wygodny.

- Nie wie pan przypadkiem, jakie są dzisiejsze wiadomości? Mam dość uciążliwy zwyczaj nieczytania gazet.

- To, co zwykle. Kolejne plotki, w które nikt już chyba nie wierzy.

- Zimna wojna nadal trwa-skinął głową Flanders. -Trwa już od prawie czterdziestu lat. Od czasu do czasu atmosfera robi się naprawdę ciężka, ale nigdy jakoś nie dochodzi do wybuchu. Czy zauważył pan, że już co najmniej kilkanaście razy powinna wybuchnąć prawdziwa wojna, a jednak w taki czy inny sposób sytuacja zawsze ulega poprawie?

- Nie myślałem o tym.

- Ale taka jest prawda. Najpierw było porwanie samolotu do Berlina, potem zamieszki w Grecji. Każdy z tych konfliktów mógł przerodzić się w wojnę, ale w końcu jakoś udało się je zażegnać. Następna była Korea i też nic się nie stało. Potem Iran groził wzniesieniem ogólnoswiatowej wojny, ale szczęśliwie udało nam się jej zapobiec. Następnie doszło do incydentów w Manili, eskalacji zbrojeń na Alasce, kryzysu indyjskiego i jeszcze co najmniej kilku innych, poważnych konfliktów. Mimo to jednak za każdym razem wychodziliśmy z nich obronną ręką.

- Nikt tak naprawdę nie chce wojny - powiedział Vickers. - Może i tak - zgodził się Flanders - ale żeby zaprowadzić pokój potrzeba czegoś więcej niż tylko chęci niewplątania się w wojnę. Co jakiś czas któryś z wielkich narodów znajduje się w punkcie zwrotnym i wtedy albo musi się poddać, albo rozpocząć walkę. I zawsze się poddaje. To przecież nie leży w naturze ludzkiej, panie Vickers. A przynajmniej nie leżało jeszcze czterdzieści lat temu. Czy nie wydaje się panu, że mógł mieć na to wpływ jakiś dodatkowy czynnik, którego jeszcze nie znamy?

- Naprawdę nie wiem, jaki dodatkowy czynnik mógłby mieć tutaj znaczenie.

Rasa ludzka zawsze pozostanie tylko rasą ludzką. Dawniej zawsze walczyliśmy, a czterdzieści lat temu zakończyliśmy największą wojnę w naszej historii.

- Od tamtej pory dokonywano prowokacji za prowokacją, ale świat nie chciał wojny. Wie pan dlaczego?

- Nie.

- Myślałem o tym - wyjął Flanders. - I wydaje mi się, że musi na to mieć wpływ jakiś czynnik, którego nie bierzemy pod uwagę.

- Być może strach - zasugerował Vickers. - Strach przed naszymi doskonałymi narzędziami zbrodni.

- Może - przyznał mu rację Flanders - ale strach to dziwna rzecz. Równie dobrze może wywołać wojnę, co powstrzymać ludzi przed jej wywołaniem.

Może się zdarzyć, że strach wypędzi ludzi na ulice i każe im walczyć tylko po to, żeby mogli się go pozbyć. Nie wydaje mi się jednak, żeby sam strach uniemożliwił wybuch wojny.

- Myśli pan o jakimś czynniku psychologicznym?

- Być może - odparł Flanders. - Albo interwencji.

- Interwencji?! Czyjej?

- Tego nie wiem. Ale już od dawna się nad tym zastanawiam. Jakies

dziewięćdziesiąt lat temu coś się stało z naszym światem. Do tamtej pory

człowiek kroczył mniej więcej tymi samymi, utartymi ścieżkami. Od czasu do

czasu dokonywał jakiegoś odkrycia, wprowadzał zmiany, które nie były

jednak zbyt znaczne. Szczególnie w sposobie pojmowania świata nie

dokonywał się żaden postęp i to właśnie jest najistotniejsze. Następnie jednak

ludzkość, która do tej pory posuwała się do przodu w żółwym tempie, przeszła

do galopu. Wynaleziono samochód, telefon, film, samolot. Zaistniało radio i

wszystkie inne nowinki, tak charakterystyczne dla początku tego stulecia.

W większości jednak była to mechanika, prosta i logiczna, coś w rodzaju

dodawania, dwa i dwa daje razem cztery. Jednak w drugim ćwierćwieczu

naszego stulecia klasyczna fizyka została zastąpiona nowym rodzajem

myślenia, myślenia, które charakteryzowało się tym, że po raz pierwszy

otwarcie przyznano, że czegoś się nie wie, po zetknięciu się z atomami i

elektronami. Właśnie stąd wzięły swój początek fizyka atomowa i elektronika

kwantowa. Fizycy nabrali nagle odwagi i oświadczyli, że nie potrafią

wytłumaczyć, czym są elektrony i dlaczego ich zachowanie jest takie, a nie

inne. W nauce klasycznej "szkiełko i oko" wystarczało do zrozumienia natury

zjawisk i rzeczy, które następnie zgrabnie i schludnie szufladkowano.

- Chce pan przez to powiedzieć - wtrącił Vickers - że coś odmieniło los

człowieka. Ale przecież nie po raz pierwszy zdarzyło się coś takiego. Niech pan

nie zapomina o renesansie i rewolucji przemysłowej.

- Nie powiedziałem, że był to jedyny raz, kiedy stało się coś takiego - odparł na to Flanders. - Fakt, że podobne rzeczy działy się już wcześniej, dowodzi jedynie, że nie jest to przypadek, ale rodzaj cyklu, jakiejś siły, która wpływa na rasę ludzką. Cóż takiego mogło wyrwać ludzkość z zastoju i wprawić ją w galop, trwający już od stu lat i nie przejawiający oznak osłabienia?

- Wspomniał pan o interwencji - przypomniał Vickers. To zakrawa na jakieś niestworzone fantazje. Ma pan na myśli Marsjan?

Flanders potrząsnął głową.

- To nie Marsjanie. W każdym razie nie wydaje mi się, żeby to byli oni.

Lepiej operujmy bardziej ogólnymi pojęciami. Ręką trzymającą papierosa wskazał na pełne gwiazd niebo rozpościerające się ponad żywopłotem i drzewami.

- Gdzieś tam muszą istnieć wielkie zasoby wiedzy. W wielu miejscach we wszechświecie są z pewnością myślące istoty posiadające wiedzę, o której nawet nam się nie śniło. Część tej wiedzy może być wykorzystana przez człowieka, chociaż zapewne większa jej część na nic by się nam nie przydała.

- Sugeruje pan, że ktoś stamtąd...

- Nie - przerwał mu Flanders. - Twierdzę jedynie, że wiedza jest gdzieś tam w górze i czeka na nas.

- Nie zajęliśmy jeszcze nawet Księżyca.

- Być może nie musimy czekać na rakiety. Może nie musimy lecieć tam fizycznie. Wystarczy, że sięgniemy naszymi umysłami...

- Telepatycznie?

- Być może. Chyba można by tak to ująć. Dalekosiężny umysł poszukujący innego umysłu. Jeśli telepatia jest rzeczywiście możliwa, to odległość nie powinna mieć najmniejszego znaczenia. Kilometr czy rok świetlny, co za różnica? Przecież umysł nie jest zjawiskiem fizycznym i nie jest związany, a w każdym razie nie powinien być, żadnymi prawami, które twierdzą, iż żaden obiekt nie może przekroczyć prędkości światła.

Vickers zaśmiał się niepewnie, poczuł się tak, jakby za jego plecami skradały się obdarzone wieloma mackami istoty.

- Pan chyba żartuje.

- Może i tak - przyznał Flanders. - Może jestem tylko starym ekscentrykiem, który znalazł sobie wiernego słuchacza, co nie śmieje się z jego wymysłów.

- Ale wracając do wiedzy, o której pan mówił. Nie ma dowodów, że taka wiedza mogłaby kiedykolwiek zostać wykorzystana. Przecież należałaby do obcych, oparta by była na obcej logice i dotyczyła obcych nam problemów.

Poza tym bazowałaby na obcych koncepcjach, których nie bylibyśmy w stanie pojąć.

- Rzeczywiście, pewnie znaczna jej część nie nadawałaby się do użytku - zgodził się Flanders. - Trzeba by ją dokładnie zbadać i przesiać, oddzielając ziarna od plew. Prawdopodobnie jednak pomiędzy wieloma kamieniami znalazłoby się sporo diamentów. Moglibyśmy na przykład dowiedzieć się, że można uniknąć tarcia. Wtedy potrafilibyśmy budować wiecznie działające urządzenia i mielibyśmy...

- Zaraz, zaraz - zdenerwował się Vickers - do czego pan zmierza? Jak to "wiecznie działające urządzenia"? Przecież myśmy to już odkryli.

Rozmawiałem dziś rano z Ebem i powiedział mi...

- O samochodzie. O tym właśnie mówię, panie Vickers.

11

JESZCZE DŁUGO PO ODEJŚCIU Flandersa Vickers siedział w ogrodzie, palił papierosy i gapił się na kawałek nieba, który widział między szczytem żywoplotu i dachem altany ogrodowej... spoglądał na niebo i jego kryształowe gwiazdy, myśląc o tym, że nikt nie potrafi uzmysłwić sobie, jakie odległości w czasie i przestrzeni dzielą jedną gwiazdę od drugiej.

Flanders. Starszy mężczyzna w wytartym płaszczu i z wypolerowaną laską w ręku. Jego dziwaczny sposób mówienia przywoływał na myśl inne czasy i inną kulturę. Co też ten człowiek mógł wiedzieć o wiedzy drzemiącej w gwiazdach? Każdy mógł to wymyślić. Bo co też on takiego powiedział? Wyluszczył Vickersowi swoje przemyślenia zebrane w wolnych chwilach. To jest to, zdecydował Vickers. Starszy, niepracujący ekscentryk, który nie ma nic innego do roboty, jak tylko zastanawiać się nad różnymi rzeczami, co pozwala mu odejść od starych i zakurzonych wspomnień i przenieść się myślami do innego świata.

Wstał i poszedł do pokoju gościnnego. Wziął krzesło przed swojego biurka i usiadł wpatrując się w maszynę do pisania, która oskarżała go niemo o marnotrawienie czasu, zmarnowanie całego dnia,

wskazywała

oskarżycielskim gestem na leżący w pobliżu rękopis, który byłby teraz nieco grubszy, gdyby tego dnia Vickers nie wyszedł z domu.

Wziął do ręki parę stron rękopisu i starał się je przeczytać, ale jakoś zupełnie stracił zainteresowanie swoją powieścią. Poza tym złapał się na przerażającej myśli, że stracił wątek, zgubił gdzieś tę iskrę, która prowadziła go dzień za dniem, pomagając ułożyć w logiczny ciąg słowa, które pisał.

Słowa, które m u s i a ł napisać, żeby uwolnić się od chaosu panującego w głowie, jak gdyby przelanie ich na papier było zadaniem lub pokutą, która musiała być odprawiona, aby mógł dalej żyć.

Odmówił napisania książki dla Crawforda, twierdząc że musi wracać do domu i dodawać kolejne strony do rękopisu leżącego na biurku.

Ale był jeszcze jeden powód. Przeczucie, jak powiedział później Ann, która go wyśmiała. Przeczucie, strach i czające się w mroku zagrożenie stały na jego drodze, za wszelką cenę starając się odwieść go od podjęcia wyzwania.

Oczywiście, było to nielogiczne, bo przecież tak naprawdę nie miał się czego obawiać. Nie miał też żadnego powodu, by odrzucić tak lukratywną propozycję. Potrzebował pieniędzy. Ann potrzebowała pieniędzy, które przyniosłby jej udział w tym przedsięwzięciu. W jego odmowie nie sposób było doszukać się żadnej logiki ani sensu. A mimo to bez chwili wahania odrzucił propozycję.

Odłożył strony rękopisu z powrotem na stosik, podniósł się z krzesła i przysunął je do biurka.

Jak gdyby na sygnał przesuwającego się po dywanie krzesła w jednym z

zaciemnionych rogów pokoju rozległ się tajemniczy szmer obiektu sunącego w kierunku drugiego kąta. Następnie zapadła cisza tak głęboka, że Vickers słyszał szelest winorośli poruszanej delikatnie powiewem wiatru i uderzającej w okno, które wychodziło na ogród. Potem nawet winorośl przestała szeleścić i w domu zapanowała śmiertelna, nienaturalna cisza, tak jakby dom zamarł w oczekiwaniu na to, co się teraz stanie.

Vickers powoli odwrócił się twarzą w stronę pokoju, przestawiając stopy i przemieszczając ciało w przesadzonym, wręcz śmiesznym wysiłku, by nie wywołać żadnego hałasu. Obracał się, żeby stanąć twarzą w stronę rogu pokoju, z którego dochodził tajemniczy dźwięk. Robił to jednak w taki sposób, aby źródło dźwięku nie mogło się zorientować, że się odwrócił.

Nie było już myszy. Kiedy przebywał w mieście, Joe wytruł wszystkie szkodniki. Skoro jednak nie było myszy, nie powinno też być szelestów w kątach. Jay zachował kartkę, która leżała jeszcze przy lampce na biurku. Zgodnie z tym, co było na niej napisane, Joe płaci sto dolców za każdą mysz, którą Vickers zdoła złapać.

Zapadła cisza, nie tyle nawet cisza, co spokój, jakby wszystko zamarło w bezdechu.

Poruszając jedynie gałkami ocznymi, bo wydawało mu się, że jeśli ruszy głową, kark zacznie mu skrzypieć i narazi go na przyczajone niebezpieczeństwo, Vickers rozejrzał się po pokoju zwracając szczególną uwagę na cienie w rogach i pod meblami oraz mroczne miejsca znajdujące się daleko od światła. Ostrożnie przesunął ręce do tyłu i chwycił za kant biurka, dzięki czemu nie czuł się tak wystawiony na atak, który mógł przecież nadejść

z każdego kierunku.

Palce jego prawej dłoni dotknęły czegoś metalicznego, zorientował się, że jest to metalowy przycisk, który zdjął z rękopisu, żeby przeczytać parę kartek.

Palce wyprężyły się, by go mocniej schwycić. Podniósł przycisk zaciskając na nim palce. Postanowił, że potraktuje go jako broń.

W rogu pokoju, przy żółtym krześle coś przycupnęło i chociaż sprawiało wrażenie pozbawionego oczu, Vickers zdawał sobie sprawę, że istota przygląda mu się. Nie wiedziała jednak, że on również ją dostrzegł, a w każdym razie nie przejawiała żadnych oznak strachu. Już wkrótce jednak miała dowiedzieć się, jak bardzo jest w błędzie.

- Teraz! - krzyknął Vickers, a jego głos wybuchł jak pocisk armatni. Prawe ramię uzbrojone w przycisk do papierów poleciało do góry, nad głową i do przodu, miotając metalowym przedmiotem w róg pokoju.

Rozległ się brzęk metalowych części rozsypujących się po podłodze.

12

NA PODŁODZE LEŻAŁO dużo małych, pozginanych rurek, cała masa splecionych ze sobą przewodów, śmieszne kryształowe, popękane dyski i metaliczna obudowa zewnętrzna, która dotąd mieściła rurki, przewody i dyski oraz wiele innych elementów mechanicznego urządzenia, jakie Vickers po raz pierwszy widział na oczy.

Vickers przysunął do siebie lampkę z biurka, aby światło padało na części mechanizmu, które zbierał z podłogi. Włożył między nie palec i kręcił w kółko przysłuchując się dźwiękom, jakie wydawały stukając jedne o drugie.

Nie była to mysz, ale coś innego, coś, co kryło się w ciemności i miało za

zadanie udawać mysz. To coś przestraszyło wcześniej kota, który bez trudu rozpoznał, że nie jest to mysz. I to coś w żaden sposób nie dawało się złapać w zastawione pułapki.

Zdaje się, że miał do czynienia z urządzeniem elektronicznym, jak można było sądzić po plątaniu przewodów i rurek. Vickers raz jeszcze wsadził palec pomiędzy splątane przewody i słuchał, jak brzęczą.

Miał przed sobą elektronicznego szpiega, który ukrywał się, przemykał chyłkiem między meblami, podsłuchiwał i śledził go przez cały czas, rejestrował wszystko, co zauważy, by w przyszłości odtworzyć lub przesłać dane gdzieś dalej. Ale do kogo? I po co? A może to w ogóle nie jest urządzenie szpiegujące, ale raczej coś, czego obecność można wytłumaczyć w prostszy albo wprost przeciwnie, w bardziej zaskakujący sposób. Gdyby było to urządzenie obserwujące lub podsłuchujące, umieszczone tu po to, by szpiegować go, to pewnie nigdy nie udałooby mu się go odkryć. Nigdy przedtem nie widział czegoś takiego, mimo że od miesięcy słyszał owo ciche przemykanie, które zawsze brał za dowód obecności myszy.

Gdyby to było urządzenie szpiegujące, zbudowano by je w taki sposób, że mogłoby nie tylko go obserwować, ale również robić to niepostrzeżenie. Nigdy nie popełniłoby błędu. I nigdy nie pozwoliloby sobie na to, by zostać odkrytym.

Chyba że chciało zostać dostrzeżone!

Siedział przecież przy biurku, dosunął krzesło i w tym momencie usłyszał jakiś szelest. Gdyby nie uciekało, nigdy by go nie dostrzegł. A przecież nie potrzebowało uciekać, gdyż w pokoju było dość ciemno. Palila się tylko

lampka na biurku, a poza tym Vickers obrócony był do tego czegoś plecami.

Teraz był już pewien, że urządzenie chciało zostać dostrzeżone, wyraźnie chciało zostać zagonione w róg pokoju i rozwalone przyciskiem do papieru.

Uciekało specjalnie, żeby zwrócić na siebie uwagę, a kiedy już je zobaczył, nie starało się czmychnąć.

Siedział przy biurku, a na jego czole pojawiły się zimne krople potu. Czuł, że zaraz zaczną spływać, ale nie podniósł nawet ręki, żeby je zetrzeć.

Chciało zostać dostrzeżone. Chciało, żeby wiedział.

Nie ono samo, oczywiście, ale ten, kto nim sterował, kimkolwiek lub czymkolwiek był. Ten, kto umieścił mechanizm w jego mieszkaniu.

Miesiącami urządzenie kręciło się po domu, słuchało i przyglądało się, a teraz czas przysłuchiwania się i obserwacji minął i nadeszła pora na coś zupełnie innego. A mianowicie na poinformowanie go, że jest szpiegowany.

Ale dlaczego i przez kogo?

Zwalczył w sobie zimną, krzyczącą panikę, która zawładnęła nim na chwilę.

Zmusił się do pozostania w krześle.

Zapewne rozwiązanie tajemnicy tkwiło w tym właśnie dniu. Gdzieś było rozwiązanie, musiał je tylko dostrzec. Właśnie dziś musiało zdarzyć się coś, co upewniło osobę kierującą urządzeniem, że czas już, by się dowiedział.

Prześledził jeszcze raz wydarzenia tego dnia, układając je w myślach tak,

jakby zapisywał wszystko w zeszycie: Przyjście małej dziewczynki na

śniadanie. Wspomnienie spaceru, jaki odbył dwadzieścia lat temu. Historia w

gazecie o tym, że istnieje więcej niż jeden świat. Kobieta, która siedziała za

nim w autobusie, pani Leslie i klub, który organizowała.

Crawford i jego historia o świecie, który został przyparty do muru.

Dom w cenie pięćset dolarów za pokój.

Flanders siedzący w ogrodzie i mówiący o istnieniu nieznanego czynnika, który zapobiega wybuchowi wojny.

Mysz, która nie była myszą.

To oczywiście nie wszystko. Na pewno zapomniał o niektórych elementach.

Nie wiedzieć czemu miał przeświadczenie, że pominął coś, jakiś ważny fakt, który powinien dołączyć do listy wydarzeń tego dnia.

Flanders mówił, że jest zainteresowany rozwojem sieci sklepów typu "1001 drobiazgów", że intryguje go zagadka węglowodanów i jest przekonany, iż coś się dzieje.

Później tego dnia siedział w ogrodzie i mówił o zasobach wiedzy, które znajdują się we wszechświecie, o czynniku, który zapobiega wybuchowi wojny, oraz innym czynniku, który prawie sto lat temu zmienił losy człowieka i od tego czasu utrzymywał jego rozwój w tempie przyspieszonym. Powiedział też, że rozmyśla tak sobie o tym wszystkim w wolnych chwilach.

Ale czy jego przemyślenia w rzeczywistości były blahostką?

A może Flanders wiedział więcej, niż chciał powiedzieć?

A jeśli tak, co z tego wynika?

Vickers wstał z krzesła.

Spojrzał na zegarek. Była prawie druga.

Trudno, pomyślał. Czas już przekonać się, o co w tym wszystkim chodzi.

Nawet jeśli będę musiał włamać się do jego mieszkania i krzyczącego wyrzucić z łóżka w koszuli nocnej (był pewien, że Flanders nie używa pidżamy). Czas

już się przekonać.

13

ZANIM DOTARŁ DO DOMU Flandersa, już z daleka widział, że coś jest nie tak. Dom był rozświetlony od piwnicy aż po strych. Wokół domu chodzili mężczyźni z latarniami. Poza tym byli tam również inni ludzie; stali w grupkach i dyskutowali. Na całej długości ulicy w ogródkach stały kobiety i dzieci ubierając się pośpiesznie.

Bramę okupowała grupa mężczyzn. Kiedy podszedł do nich, zauważył, że niektórych zna. Był tam Eb, mechanik samochodowy, Joe, zabójca myszy, i Vic, który prowadził sklep perfumeryjny.

- Cześć, Jay - rzekł na jego widok Eb. - Miło cię widzieć.

- Cześć, Jay - dodał Joe.

- Co tu się dzieje? - spytał Vickers.

- To ten staruszek, Flanders - wyjaśnił Vickers. - Po prostu znikł.

- Jego gospodyni wstała w nocy, żeby dać mu lekarstwo tłumaczył Eb - i stwierdziła, że go nie ma. Szukała go przez chwilę, a potem wezwała pomoc.

- Szukaliście go? - dopytywał się Vickers.

- W całym domu - odparł Eb. - Ale teraz się rozdzielamy i zaczynamy poszukiwania w okolicy. Musimy działać systematycznie.

Właściciel sklepu perfumeryjnego dodał:

- Myśleliśmy na początku, że może kręcił się nocą gdzieś po domu albo ogrodzie i dostał ataku epilepsji. Dlatego najpierw szukaliśmy w okolicy.

- Sprawdziliśmy cały dom, od góry do dołu - ciągnął dalej Joe. - Potem przeszukaliśmy ogród, ale nie ma po nim ani śladu.

- Może poszedł na spacer - podrzucił Vickers.

- Żaden zdrowo myślący człowiek nie wyszedłby na spacer po północy - stwierdził Joe.

- Według mnie to nie był zdrowo myślący człowiek - zaprzeczył Eb. - Nie chodzi o to, że go nie lubilem. Nigdy nie spotkałem nikogo z lepszymi manierami, ale on był jakiś dziwny.

Po wysypanej ceglanym miałem ścieżce podszedł do nich jakiś mężczyzna z latarnią.

- Jesteście gotowi? - spytał.

- Pewnie, szeryfie - odparł Eb. - Czekamy na pańskie rozkazy.

- Cóż - westchnął szeryf - niewiele możemy zrobić, zanim wzejdzie dzień. Ale myślę, że do tego czasu możemy trochę rozejrzeć się po okolicy. Paru ludzi wysłałem w kierunku miasteczka. Będą chodzić po ulicach i wypatrywać go.

Może chcielibyście pójść wzdłuż rzeki?

- W porządku - zgodził się Eb. - Niech pan tylko powie, co mamy robić, a my dołożymy wszelkich starań.

Szeryf podniósł latarnię na wysokość ramienia i przyjrzał się im.

- Jay Vickers, prawda? Miło, że do nas dołączyłeś, Jay. Potrzebujemy wszystkich.

Vickers skłamał, nie wiedząc nawet dlaczego to robi:

- Usłyszałem jakiś ruch.

- Chyba dość dobrze znałeś staruszkę? Lepiej niż większość z nas.

- Prawie codziennie przychodził do mnie na pogawędkę wyjaśnił Vickers.

- Wiem. Zauważyliśmy to. Nigdy nie rozmawiał z innymi ludźmi.

- Mieliliśmy wspólne zainteresowania - rzekł Vickers. Poza tym czuł się chyba nieco samotny.

- Gospodyni powiedziała, że ostatniego wieczora też był u ciebie.

- Tak, był - potwierdził Vickers. - Wyszedł parę minut po północy.

- Zauważyłeś może coś niezwykłego? Coś dziwnego w tym, co mówił?

- Zaraz, szeryfie - wtrącił się Eb. - Chyba nie myśli pan, że Jay miał z tym coś wspólnego?

- Nie - odpowiedział szeryf. - Chyba nie. - Opuścił latarnię i dodał: - Idźcie ku rzece. Jak tam dojdziecie, rozdzielcie się. Część niech pójdzie w górę, część w dół rzeki. Nie wydaje mi się, żebyście cokolwiek znaleźli, ale lepiej sprawdzić.

Wracajcie przed wschodem słońca. Wtedy zaczniemy poważne poszukiwania.

Szeryf odwrócił się i odszedł alejką z kołyszącą się latarnią.

- Chyba lepiej będzie, jak ruszymy - zaczął Eb. - Poprowadzę grupę w górę rzeki, a ty, Joe pójdiesz z resztą w dół. W porządku?

- Jasne - odpowiedział Joe.

Wyszli przez bramę i ruszyli ulicą aż do skrzyżowania, gdzie skręcili w stronę mostu. Tu się zatrzymali.

- Teraz się podzielimy - zarządził Eb. - Kto chce iść z Joe'em?

Zgłosiło się paru ochotników.

- Dobra - ciągnął Eb. - Reszta idzie ze mną. Rozdzielili się i ruszyli brzegiem rzeki spowitej mgłą. W ciemności słyszeli ciche szemranie wody. Nad brzegiem zaskrzeczał jakiś ptak. Patrząc na lustro wody, można było dostrzec gwiazdy rozsypane ponad nim na niebie.

- Myślisz, że go znajdziemy, Jay? - spytał Eb.

Vickers mówił powoli, jakby ważąc słowa:

- Wątpię. Nie wiem dlaczego, ale jestem pewien, że nie.

14

VICKERS WRÓCIŁ DO DOMU dopiero wczesnym wieczorem.

Kiedy wchodził do środka, zadzwonił telefon. Rzucił się do niego przez pokój i podniósł słuchawkę.

Dzwoniła Ann Carter.

- Cały dzień usiłowałam cię złapać. Jestem piekielnie wkurzona. Gdzie byłeś?

- Szukałem jednego człowieka - odparł Vickers.

- Nie żartuj, Jay - roześmiała się gorzko. - Proszę cię, nie żartuj.

- Nie żartuję. Zniknął starszy człowiek, mój sąsiad. Szukałem go razem z innymi.

- I co, znalazł się?

- Nie.

- Szkoda - zmartwiła się. - Czy to był miły staruszek?

- Najmilszy, jakiego tylko można sobie wyobrazić.

- Może jeszcze go odnajdziecie.

- Może - odparł Vickers. - Dlaczego jesteś zła?

- Pamiętasz, co powiedział Crawford?

- Mówił wiele rzeczy.

- Ale o tym, co będzie następne. Pamiętasz?

- Jak bym powiedział, że tak, to bym skłamał.

- Więc ci przypomnę. Powiedział, że następne będą ubrania. Sukienki za

pięćdziesiąt centów.

- Rzeczywiście - przypomniał sobie Vickers - teraz pamiętam.

- No i stało się.

- Co się stało?

- Pojawiły się. Ale nie za pięćdziesiąt centów. Za piętnaście!

- I co, kupiłaś już sobie?

- Nie. Za bardzo się bałam. Szłam sobie Piątą Aleją i zobaczyłam ogłoszenie w oknie wystawowym, że sukienka na manekinie kosztuje piętnaście centów.

Wyobrażasz sobie?! Sukienka za piętnaście centów na Piątej Alei!

- Nie, nie wyobrażam sobie - przyznał Vickers.

- To była piękna sukienka - dodała. - Cała błyszcząca. Nie od kamieni czy świecidełek. Ten materiał tak błyszczał. Jakby był żywy. A kolor... Jay, mówię ci, to była najpiękniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek widziałam. I mogłam ją mieć za piętnaście centów, ale nie wytrzymałam nerwowo. Przypomniałam sobie, co Crawford nam powiedział. Stałam przed witryną, przyglądałam się sukience i nagle zrobiło mi się zimno.

- Szkoda - zawyrokował Vickers. - Pozbieraj się i idź tam jutro rano. Może jeszcze ją mają.

- Ale nie o to chodzi, Jay. Nie rozumiesz? Oznacza to, że Crawford miał rację. Wie, co mówi, że to jakiś spisek, że świat naprawdę został przyparty do miru.

- I co chcesz, żebym z tym zrobił?

- Tego... nie wiem, Jay. Myślałam, że cię to zainteresuje.

- Zainteresowało mnie - przyznał Vickers. - I to bardzo.

- Jay, coś się dzieje.

- Pewnie, że coś się dzieje - zgodził się Vickers.

- O co tu chodzi? To coś więcej niż mówił Crawford. Nie wiem tylko, w jaki sposób...

- Ja też nie wiem. Ale sprawa jest poważna. Zbyt poważna, żebyśmy mogli rozwikłać ją we dwójkę. Muszę to wszystko przemyśleć.

- Jay. - W jej głosie nie słyhać już było oznak zdenerwowania. - Jay, już mi lepiej. Miło było z tobą porozmawiać.

- Idź tam jutro rano - przekonywał ją - i kup całe naręczce tych sukienek.

Staraj się być jak najwcześniej, żebyś zdążyła ustawić się w kolejce.

- W kolejce? Jak to?

- Słuchaj, Ann - tłumaczył Vickers - kiedy rozejdą się wieści, na Piątej Alei zbierze się taki tłum, jakiego jeszcze nigdy nie widziałaś.

- Chyba masz rację. Zadzwonisz do mnie jutro? - Zadzwonię.

Powiedzieli sobie dobranoc i rozłączyli się. Vickers jeszcze przez chwilę nie ruszał się z miejsca, próbując przypomnieć sobie, co też miał teraz zrobić.

Powinien przygotować sobie kolację i zacząć pisać. Powinien też sprawdzić, czy przyszły jakieś listy.

Wyszedł na dwór i poszedł do skrzynki pocztowej umieszczonej przy bramie. Wyjął z niej plik listów i przejrzał je szybko, ale światło było na tyle słabe, że nie mógł odczytać nazwisk nadawców. Podejrzewał, że są to w większości reklamy. Poza tym pewnie parę rachunków, chociaż na te było jeszcze za wcześnie.

Kiedy znalazł się już w domu, włączył lampkę i położył pocztę na biurku.

Pod lampką leżała sterta rurek i dysków, które podniósł z podłogi

poprzedniego wieczora. Stał tak przyglądając się im i wspominał całe zajście.

Wszystko rozegrało się zaledwie wczoraj, a miał uczucie, jakby upłynęło już

ładnych parę tygodni od dnia, kiedy rzucił przyciskiem i usłyszał brzęk,

któremu towarzyszyła kaskada malutkich elementów maszynerii skaczących

po podłodze.

Stał dokładnie w tym samym miejscu i wiedział, że gdzieś w mroku czai się

odpowiedź, rozwiązanie zagadki - gdyby tylko wiedział, gdzie go szukać.

Znowu zadzwonił telefon.

Dzwonił Eb. Na dzień dobry rzucił:

- I co o tym myślisz?

- Naprawdę nie wiem - odpowiedział Vickers.

- Utonął - zapewniał go Eb. - Jestem tego pewien. Tak powiedziałem szeryfowi. Zaczną przeszukiwać rzekę jutro rano, jak tylko wstanie słońce.

- Nie wiem - wzruszył ramionami Vickers. - Może masz rację, ale wydaje mi się, że jednak żyje.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Nie potrafię ci powiedzieć - odparł Vickers. - Nie mam pojęcia. Tak podpowiada mi przeczucie.

- Dzwonię do ciebie - zmienił temat Eb - bo dostałem kilka tych wiecznych samochodów. Przyszły dziś po południu. Myślałem, że może chciałbyś...

- Prawdę mówiąc nie zastanawiałem się nad tym, Eb. Ale może rzeczywiście powinienem sobie taki sprawić.

- Przyprawdzą ci go jutro rano - zdecydował Eb. Będziesz mógł

wypróbować. Zobaczysz, czy ci się podoba.

- Świetnie - zgodził się Vickers.

- W takim razie jesteśmy umówieni. Do zobaczenia rano. Vickers podszedł z powrotem do biurka i sięgnął po listy. Wbrew oczekiwaniom nie było między nimi rachunków. Na siedem listów sześć stanowiły reklamy, a siódmy był białą kopertą zaadresowaną nierównymi gryzmołami.

Otworzył ją. W środku znajdowała się elegancko złożona kartka papieru.

Rozłożył ją i przeczytał:

Mój drogi przyjacielu!

Mam nadzieję, że nie zmęczyłeś się zbyt przy poszukiwaniach, które zapewne trwały cały dzisiejszy dzień.

Czuję się nieswojo na myśl o tym, że moje poczynania skłonią wielu ludzi z naszego wspaniałego miasteczka do biegania po okolicy i zaniedbywania swoich osobistych spraw. Nie wątpię jednak, że będą się przy tym świetnie bawić.

Wydaje mi się, że mogę ci zaufać, iż nie przedstawiś niniejszego listu naszym sąsiadom ani nie będziesz przekonywać ich w stopniu większym niż zwykle co do niedorzeczności poszukiwania mojej skromnej osoby. Ze swej strony mogę cię zapewnić, że jestem bardzo szczęśliwy i jedynie potrzeba chwili zmusiła mnie do uczynienia tego, co zrobiłem.

Piszę ten list z dwóch powodów. Po pierwsze, abyś przestał się o mnie martwić. Po drugie, aby przez wzgląd na naszą przyjaźń udzielić ci pewnej dobrej rady.

Już od dłuższego czasu odnosilem wrażenie, że za bardzo przejmujesz się

swoją pracą i że dla kogoś w twoim położeniu wakacje mogą być świetnym rozwiązaniem. Być może powrót do krainy twego dzieciństwa, do miejsc, gdzie przechadzałeś się będąc dzieckiem, rozwieje mgłę zapomnienia i zdejmie zasłonę z twoich oczu.

Twój przyjaciel,

Horton Flanders.

15

NIE PÓJDE, MYŚLAŁ. Vickers. Nie mogę tam pójść. Przecież to miejsce nic już dla mnie nie znaczy i nie chcę, żeby cokolwiek znaczyło po tych wszystkich latach, kiedy starałem się je zapomnieć.

Mógł zamknąć oczy i patrzeć na żółte błoto zmytych deszczem pól, białe drogi przysypane kurzem rozdmuchiwanym po dolinach i nad szczytami wzgórz, samotne skrzynki pocztowe przycupnięte na pochylających się smutno ku ziemi ogrodzeniach, obwisłe bramy, zniszczone ulewami domy, kościste bydło spędzane z pastwisk i idące po ubitych kopytami ścieżkach, wynędzniałe psy, które czekały, gdy tylko chciało się podejść do płotu.

Jeśli powrócę, spytają, dlaczego wróciłem i jak mi się wiedzie. Już słyszał, jak mówią: Szkoda twojego ojca. To był dobry człowiek. Będą siedzieć przed sklepem na odwróconych pudełkach kartonowych, powoli żuć tytoń, spluwać na chodnik, patrzeć na niego z ukosa i mówić: Więc piszesz książki. Na Boga, kiedyś będę musiał jakąś przeczytać. Nie znam nawet jednego tytułu.

Potem pójdzie na cmentarz i stanie przed kamieniem z kapeluszem w dłoni, wsłucha się w zawodzenie wiatru w wielkich sosnach rosnących wokół ogrodzenia cmentarza i pomyśli, że gdyby tylko udało mu się zostać kimś,

zanim zmarli rodzice, wtedy mogliby być z niego dumni i chwalić się nim, kiedy sąsiedzi przychodzili na pogaduszki. Niestety, teraz było już za późno. Będzie jeździł po drogach, którymi chadzał, kiedy był małym chłopcem. Zatrzyma samochód przy zatoczce, przejdzie przez ogrodzenie i dojdzie do jamy, w której zawsze łapał klenie. Strumień będzie się wolno sączyć, a jama będzie tylko błotnistym rozlewiskiem. Pień, na którym siadywał, zapewne odpłynął już z wiosennymi roztopami. Spojrzy na wzgórza, które wydadzą mu się znajome, a jednocześnie jakieś inne. Będzie starał się zrozumieć, co się zmieniło, ale nadaremnie. Przez cały czas będzie więc myśleć o strumieniu i tych dziwnych wzgórzach, z każdą chwilą czując się coraz bardziej obco i samotnie. W końcu ucieknie. Naciśnie do dechy pedał gazu, chwyci mocno kierownicę i będzie się starał myśleć o czymś innym.

Potem przejedzie obok wielkiego, ceglanego domu z portykiem i półkolistym świetlikiem nad drzwiami. Będzie jechał bardzo powoli, przypatrując mu się i zobaczy obluzowane okiennice, wyblakłą farbę i uschnięte podczas którejś mroźnej i szalejącej zimy róże, które kwitły przy bramie.

Nie pojedę, powiedział do siebie. Nie pojedę.

A może jednak powinien.

"To może rozwiać mgłę", napisał Flanders, "i zdjąć zasłonę z twoich oczu."

Co jednak zobaczy, kiedy mu spadnie zasłona z oczu?

Czy gdzieś tam wśród ścieżek dzieciństwa kryło się coś, co mogło wyjaśnić

jego obecną sytuację? Jakiś nieznan fakt, abstrakcyjny symbol, którego

wcześniej nie dostrzegał? Może było to coś, co widział, nawet wiele razy, ale

niewłaściwie odczytywał znaczenie tego czegoś.

A może miał przywidzenia, przypisywał znaczenie słowom, które tak naprawdę nie były istotne? Skąd ta pewność, że Horton Flanders w swoim wytartym garniturze i ze śmieszną laseczką ma coś wspólnego z historią, jaką opowiadał Crawford o ludzkości przypartej do muru?

Nie było żadnych dowodów.

Ale przecież Flanders znikł i napisał do niego list.

Rozwiać mgłę, żebym mógł lepiej widzieć, przypomniał sobie raz jeszcze.

Może oznaczało to tylko, że gdy rozwieje mgłę, będzie mógł lepiej pisać, że rękopis, którego początek leżał na biurku, będzie lepszy, ponieważ jego twórca patrzy na życie otwartymi oczyma. Może chodziło o mgłę uprzedzeń albo mgłę próżności, a może zwykłą mgłę, przez którą nie widzi się najlepiej.

Vickers położył dłoń na rękopisie i w zamyśleniu przerzucił parę stron. Tak mało napisałem, pomyślał, a tak dużo jeszcze pozostało do zrobienia.

Już od dwóch dni nic nie napisał. Całe dwa dni poszły na marne.

Żeby móc pisać, musiałby usiąść spokojnie, skoncentrować się, zapomnieć o świecie zewnętrznym i pozwolić, żeby ten inny, wybrany przez niego świat przenikał powoli do jego wnętrza, świat, który mógł być analizowany i przejrzyste budowany.

Usiąść spokojnie, powtórzył w myślach. Mój Boże, jak można być spokojnym, kiedy człowieka dręczą tysiące pytań i wątpliwości?

Sukienki po piętnaście centów, mówiła Ann. Sukienki po piętnaście centów na Piątej Alei.

Istniało coś, co przeoczył, jakiś ważny czynnik, który czekał na dostrzeżenie,

a on po prostu go nie widział.

Najpierw przyszła na śniadanie ta dziewczynka, potem czytał gazetę. Potem poszedł do warsztatu, a Eb opowiedział mu o wiecznym samochodzie.

Ponieważ jednak jego własny samochód nie był gotów, poszedł na róg ulicy, przed sklep perfumeryjny, żeby złapać autobus. Spotkał Flandersa, który stanął razem z nim przy wystawie sklepu z 1001 drobiazgów. Flanders powiedział wtedy...

Zaraz, chwileczkę. Poszedł na róg ulicy, żeby złapać autobus.

Autobus był jakiś niezwykły, to utkwilo w jego pamięci.

Wszedł do autobusu i usiadł przy oknie. Wyglądał przez szybę, a w tym czasie nikt nie zajął miejsca obok niego. Pojechał do miasta siedząc samemu. To jest to, pomyślał, czując dzikie podniecenie i przerażenie na samą myśl o tym, co przeoczył. Stał przez chwilę bez ruchu, starając się za wszelką cenę wyrzucić z pamięci incydent, który zdarzył się tyle lat temu. Stał tak i czekał, ale wydarzenie to ani myślało dać się wyrugować z pamięci. Vickers wiedział, że od niego nie ucieknie i wiedział już, co ma zrobić.

Odwrócił się do biurka, wysunął górną szufladę po lewej stronie i powoli, metodycznie opróżnił całą jej zawartość. To samo zrobił ze wszystkimi pozostałymi szufladami, ale nie znalazł tego, co szukał.

To musi tu gdzieś być, pomyślał. Z pewnością tego nie wyrzuciłem.

Może na strychu. W którejś ze skrzyń na strychu.

Wszedł po schodach na strych, zapalił światło i aż zamrugnął powiekami od blasku nieosłoniętej żarówki zwisającej z sufitu. W powietrzu czuć było chłód, a nagie krokwie podtrzymujące dach z obu stron sprawiały wrażenie szczęk,

które zaraz zacisną się i pochwycą go w swe potężne zębiska.

Vickers podszedł do trzech skrzyń i otworzył po kolei ich wieka. Która z nich skrywała to, czego szukał? Naprawdę nie miał pojęcia.

Zaczął więc od pierwszej z brzegu i o dziwo odnalazł poszukiwaną przez siebie rzecz mniej więcej w połowie głębokości skrzyni, pod karabinkiem na śrut, którego używał zeszłej jesieni do polowań na ptaki, zresztą w końcu zarzuconych; nie ustrzelił ani jednego.

Otworzył mocno zakurzony notatnik i zaczął go przeglądać, aż doszedł do stron, których szukał.

16

TO MUSIAŁO SIĘ ZACZAĆ na długo przedtem, zanim zauważył, co się dzieje.

Kiedy się wreszcie spostrzegł, najpierw trochę się nad tym zastanawiał, potem rozpoczął dokładną obserwację, a kiedy obserwacja doprowadziła go do niespodziewanych rezultatów, starał się obrócić wszystko w żart, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że takiej rzeczy nie można było obrócić w żart. Wznowił więc obserwację na miesiąc, zapisując wszystko, co zauważył.

Kiedy zapiski dowiodły, że wyciągnął właściwe wnioski z wcześniejszych obserwacji, usiłował wmówić sobie, że chodzi tylko o jego fantazję. Jednak miał to przecież czarno na białym i wiedział, że coś w tym musi być.

Z notatek wynikało, że jest gorzej, niż mu się początkowo wydawało, że cała sprawa dotyczy nie tylko pewnego etapu jego życia, ale również wielu innych rzeczy. Kiedy wreszcie to pojął, stał oniemiały dobre piętnaście minut zastanawiając się, dlaczego nie dostrzegął niczego wcześniej, skoro było to coś

tak oczywistego, wręcz na pierwszy rzut oka.

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy zauważył, że nikt nie chce usiąść przy nim w autobusie. Mieszkał wówczas w starym, zrujnowanym pensjonacie na obrzeżach miasta, tuż przy pętli autobusowej. Wstawał rano i będąc jednym z niewielu pasażerów o tej porze, zajmował swoje ulubione miejsce.

Autobus stopniowo zapełniał się zabierając pasażerów z kolejnych przystanków, ale jakimś cudem Vickersowi udawało się siedzieć samotnie prawie do końca. Oczywiście, nie martwił się tym, a nawet mu się to podobało, bo mógł wtedy zsunąć sobie kapelusz na oczy i wygodnie rozłożyć się na siedzeniu, a czasami nawet zdrzemnąć się trochę, nie zastanawiając się w ogóle, czy tak powinien postępować człowiek dobrze wychowany. Nie był chyba zresztą najlepiej wychowany. A godzina, o której musiał podążać do pracy, nie sprzyjała dobremu wychowaniu.

Wsiadając do autobusu ludzie przysiadali się do innych, niekoniecznie swoich znajomych, bo jak często zauważał, przez całą podróż nie zamieniali ani słowa z sąsiadem. Siadali z innymi, ale nigdy przy nim, chyba że było już bardzo tłoczno, wszystkie inne miejsca były zajęte, i mieli do wyboru usiąść z nim albo tłoczyć się na stojąco.

Może, wmawiał sobie, chodziło o to, że był przepecony. Może brzydko pachniało mu z ust. Zaczął się więc kąpać, szorując się dokładnie nowym mydłem, które zgodnie z reklamą gwarantowało zapach świeżości. Dokładniej mył też zęby i płukał usta specjalnym płynem, aż wreszcie zaczęło mu się robić niedobrze na sam jego widok.

Nic nie pomogło. Nadal jeździł sam.

Przyglądał się sobie w lustrze i wiedział, że nie chodzi o jego ubranie, bo w tamtych czasach ubierał się wcale nie najgorzej.

Doszedł wreszcie do wniosku, że musi tu chodzić o jego zachowanie.

Zamiast rozwalać się na siedzeniu i zsuwać kapelusz na oczy, siadał wyprostowany, promienny i wesóły, i uśmiechał się do wszystkich.

Przez cały tydzień uśmiechał się do patrzących na niego ludzi, jakby był młodym biznesmenem ze świetnymi widokami na przyszłość.

Nadal jednak nikt nie siadał obok niego, chyba że nie było już innych wolnych miejsc. Pocięszał się przynajmniej tym, że wolą siedzieć z nim niż stać.

Właśnie wtedy zauważył jeszcze coś.

W biurze koledzy zawsze zbierali się w małe grupki po trzech lub czterech przy jednym biurku i rozmawiali o partiach golfa, ostatnich skandalach lub zastanawiali się, dlaczego ktoś pracuje tutaj, kiedy jest tyle innych, znacznie bardziej interesujących zajęć.

Tak się dziwnie składało, że nikt nigdy nie podchodził do jego biurka.

Próbował więc dołączyć do innych. Jak tylko się zbliżał, koledzy prawie natychmiast rozchodzili się do swoich zajęć. Próbował więc nawiązywać rozmowy z poszczególnymi osobami w biurze. Koledzy byli wprawdzie zawsze mili, ale mieli akurat wtedy masę roboty.

Sprawdził zawartość swego budżetu konwersacyjnego. Wyglądał całkiem pokaźnie. Nie grał co prawda w golfa, ale znał kilka ciekawych skandali, czytał większość niedawno wydanych książek i widział najlepsze z nowych filmów.

Wiedział co nieco o polityce biurowej i mógł swobodnie skrytykować szefa

wraz z całym personelem. Czytał gazety i przeglądał niektóre czasopisma, dzięki czemu wiedział, co się dzieje na świecie i mógł dyskutować o polityce.

Miał też wyrobione zdanie na temat sytuacji militarnej. Z takimi kwalifikacjami mógł bez trudu prowadzić owocne dyskusje. Ale i tak nikt nie chciał z nim rozmawiać.

To samo działo się w czasie lunchu. Właściwie dopiero teraz zauważył, że to samo działo się dosłownie wszędzie, dokądkolwiek się udawał.

Opisywał sobie wszystko z datami, dokładnie, dzień po dniu, a teraz, po piętnastu latach, siedział na skrzyni na poddaszu i czytał swoje własne słowa. Wpatrując się w pustą przestrzeń przed sobą, przypominał sobie, jak to było, jak się czuł, co mówił i robił, łącznie z tym, że nikt nie chciał z nim siedzieć, dopóki wszystkie siedzenia nie były zajęte. Dokładnie tak samo się działo, kiedy wczoraj pojechał do Nowego Jorku.

Piętnaście lat temu zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje, ale nie znalazł odpowiedzi.

I oto wszystko wróciło.

Czyżby w jakiś sposób odróżniał się od innych? A może raczej chodziło o jakąś cechę jego osobowości, która pozbawiała go iskry życia, blasku życzliwości?

Rzecz nie tylko w tym, że nikt nie chciał siedzieć przy nim ani też że nikt nie przychodził na pogawędki do jego biurka. To było coś znacznie większego, coś ulotnego, czego nie można przelać na papier. Uczucie samotności, które zawsze mu towarzyszyło, nie chwilowe przygnębienie, którego każdy kiedyś doświadcza, ale nieustające poczucie "inności", która oddzielała go od innych

ludzi. Jego niezdolność do nawiązania przyjaźni, jego nadmiernie przerośnięte poczucie dumy, opór przy poddawaniu się niektórym ogólnie przyjętym konwenansom towarzyskim.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że to właśnie z tego powodu wybrał dom w małym miasteczku, dzięki czemu krąg jego znajomych był ograniczony. W ten sposób mógł oddać się pisaniu, przenoszeniu na papier swych uczuć i samotnych myśli, które musiały znaleźć jakieś ujście.

Na inności zbudował całe swoje życie. Może właśnie dzięki niej osiągnął tę odrobinę sukcesu, która była jego udziałem. Zdążył już przywyknąć do swego stylu życia i nagle pewnego dnia coś postanowiło zaingerować w ustalony rytm codzienności. Zaczęło się od małej dziewczynki, która zadzwoniła do jego drzwi. Potem Eb opowiadał mu o wiecznym samochodzie. Następnie był jeszcze Crawford i dziwne słowa Flandersa w ogrodzie. W końcu odnalazł w skrzyni na strychu ów zapomniany po tylu latach notatnik.

Wieczny samochód i syntetyczne węglowodany, Crawford mówiący o świecie przypartym do muru... wiedział, że w jakiś sposób to wszystko wiąże się ze sobą, a w dodatku że on jest ogniwem łączącym.

Cholernie denerwujące było wiedzieć i nie mieć w ręku żadnego dowodu, poszlaki ani nawet wskazówki, która mogłaby tłumaczyć jego rolę w tym wszystkim.

Zdał sobie sprawę, że zawsze było tak, nawet w przypadku zupełnie nieistotnych rzeczy. Zawsze towarzyszyło mu przerażające uczucie, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę, żeby dotknąć prawdy, połączone z niemożnością poczynienia niewielkiego ruchu w jej kierunku.

Było to absurdalne uczucie. Wiedzieć, że postępuje właściwie, nie będąc nawet pewnym dlaczego, wiedzieć, że nie powinien przyjmować oferty Crawforda, kiedy wszystko zdawało się przemawiać za jej przyjęciem, wiedzieć od samego początku, że Hortona Flandersa nie uda się znaleźć, kiedy nie było powodu przypuszczać, iż nie zostanie odnaleziony.

Piętnaście lat temu zetknął się z tym problemem i po pewnym czasie, swoimi sposobami, rozwiązał go uciekając od ludzi, z czego nawet nie zdawał sobie sprawy. Uciekał, aż został przyparty do muru i wtedy dopiero na chwilę odetchnął. Teraz, jakimś dziwnym sposobem, jego "przeczuć", owo niezdefiniowane wrażenie, które było czymś w rodzaju wiedzy pierwotnej, podpowiadało mu, że świat i sprawy ludzi znowu go dopadły. Ale teraz nie miał już dokąd uciekać, nawet gdyby bardzo chciał. Najciekawsze jednak, że wcale nie miał zamiaru uciekać.

Siedział samotnie na strychu i słuchał wiatru, który szeptał w liściach.

17

NA DOLE KTOŚ walił do drzwi i krzyczał jego imię, ale minęło parę sekund, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje.

Wstał ze skrzyni, a notatnik spadł na podłogę gniotąc rozłożone strony.

- Kto tam? - spytał. - Co się dzieje?

Z jego gardła wydobył się jednak zaledwie szept.

- Jay? - krzyczał ktoś. - Jay, jesteś tam?

Zszedł po schodach do pokoju gościnnego. Za drzwiami stał Eb.

- O co chodzi, Eb?

- Słuchaj, Jay - zaczął zdyszany Eb - musisz stąd uciekać.

- Dlaczego?

- Myślę, że załatwiłeś Flandersa.

Vickers wyciągnął rękę do tyłu, schwycił krzesło, które tam stało i opadł na nie.

- Nie pytam nawet, czy to prawda - ciągnął Eb - bo wiem, że nie. Dlatego właśnie chciałem dać ci szansę.

- Szansę? - powtórzył Vickers. - O czym ty mówisz?

- Są teraz w tawernie - kontynuował Eb. - Szykują się do linczu.

- Oni to znaczy kto?

- Wszyscy twoi przyjaciele - rzekł gorzko Eb. - Ktoś ich wszystkich podburzył. Nie wiem kto. Nie czekałem, żeby się o tym przekonać.

Natychmiast przyleciałem do ciebie.

- Ależ ja lubiłem Flandersa. Byłem jedynym człowiekiem, który go darzył sympatią. Byłem jego jedynym przyjacielem.

- Nie masz już czasu - Eb nie zwracał uwagi na jego słowa - musisz uciekać.

- Nie mogę. Nie mam nawet samochodu.

- Przyprowadziłem jeden z wiecznych - odpowiedział szybko Eb. - Nikt nie wie, że go mam. Nikt też nie będzie wiedział, że ty go wzięłeś.

- Nie mogę uciekać. Muszą mnie przecież wysłuchać. Muszą.

- Zastanów się! To nie szeryf przyjdzie do ciebie z nakazem aresztowania, tylko tłum, który ma gdzieś, co masz mu do powiedzenia.

Eb przeszedł przez pokój i gwałtownie schwycił Vickersa za ramię.

- Wynoś się stąd - rzekł. - Ryzykowałem własną głową przyjeżdżając tutaj, żeby cię ostrzec. Nie wolno ci rezygnować. Vickers uwolnił się z uścisku.

- Dobrze - zgodził się. - Pojadę.

- Masz forszę? - spytał Eb.

- Trochę.

- Masz tu jeszcze. - Eb sięgnął do kieszeni i wyciągnął cienki plik banknotów.

Vickers wziął go i wepchnął do kieszeni.

- Masz pełen bak - ciągnął Eb. - I automatyczną skrzynię biegów. Jedzie się tak samo jak każdym innym samochodem. Zostawiłem włączony silnik.

- Nie mogę uwierzyć, że to robię, Eb.

- Wiem, ale jeśli chcesz ocalić to miasto przed zbrodnią, nie masz innego wyjścia.

Klepnął Vickersa po ramieniu.

- No, jazda. W drogę.

Vickers potruchtął ścieżką słysząc za sobą kroki Eba. Samochód stał przy bramie. Eb zostawił drzwi szeroko otwarte.

- Wsiadaj. Jedź prosto do głównej autostrady.

- Dzięki, Eb.

- Jazda.

Vickers przełączył lewarek skrzyni biegów na pozycję jazdy i nacisnął pedał gazu. Samochód odpłynął i cichutko nabierał szybkości. Vickers dotarł do głównej autostrady i ruszył w kierunku zachodnim.

Jechał tak przez wiele mil, goniąc stożek światła rzucały przez reflektory.

Jechał nie mogąc wyjść ze zdumienia że on, Jay Vickers, musi uciekać przed linczem, do którego szykowali się jego własni sąsiedzi.

Eb powiedział, że ktoś ich podburzył. Kto to mógł być?

Prawdopodobnie ktoś, kto go nienawidził.

Miał jednak nieodparte wrażenie, że wie, kto to zrobił. Jeszcze raz poczuł strach, ten sam, który odczuł, kiedy usiadł twarzą w twarz z Crawfordem.

Wtedy strach nie był tak wyraźny, ale Vickers wiedział, że po części właśnie dlatego nie zgodził się napisać książki dla Crawforda.

"Coś się dzieje", powiedział Horton Flanders, kiedy stali obaj przed sklepem "1001 drobiazgów".

I rzeczywiście coś się działo.

Na rynku pojawiły się wieczne przedmioty wykonane przez nieistniejące firmy. Biznesmeni całego świata, przyparciu do muru przez nieprzyjaciela, z którym nie potrafili walczyć, utworzyli międzynarodową organizację. Horton Flanders mówił o nowych, dziwnych czynnikach, które powstrzymywały świat przed wybuchem wojny. Stworzono kluby wizjonistów, którzy uciekali przed dniem dzisiejszym w przeszłość.

No a wreszcie on, Jay Vickers, musiał uciekać na zachód.

Zanim wybiła północ, wiedział już, co ma robić i dokąd się udać.

Jechał tam, gdzie poradził mu Horton Flanders. Robił to, czego, jak sobie obiecywał, miał nigdy nie robić.

Wracał do swego dzieciństwa.

18

BYLI DOKŁADNIE TACY, jakimi ich sobie Wyobrażał.

Siedzieli przed sklepem na ławce i na podwracanych do góry dnem pudełkach kartonowych, patrzyli na niego chytrymi oczyma i mówili:

- Szkoda twojego ojca, Jay. To był dobry człowiek.

A potem:

- Więc piszesz książki. Będę kiedyś musiał przeczytać jakąś. Nawet nie znam jednego tytułu.

A jeszcze później:

- Jedziesz odwiedzić stare kąty?

- Po południu - odparł Vickers.

- Wszystko się zmieniło - ostrzegali go. - I to strasznie. Nikt tam już nie mieszka. Rolnictwo schodzi na psy - tłumaczyli. - Nie da się z niego wyżyć.

Wszystko przez te cholerne węglowodany. Mnóstwo ludzi nie jest w stanie zatrzymać ziemi. Banki zabierają im chałupy albo zmuszają do taniej sprzedaży. Dużo farm w okolicy zostało wykupionych na pastwiska.

Wystarczy tylko zbić dobry płot i wypędzić bydło.

- Czy z naszą ziemią stało się to samo?

Pokiwali smutno głowami.

- Zgadza się, synu. Facet, który kupił ją po twoim ojcu, nie mógł zarobić na życie. Twoja farma nie jest wyjątkiem. Wiele innych spotkał ten sam los.

Pamiętasz dom Prestonów? Vickers skinął potakująco.

- Z nim stało się to samo. A była tam przecież świetna ziemia. Jedna z najlepszych w okolicy.

- Nikt tam nie mieszka?

- Nie. Ktoś zabił deskami drzwi i okna. Jak myślisz, po co ktoś miałby się tak trudzić?

- Skąd mam wiedzieć - odparł Vickers.

Ze sklepu wyszedł sprzedawca i usiadł na schodkach.

- Gdzie teraz mieszkasz, Jay? - spytał.

- Na wschodzie - odpowiedział Vickers.

- Podejrzewam, że dobrze ci się powodzi.

- W każdym razie każdego dnia mam co włożyć do gęby.

- To rzeczywiście nieźle. W naszych czasach każdemu, kto je codziennie, musi powodzić się nieźle - zawyrokował sprzedawca.

- Co to za samochód? - spytał jeden z siedzących.

- Nowy model - tłumaczył Vickers. - Dopiero co go kupilem. To samochód marki Forever.

- Dziwna nazwa jak dla samochodu. Pewnie kosztuje kupę forsy. Ile pali na setkę?

Vickers nie zdążył udzielić odpowiedzi na te wszystkie pytania. Wsiadł do samochodu i pojechał przez zakurzone, rozsiane na wielkiej przestrzeni miasteczko, z jego starymi, zmęczonymi samochodami zaparkowanymi przy ulicy, z kościołem metodystów stojącym na wzgórzu, ze starszymi ludźmi, którzy przechadzali się po ulicach z laskami, i z jego psami śpiącymi w cieniu krzaków bzu.

19

BRAMA PROWADZĄCA NA FARMĘ była zamknięta łańcuchem z wielką kłódką, więc zaparkował samochód przy szosie i poszedł piechotą pół kilometra do domu.

Droga prowadząca do domu była prawie cała zarośnięta trawą i wysokimi do kolan chwastami. Pola były nie zaorane, przy płotach rozrosły się bujnie jakieś krzaki i zielska, a w miejscach, gdzie lata uprawy pozbawiły ziemię

plodności, pojawiły się chwasty.

Z szosy budynki wyglądały mniej więcej tak samo, jak je zapamiętał, schludnie skupione jeden przy drugim, dające poczucie domowego ogniska.

Kiedy jednak podszedł bliżej, zauważył oznaki zaniedbania. Ogród wokół domu zarósł trawą i chwastami. Kępy kwiatów znikły, krzak róży w rogu usychał. Widniały na nim dwie lub trzy róże, podczas gdy niegdyś cały krzew uginał się pod ciężarem kwiecica. Śliwa stojąca w rogu pod płotem zdziczała, a sam płot w niektórych miejscach po prostu nie istniał. Większość okien w domu została wybita, prawdopodobnie przez dzieci, które nie miały w co rzucać kamieniami, a drzwi z tyłu domu były otwarte i skrzypiały na wietrze. Przeszedł przez morze trawy, obchodząc dom dookoła, zastanawiając się, czy widać jeszcze ślady jego bytności. Na kominie, stojącym przy ścianie zewnętrznej, widniały jego dłonie dziesięciolatka odcisnięte głęboko w mokrym cemencie. Przez piwniczne okno nadal wystawały szczapy z porąbanych desek, które miały służyć do nakarmienia starego pieca opalanego drewnem. W rogu domu znalazł starą balię, w której jego matka każdej wiosny sadziła nasturcje. Metal ledwie było widać, powierzchnię balii pokryła rdza, a w środku pozostała jedynie gruda ziemi. Jesion górski nadal rósł przed domem. Vickers podszedł do niego i spojrzał w górę, w baldachim liści. Potem przesunął dłonią po gładkim pniu drzewa przypominając sobie, jak je sadził będąc jeszcze chłopcem, i jak bardzo był dumny z tego, że mają drzewo, jakim nie mógł poszczycić się nikt inny w okolicy.

Nie podszedł nawet do drzwi, bo chciał jedynie obejrzeć dom z zewnątrz.

Wewnątrz musiało być zbyt dużo przedmiotów przywołujących wspomnienia,

dziurki w ścianach po gwoździach, na których wisiały obrazki, ślady na podłodze po piecu, schody wyrobione przez drogie jego sercu stopy. Gdyby wszedł do środka, dom zapłakałby ciszą szaf i pustką pokoi.

Poszedł do innych zabudowań i stwierdził, że mimo ich ciszy i pustki nie łączy go z nimi tak wiele wspomnień jak z domem. Kurnik rozpadał się już całkowicie, a chlew był schronieniem dla wiatrów zimowych, które gwizdały między dziurawymi deskami. Za przepastną szopą na narzędzia znalazł stare, zużyte powrósło.

W stodole panował chłód i cień. Spośród wszystkich budynków ona najbardziej przypominała mu dom. Wszystkie przegrody były puste, ale siano nadal wystawało ze szczelin w ścianach i podłodze. Nadal roztaczał się tu taki zapach, jaki pamiętał z młodości. Na wpół stęchły, na wpół kwaśny zapach żyjących tu przyjaznych mu stworzeń.

Wdrapał się na pochylnię prowadzącą do spichlerza. Po podłodze uciekały popiskując myszy. Kilka worków z ziarnem stało przy ścianie, na której ponuro wisiała zniszczona uprząż. Na końcu spichlerza znalazł coś, co kazało mu się zatrzymać.

Był to bąk do zabawy, dość zdezelowany i wyblakły, niegdyś mieniący się wieloma kolorami. Kiedy się go dobrze nakręciło, obracał się szybko i gwizdał. Dostał go na Gwiazdkę i była to jego ulubiona zabawka.

Podniósł bąka i przygarnął do siebie jego zniszczony korpus z nagłą czułością, zastanawiając się, skąd zabawka mogła się tu wziąć. Była to część jego przeszłości, która teraz znów się odzywała, martwa i bezużyteczna rzecz, nie mająca najmniejszej wartości dla nikogo poza chłopcem, który niegdyś się

nią bawił.

Bąk pomalowany był w paski, których kolory zlewały się zmieniając się co chwila, kiedy zabawka się obracała.

Można było siedzieć godzinami i przyglądać się to pojawiającym się, to znikającym kolorom, i zastanawiać się, dokąd poszły. Bo według wyobrażeń małego chłopca kolory musiały gdzieś odchodzić. Raz tam były, raz nie.

Musiały gdzieś się podziewać.

I rzeczywiście, miały dokąd iść!

Przypomnił sobie.

Wszystko powróciło do niego, kiedy stał tak kurczowo przyciskając zabawkę. Przed jego oczyma przesuwaly się dni, ukazując wreszcie ten jeden dzień z dzieciństwa.

Można było odejść wraz z kolorami tam, gdzie i one szły, jeśli się miało wystarczająco młody umysł i chciało go wyteńczyć.

Był to rodzaj baśniowej krainy, chociaż wyglądała bardziej realnie, niż przystało na krainę z baśni. Była tam promenada, która wyglądała jak wyłożona szkłem, były ptaki, kwiaty, drzewa, kilka motyli. Zerwał jeden z tych kwiatów i podążył promenadą. Zauważył mały domek ukryty w lasku, a kiedy go dostrzegł, nieco się przestraszył i zawrócił. Nagle zorientował się, że jest w domu, bąk przed nim leży nieruchomo, a w jego dłoni nadal tkwi kwiatek.

Poszedł i opowiedział historię matce, która zabrała kwiatek z taką miną, jakby się go bała. I rzeczywiście, może miała rację, bo akurat był środek zimy.

Tego wieczora ojciec długo wypytywał go, a kiedy chłopiec opowiedział mu o bąku, następnego dnia ojciec ukrył go. Po cichu chłopiec oplakiwał ulubioną

zabawkę.

I oto znów go odnalazł, starego, zniszczonego bąka, który nie miał już tych samych, żywych kolorów. Niemniej Vickers był pewien, że to ten sam bąk.

Wyszedł ze spichlerza, zabierając ze sobą bąka, który uwolnił go od nieznośnej niepewności, w jakiej trwał od dawna. Słaba pamięć, powtarzał sobie, ale to było coś więcej. Blokada psychiczna, która kazała mu zapomnieć o zabawce i podróży do baśniowej krainy. Przez te wszystkie lata nie pamiętał o tym wydarzeniu, nie podejrzewał nawet, że w jego życiu zdarzyła się historia podobna do tej, ukrytej w głębi jego umysłu. Teraz jednak bąk był znowu z nim, tak jak w dniu, kiedy podążył za mieniącymi się kolorami wkraczając do świata baśni.

20

OBIECAŁ SOBIE, ŻE nie zatrzyma się przy domu Prestonów. Przejedzie obok, niezbyt szybko oczywiście i dobrze się mu przyjrzy, ale nie zatrzyma się. Bo teraz już uciekał, tak jak to od początku podejrzewał. Popatrzył na pustą skorupę dzieciństwa i odnalazł artefakt młodości. Teraz wiedział, że nie spojrzy ponownie na zbielale kości wieku młodzieńczego.

Nie zatrzyma się przy domu Prestonów. Zwolni tylko i rzuci nań okiem.

Potem przyspieszy i zostawi to wszystko za sobą. Nie zatrzymam się, powtarzał sobie.

Ale, oczywiście, zatrzymał się.

Siedział w samochodzie i patrzył na dom. Przypominał sobie, jak dumny był to niegdyś dom, goszczący w swoich pokojach dumną rodzinę. Zbyt dumną, by pozwolić któremuś z jej członków poślubić chłopca ze wsi, z farmy karłowatej

kukurydzy i żółtego błota.

Ale teraz dom nie miał już w sobie nic z dawnego splendoru. Okiennice były zamknięte i ktoś przybił na nich długie deski, zamykając oczy niegdyś dumnemu domostwu. Farba odpadała płatami ze statecznych kolumn stojących u frontu. Ktoś rzucił kamieniem wybijając okienko nad rzeźbionymi drzwiami. Płot pochylał się, ogródek porósł chwastami, a ceglasta ścieżka, biegnąca od bramy do schodów, znikła pod porastającą ją trawą.

Wysiadł z samochodu i przeszedł pod chylącą się bramą na dziedziniec.

Wszedł po schodach na werandę i zauważył, że jej deski kompletnie zbutwiały.

Stał, gdzie stali wtedy, gdy wydawało mu się, że ich miłość będzie trwać wiecznie. Starał się przywołać w pamięci tę nieuchwytną chwilę, która jednak nie powracała. Minęło zbyt wiele czasu, zbyt wiele wschodów słońca, powiewów wiatru. Chwila ta odeszła już w niepamięć i pozostał po niej tylko ból. Usiłował przypomnieć sobie, jak wyglądały łąki, pola i dziedziniec z werandy, kiedy na białej powierzchni kolumn odbijał się blask księżyca.

Przypomnił sobie powietrze przepelnione oszalamiającą wonią róż. Pamiętał wszystko, ale już tego nie czuł ani nie widział.

Na wzgórzu za domem stały stodoły, nadal pomalowane na białą, chociaż dzisiejsza biel już nie przypominała tamtej sprzed lat. Za stodołami ziemia opadała tworząc dolinę, po której się przechadzali, kiedy ostatni raz ją widział.

Była to zaczarowana dolina, to pamiętał, przepelniona kwieciem jabłoni i śpiewem skowronka.

Kiedyś była to zaczarowana dolina. Potem już nie. Ale może teraz?

Wciąż powtarzał sobie, że zwariował, że ugania się za majakami, ale mimo to ruszył pomiędzy stodołami w kierunku doliny.

Nad samą doliną zatrzymał się i ogarnął ją spojrzeniem. Nie była zaczarowana, ale zapamiętał ją tak dobrze, jak pamiętał światło księżyca na kolumnach. Kolumny stały na swoim miejscu, dolina leżała tam, gdzie powinna leżeć, porastały ją te same drzewa, a strumień jak dawniej połykiwał wśród łąk na dnie doliny.

Chciał zawrócić, ale coś go przed tym powstrzymywało, kontynuował więc wędrówkę po dolinie. Zauważył splątane gałęzie dzikiej jabłoni, na której nie było już kwiatów, a z trawy nagle wyskoczył skowronek i poszybował w niebo. W końcu zawrócił. Wszystko było dokładnie tak samo, jak za drugim razem.

Trzecia wizyta okazała się niewiele bardziej owocna niż druga. Najwyraźniej sama dziewczyna zamieniała prozaiczną dolinę w zaczarowane miejsce.

Widocznie był to rodzaj duchowego zauroczenia.

Dwa razy w życiu przemierzał zaczarowane krainy, podobnie jak dwa razy w życiu opuszczał starą, znajomą ziemię. Dwa razy. Raz dzięki dziewczynie i uczuciu, jakie między nimi rozkwitało. Drugi raz dzięki wirującemu bąkowi.

Nie, bąk był pierwszy. Tak, bąk...

Nie, zaraz! Nie tak szybko! Mylisz się, Vickers. To nie tak.

Ty stary durniu, kogo chcesz oszukać?

21

WŁAŚCICIEL SKLEPU Z ZABAWKAMI, którego odnalazł Vickers, najwyraźniej rozumiał, o co chodzi.

- Widzi pan - powiedział - wiem, co pan czuje. Sam miałem takiego bączka, kiedy byłem małym chłopcem. Niestety, już ich nie produkują. Nie wiem dlaczego, chyba bez żadnej specjalnej przyczyny. Dzieci mają teraz aż za dużo nowoczesnych, elektrycznych zabawek. Nie znajdzie pan już niczego, co by przypominało bąka.

- Najlepsze były te duże - rozmarzył się Vickers. - Takie z rączką na górze, które trzeba było "pompować", a kiedy się obracały, wydawały piękny, buczący dźwięk.

- Pamiętam - odparł właściciel sklepu. - Też miałem taki. Siedziałem i godzinami wpatrywałem się w nie.

- Zastanawiał się pan może, gdzie podziewają się kolorowe paski?

- Nie, chyba nie. Po prostu siedziałem, gapilem się na bąka i przysłuchiwałem się, jak gra.

- A ja bez przerwy zastanawiałem się, co się dzieje z tymi paskami. Wie pan, jak to jest. Wędrują w górę, a potem znikają gdzieś przy wierzchołku.

- No i co? - zaciekawil się właściciel. - Gdzie znikają? - Nie wiem - przyznał Vickers.

- Przy tej ulicy, parę przecznic dalej, jest jeszcze jeden sklep z zabawkami. Mają tam sam szmelc, ale może został im jeszcze jakiś bąk.

- Dzięki - ucieszył się Vickers.

- Może pan też spytać w sklepie z narzędziami, po drugiej stronie ulicy. Mają tam sporo zabawek, chociaż trzymają je w większości schowane w piwnicy.

Wyciągają je dopiero przed Bożym Narodzeniem.

Mężczyzna w sklepie z narzędziami powiedział, że wie, o co chodzi

Vickersowi, ale nie widział takiego bąka od lat. W drugim sklepie z zabawkami również nie potrafiono mu pomóc. "Nie", odparła dziewczyna żując gumę i nerwowo drapiąc się ołówkiem w głowę, "nie wiem, gdzie może pan taki kupić." Nigdy nawet nie słyszała o bąku. Jeśli jednak by chciał kupić coś dla małego chłopca, było tam wiele innych zabawek. Na przykład rakiety i...

Wyszedł na chodnik przyglądając się popołudniowym przechodniom tego małego, środkowozachodniego miasteczka. Były tam kobiety we wzorzystych sukienkach i kobiety w eleganckich kostiumach, dzieciaki z liceów, które właśnie skończyły lekcje i biznesmeni, którzy wyszli na kubek kawy, zanim wrócą do biura podliczyć, ile zarobili tego dnia. W głębi ulicy, skąd przyszedł, dostrzegł

paru

gapiów

zgrupowanych

wokół

jego

samocho-
du

zaparkowanego przed pierwszym sklepem z zabawkami, jaki odwiedził. Czas już wrzucić monetę do parkomatu, pomyślał.

Włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu dziesięciocentówki. Oprócz niej znalazł jeszcze pięć i dwadzieścia pięć centów. Widok monet w dłoni sprawił, że zastanowił się, czy ma jeszcze coś w portfelu. Wyjął go, otworzył i stwierdził, że w środku znajdują się jedynie dwa banknoty dolarowe.

Zważywszy, że nie mógł jechać z powrotem do Cliffwood, a przynajmniej nie tak od razu, nie miał właściwie dokąd pójść. Potrzebował pieniędzy na hotel, jedzenie i benzynę. Najbardziej jednak pragnął dostać grającego bąka pomalowanego w kolorowe paski.

Stał na środku chodnika, rozmyślając o bąku i tocząc ze sobą spór wewnętrzny. Głos logiki podpowiadał mu, że to wszystko bzdura. Głos przeczucia mówił mu jednak, że jest inaczej. To działa. Przecież już kiedyś, gdy był dzieckiem, miał okazję się o tym przekonać. Wtedy jednak ojciec zabrał mu bąka.

Co by się stało, gdyby nie schowano przed nim bąka? Czy wracaliby do baśniowej krainy, skoro już odnalazł do niej drogę? Co by mu się tam przytrafiło, kogo i co mógłby spotkać, i co znalazłby w domu ukrytym w lasku.

Bo wiedział, że z czasem dotarłby do tego domku. Gdyby już przyjrzał mu się z bliska i przyzwyczaił do jego obecności, powędrowałby ścieżką prosto do drzwi i zapukał.

Zastanawiał się, czy ktoś jeszcze obserwował kiedyś bąka i podróżował do baśniowej krainy tak jak on. A jeśli tak, to co się działo dalej?

W każdym razie na pewno nie dotarł tam właściciel sklepu z zabawkami, bo powiedział, że nigdy nie interesował się, gdzie znikają paski. Siedział tylko, gapił się i słuchał grania bąka.

Vickers zachodził w głowę, dlaczego właśnie on spośród wszystkich ludzi miałby być tym jedynym, który odnalazł przejście. Ciekaw był też, czy zaklęta dolina nie jest przypadkiem częścią tej samej bajki i czy on i dziewczyna nie przeszli jakiejś innej, niewidzialnej bramy. Bo z całą

pewnością dolina, którą widział tego ranka, nie była tą samą, zaczarowaną doliną, którą pamiętał.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. I potrzebował do tego bąka.

Ale, ale... przecież miał już jednego bąka! Szukał go wszędzie, zupełnie zapominając o tym starym, odnalezionym dziś w szopie. Trzeba by mu co prawda wyprostować rączkę, do środka nalać trochę oliwy i pomalować korpus, ale poza tym nic mu przecież nie brakowało.

I prawdopodobnie był o wiele lepszy niż kaidy nowy, bo przecież był to ten sam bąk, który kiedyś już pozwolił mu się przepawić na drugą stronę. Poza tym czuł ciepło na samą myśl, że ten właśnie egzemplarz odznaczał się jakimiś specjalnymi, mistycznymi właściwościami, jakich nie posiadał żaden inny.

Ucieszył się, że wpadł na ten pomysł. Zabawka leżała w schowku w samochodzie, gdzie wrzucił ją po odnalezieniu. Poszedł do sklepu z narzędziami.

- Potrzebuję farby - zaczął. - Najbardziej jaskrawej i błyszczącej, jaką macie.

Czerwonej, zielonej i żółtej. Poza tym chciałbym jeszcze jakiś mały pędzelek.

Ze sposobu, w jaki sprzedawca spojrział na niego, domyślił się, że mają go tutaj za obłąkanego.

22

Z POKOJU HOTELOWEGO ZADZWONIŁ do Ann. Telefon był oczywiście na jej rachunek, ponieważ po zjedzeniu kolacji pozostało mu jedynie dziewięćdziesiąt centów.

Ann sprawiała wrażenie, że się jej spieszy.

- Jay, gdzie jesteś? Gdzie ty się na Boga podziewasz? Opowiedział jej, gdzie

jest.

- Ale dlaczego w ł a ś n i e t a m? - spytała. - Co się z tobą dzieje?

- Nic specjalnego - odparł Vickers. - No, przynajmniej na razie. Po prostu jestem uciekinierem. Musiałem zwiewać z Cliffwood.

- Co takiego?

- Przygotowywali dla mnie nowy, gustowny krawat ze sznura konopnego.

Ktoś wbił im do głowy, że zabiłem człowieka.

- Chyba ci odbiło. Przecież ty byś nie zabił nawet muchy. - Oczywiście. Ale nie starczyło mi czasu, żeby im to wytłumaczyć. Nie miałem nawet takiej sposobności.

- No cóż - ciągnęła Ann - rozmawiałam z Ebem...

- Z kim?

- No wiesz, z tym facetem z warsztatu. Słyszałam, jak kiedyś o nim wspominałeś. Wszędzie cię szukałam. Przez bite dwa dni sprawdzałam każdy kąt. Dzwoniłam do ciebie do domu, ale nikt nie odpowiadał, więc przypomniałam sobie, że mówiłeś o Ebie, mechaniku samochodowym i poprosiłam na centrali, żeby mnie z nim połączyli, a potem...

- I co powiedział?

- Nic - odparła Ann. - Że nie widział cię już od jakiegoś czasu i nie wie, gdzie jesteś. Ale powiedział, że bym się nie martwiła.

- To Eb pomógł mi uciec - wyjaśnił Vickers. - Ostrzegł mnie, że szykuje się lincz, dał mi samochód, trochę pieniędzy i wygonił z miasta.

- A właściwie to kogo miałaś niby zabić?

- Hortona Flandersa. To ten starszy człowiek, który niedawno zaginał.

- Ty byś go przecież nie zabił. Mówiłeś, że to miły człowiek. Słyszałam na własne uszy.

- Słuchaj Ann, ja nikogo nie zabiłem. Ktoś po prostu podburzył ludzi.

- Ale nie możesz wracać do Cliffwood.

- Nie - zgodził się Vickers. - Nie mogę. - I co będziesz robił?

- Nie wiem. Chyba po prostu będę się ukrywać.

- Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłeś? - denerwowała się Ann. -

Dlaczego uciekałeś? Powinieneś był natychmiast przyjechać do Nowego Jorku. Nowy Jork, to najlepsze miejsce na świecie dla człowieka, który chce się ukryć. Mogłeś przynajmniej do mnie zatelefonować.

- Zaraz, przecież właśnie do ciebie dzwonię, nie?

- Pewnie, dzwonisz, bo nie masz forsy i chcesz, żebym ci trochę przesłała.

- Jeszcze nie prosiłem o pieniądze. - Ale zaraz to zrobisz.

- Tak - zgodził się Vickers. - Obawiam się, że masz rację. - Nie interesuje cię, dlaczego wszędzie cię szukałam?

- Niespecjalnie - odparł Vickers. - Ale pewnie dlatego, że nie chcesz, żebym ci się wywinął. Żaden agent nie chciałby, żeby jego najlepszy pisarz zwał...

- Vickers - syknęła Ann - pewnego dnia ukrzyżuję cię przy głównej autostradzie jako ostrzeżenie dla innych.

- Byłbym najbardziej godnym pożałowania Jezusem, jakiego kiedykolwiek widziałas. Nie mogłaś lepiej wybrać.

- Szukałam cię - wyjaśniła Ann - bo Crawford dosłownie oszalał. Cena nie gra dla niego żadnej roli. Wymieniłam mu pewną sumę kończącą się wieloma zerami, a on nawet nie mrugnął okiem.

- Wydawało mi się, że pozbyliśmy się pana Crawforda zdziwił się Vickers.

- Crawforda nie można się pozbyć - odparła Ann, po czym umilkła.

- Ann - spytał Vickers. - Ann, co się stało?

- Crawford strasznie się boi. - Jej głos był spokojny, ale wyraźnie słychać w nim było napięcie. - Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak się bał.

Przyszedł do mnie. Wyobrażasz sobie?! To nie ja do niego poszłam. Wpadł do mojego biura zdyszany i zasapany. Obawiałam się, że nie znajdę odpowiednio solidnego krzesła, które mogłoby go utrzymać. Ale pamiętasz to krzesło dębowe stojące w rogu? Jeden z pierwszych mebli, które kupiłam do biura. Trzymałam je tylko z sentymentu. W każdym razie nadawało się.

- Do czego?

- Do utrzymania go - zaśmiała się Ann. - Wszystko inne rozpadłoby się pod nim jak nic. Pamiętasz, jaki z niego kawał chłopa?

- Grubas - odpowiedział Vickers. - Chyba tego słowa szukałaś.

- Rzucił tylko: "Gdzie Vickers?", a ja mu na to: "A skąd ja miałabym to wiedzieć. Nie jestem przecież jego niańką." Wtedy on: "Jest pani chyba jego agentem, prawda?" "Jeszcze do niedawna byłam, ale Vickers to bardzo zmienny człowiek, nigdy z nim nic nie wiadomo." On na to: "Muszę się z nim widzieć." Więc mu odpowiedziałam: "Proszę bardzo, niech pan szuka, na pewno jest gdzieś w okolicy." Wtedy Crawford powiedział: "Nie stawiam żadnych ograniczeń, niech pani poda stawkę i określi wszystkie warunki."

- On chyba zwariował - zauważył Vickers.

- W każdym razie stawka na pewno jest zwariowana. - Skąd wiesz, że ma pieniądze?

- Cóż, tego nie wiem. To znaczy nie mogę być pewna. Ale podejrzewam, że ma.
- A wracając do pieniędzy... - przypomniał sobie Vickers. - Masz może jakąś niepotrzebną stówę? Może pięćdziesiątkę?
- Mogę mieć.
- To prześlij mi szybko. Oddam ci później.
- W porządku, zaraz prześlę. To już nie pierwszy raz stawiam na ciebie, i jestem pewna, że nie ostatni. Ale powiesz mi jedną rzecz?
- Co takiego?
- Co zamierzasz zrobić?
- Przeprowadzam eksperyment - wyjaśnił Vickers. - Eksperyment?
- Ćwiczenia z okultyzmu.
- O czym ty mówisz? Przecież ty nic nie wiesz o okultyzmie. Jesteś równie tajemniczy jak zwykła deska.
- Wiem - przyznał Vickers.
- Proszę, powiedz mi, co zamierzasz zrobić - nalegała.
- Jak tylko skończę z tobą rozmawiać, zacznę malować.
- Dom?
- Nie, bąka.
- Jakiego bąka?
- Zwykłego. Taką zabawkę dla dzieci, która kręci się na podłodze.
- Słuchaj no - zdenerwowała się Ann. - Skończ te zabawy i wracaj do domu.
- Po eksperymencie - zawział się Vickers.
- Jakim znowu eksperymencie?

- Zamierzam spróbować przedostać się do baśniowej krainy.
- Przestań się wygłupiać.
- Już mi się raz udało. Nawet dwa razy.
- Słuchaj, to poważna sprawa. Crawford ma stracha i ja też. Poza tym mamy jeszcze wspaniały interes do ubicia.
- Prześlij mi forszę - przypomniał Vickers.
- Dobra.
- Zobaczymy się jutro albo pojutrze.
- Zadzwoń - powiedziała Ann. - Najlepiej jutro.
- Zadzwonię.
- I, Jay... bądź ostrożny. Nie wiem, co zamierzasz, ale bądź ostrożny.
- Postaram się - obiecał Vickers.

23

WYPROSTOWAŁ RĄCZKĘ, ZA POMOCĄ której nakręcało się bąka i wypolerował metalową powierzchnię. Następnie naznaczył ołówkiem kontury kolorowych spiral, pożyczył trochę smaru maszynowego i naoliwił spiralę na ręczce, dzięki czemu mogła gładko napędzać zabawkę. Potem zabrał się do malowania.

Nie był w tym dobry, ale starał się jak mógł. Z precyzją nakładał kolory, czerwony, zielony, żółty. Miał nadzieję, że mają właściwy odcień, bo nie pamiętał już zbyt dobrze, jak powinny wyglądać. Prawdopodobnie jednak nie miało to większego znaczenia, najważniejsze, że były jaskrawe i wirując przechodziły jeden w drugi.

Farbę miał na dłoniach, ubraniu i krześle, na którym położył bąka. Poza tym

puszka z czerwoną farbą przewróciła się na podłogę, ale zdążył podnieść ją na tyle szybko, że zaledwie niewielka ilość wylała się na dywan.

W końcu zadanie było zakończone i Vickers miał powód do dumy.

Martwił się tylko, czy zabawka zdąży wyschnąć do rana, ale przeczytał napis na puszcze, który głosił, że jest to farba szybko schnąca, więc nieco się uspokoił.

Był już gotów, gotów zobaczyć co się stanie, kiedy zakręci bąkiem. Może znajdzie się w krainie z baśni, a może nie stanie się nic. Prawdę mówiąc spodziewał się raczej tego drugiego. Bo do przejścia w krainę baśni potrzeba było czegoś więcej niż tylko zakręcenie bąkiem. Trzeba było mieć wiarę i umysł dziecka, coś, czego już niestety nie posiadał.

Wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi, po czym zszedł po schodach.

Miasteczko i hotel były zbyt małe, żeby mieć windy. Nie tyle właściwie miasteczko, co wioska, która wydawała mu się "miastem, kiedy był dzieckiem, mała wioska, w której ludzie nadal siadali na ławce przed sklepikiem i patrzyli na wszystko, co działo się dookoła, zadając podchwytliwe pytania, które później stawały się zaczątkiem soczystych plotek.

Zachichotał na samą myśl, co powiedzą, kiedy do miasteczka dojdzie wieść, że uciekł z Cliffwood przed linczem.

Już teraz słyszał ich głosy.

Cwaniak, mówiliby. Zawsze był łobuzem, każdy wiedział, że nic dobrego z niego nie wyrośnie. Jego matka i ojciec to byli dobrzy ludzie. Popatrzcie, jak bardzo syn może różnić się od swoich rodziców.

Wyszedł z domu.

Wszedł do baru i zamówił filiżankę kawy, a kelnerka zagadnęła go:

- Ładny wieczór, prawda?

- Tak - zgodził się.

- Chce pan coś jeszcze do tej kawy?

- Nie. Tylko kawę. - Miał już teraz pieniądze, Ann postarała się, musiał to przyznać. Stwierdził jednak bez zdziwienia, że nie ma apetytu.

Kelnerka poszła do kasy i ściereczką, którą miała w ręku, wytarła niewidzialne okruszki z lody.

Bąk, pomyślał. Jakie znaczenie w całej tej historii ma bąk? Weźmie zabawkę do domu, zakręci nią i dowie się raz na zawsze, czy istnieje kraina z baśni.

Nie, niezupełnie. Będzie wiedział, czy może powrócić do krainy z baśni.

A dom? Jakie znaczenie ma dom?

A może ani dom, ani bąk nie mają tu najmniejszego znaczenia?

Jeśli tak, to dlaczego Horton Flanders napisał: "Wróc do dzieciństwa i przechadzaj się ścieżkami, którymi uczęszczałeś jako dziecko. Może znajdziesz tam coś, czego ci brakuje." Nie pamiętał dokładnych słów Flandersa, ale mniej więcej o to mu chodziło.

Wrócił więc do domu, odnalazł bąka i co więcej, przypomniał sobie o baśniowej krainie. Dlaczego jednak, zastanawiał się, w ciągu tych wszystkich lat nigdy nie pomyślał o krainie, do której dostał się z pomocą zabawki?

Wtedy uczyniło to na nim ogromne wrażenie, nie było co do tego wątpliwości, bo wciąż wszystko pamiętał, a obraz był tak czysty i wyraźny, jakby go widział przed chwilą.

A mimo to coś sprawiło, że zapomniał, jakaś blokada w jego mózgu kazała

mu wymazać wydarzenie z pamięci. Coś również podpowiedziało mu, że metalowa mysz chciała, żeby ją złapano. Może to samo coś kazało mu instynktownie odrzucić propozycję Crawforda. C o ś. Ale co?

Kelnerka wróciła do niego i oparła się na łokciu.

- Wyświetlają nowy film w "Grandzie" - zauważyła. Bardzo chciałabym go zobaczyć, ale nie mogę się zwolnić.

Vickers nie odpowiedział na zaczepkę.

- Lubi pan filmy? - Dziewczyna nie dawała za wygraną.

- Nie wiem - odparł Vickers. - Rzadko je oglądam. Jej twarz zdawała się wyrażać politowanie dla każdego, kto nie chodził codziennie do kina.

- Ja je uwielbiam. Są takie naturalne.

Spojrzał na nią i zauważył, że jej twarz przypomina mu tak wiele innych twarzy. Były tam dwie kobiety siedzące za nim w czasie podróży do Nowego Jorku, była twarz pani Leslie, która mówiła: "Zamierzamy zorganizować klub wizjonistów..." Były tam twarze ludzi, którzy nie śmieli siadać i rozmawiać ze sobą, ludzi, którzy ani przez chwilę nie chcieli być samotni, ludzi, którzy byli zmęczeni i przestraszeni nie wiedząc nawet, że są zmęczeni czy przestraszeni. Tak, była tam również twarz męża pani Leslie, zakrapiającego drinkami i kobietami swe jałowe życie. Był niepokój, który wkrótce stał się wszechobecny i nakazywał ludziom szukać psychologicznych schronów przed bombami niepewności.

Nie starczało już wesołości, skończył się cynizm, a lekceważenie stanowiło jedynie chwilowe zabezpieczenie. Ludzie zaczęli się więc uciekać do narkotyku, jakim było udawanie, identyfikacja z innym życiem, innym czasu i

miejszem, w kinie, na ekranie telewizora lub w klubach wizjonistów. Dopóki było się kimś innym, nie trzeba było być sobą.

Vickers skończył kawę i wyszedł na pustą ulicę.

Nad głową przeleciał mu samolot, a grzmot jego silników odbił się echem po ulicy. Vickers popatrzył, jak światła samolotu zakreślają dwie linie nad horyzontem, po czym ruszył na przechadzkę.

24

KIEDY OTWORZYŁ DRZWI pokoju, zauważył, że bąka nie ma. Zostawił go na krześle, świeżo pomalowanego, ale zabawki nie było teraz ani na krześle, ani na podłodze. Vickers położył się na brzuchu szukając bąka pod łóżkiem, ale tam też nie znalazł zguby. Nie było jej również w szafie ani w korytarzu.

Wszedł z powrotem do pokoju i usiadł na brzegu łóżka. Tyle zachodu, a tu bąk znikł. Kto mógł go ukraść? Kto chciałby mieć zniszczonego bąka?

A czego on sam chciał od tej zabawki?

Już fakt, że siedzi na brzegu łóżka w nieznanym hotelu i zadaje sobie takie pytania, wydał mu się nagle dość śmieszny. Miał nadzieję, że bąk pomoże mu przedostać się do krainy z baśni, a teraz, w białej poświacie lampy sufitowej, zastanawiał się, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Drzwi za nim otworzyły się. Vickers odwrócił wzrok. W drzwiach stał

Crawford.

Mężczyzna był jeszcze bardziej obszerny, niż się Vickersowi wydawało.

Wypełnił sobą framugę stojąc bez ruchu i nie przejawiając oznak życia, może z wyjątkiem mrugania powiekami.

W końcu przemówił:

- Dobry wieczór, panie Vickers. Nie zaprosi mnie pan do środka?

- Oczywiście - odparł Vickers. - Czekalem na telefon od pana, nigdy jednak nie podejrzewałem, że przyjedzie pan do mnie osobiście.

Oczywiście było to kłamstwo, bo nie oczekiwał na żaden telefon.

Crawford ociężale przeszedł przez pokój.

- To krzesło wygląda na dość wytrzymałe, żeby utrzymać mój ciężar. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebym usiadł.

- To nie moje krzesło - zauważył beztrosko Vickers. Niech pan siada.

Krzesło było jednak wytrzymałe. Zazgrzytało i zaskrzypiało, ale nie pękło.

Crawford rozluźnił się i westchnął.

- Zawsze czuję się lepiej, kiedy mam pod sobą dobre, twarde krzesło.

- Złożył pan podsłuch na telefon Ann? - spytał Vickers. - Oczywiście, wiedziałem, że prędzej czy później pan zadzwoni.

- Widziałem lądujący samolot - przypomniał sobie Vickers. - Gdybym wiedział, że to pan, wyjechałbym na spotkanie. Miałem zamiar z panem porozmawiać.

- Nie wątpię - pokiwał głową Crawford.

- Dlaczego prawie doprowadził pan do zlinchowania mnie? - Nigdy w życiu bym tego nie zrobił - zarzekł się Crawford. - Za bardzo pana potrzebuję.

- Do czego?

- Nie wiem - rzekł Crawford. - Myślałem, że pan mi to powie.

- Ja nic nie wiem - stwierdził Vickers. - Niech mi pan powie, o co w tym wszystkim chodzi? Nie powiedział mi pan wtedy całej prawdy.

- Powiedziałem. No, w każdym razie prawie całą. Rzeczywiście jednak nie

powiedziałem wszystkiego, co wiedzieliśmy. - Dlaczego?

- Nie wiedziałem, kim pan jest. - Ale teraz pan wie?

- Tak, teraz wiem - odparł Crawford. - Jest pan jednym z nich.

- To znaczy?

- Jednym z tych, co produkują te wszystkie wieczne urządzenia.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Analizatory, tak nazywają je psychologowie. To niesamowite urządzenia.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak działają. - I to właśnie te analizatory

powiedziały panu, że jest we mnie coś dziwnego?

- Tak - potwierdził Crawford. - Mniej więcej.

- Jeśli jestem jednym z nich, to dlaczego pan do mnie przychodzi? - zdziwił się Vickers. - Jeśli jestem jednym z nich, to stoimy po przeciwnych stronach, zapomniał pan? Świat został przyparty do muru. Na pewno pan pamięta.

- Niech pan nie mówi "jeśli" - powiedział Crawford. Pan j e s t jednym z nich, co nie znaczy przecież, że ja jestem pana wrogiem.

- Nie jest pan? - zdziwił się ponownie Vickers. - Jeśli jestem tym, kim jestem, to chyba jednak nie powinien mnie pan lubić?

- Nic pan nie rozumie - zniecierpliwil się Crawford. Dam panu przykład.

Wróćmy do dnia, kiedy człowiek z Cro-Magnon przedostał się na terytorium neandertalczyków...

- Bez dygresji, proszę. Wracajmy do konkretów.

- Nie podoba mi się nasza obecna sytuacja - stwierdził Crawford. - Nie podoba mi się to, co się dzieje.

- Zapomina pan, że nie wiem, jaka jest sytuacja.

- To właśnie chciałem panu przedstawić za pomocą mojego przykładu. Jest pan człowiekiem z Cro-Magnon. Ma pan luk, strzałę i włócznię. Ja jestem neandertalczykiem. Ja mam tylko maczugę. Pan ma nóż z wygładzonego kamienia. Ja mam kawałek ostrego krzemienia, który znalazłem w potoku. Pan ma ubranie ze skór, a ja stoję nagi, pokryty jedynie swoją sierścią.
- Nie jestem pewien, czy to rzeczywiście tak wyglądało zauważył Vickers.
- Ja też nie. Nie jestem specjalistą w tych sprawach. Może dałem trochę za dużo człowiekowi z Cro-Magnon, a ująłem neandertalczykowi. Ale nie o to chodzi.
- Doceniam samokrytykę - uśmiechnął się Vickers. I co dalej?
- Neandertalczyk zaczął walkę - ciągnął Crawford. I co się z nim stało?
- Przegrał.
- Mógł oczywiście zginąć z wielu innych powodów niż włócznia i strzala. Może nie potrafi tak dobrze polować. Może został wyrzucony ze swoich terenów łowieckich. Może uciekł i głodował. Może zginął z wielkiego wstydu, ze świadomością, że jest już "anachronizmem", że nie ma dla niego miejsca, że w porównaniu z nową rasą jest tylko czymś niewiele lepszym od zwierzęcia.
- Wątpię żeby neandertalczyk mógł mieć kompleks niższości - nie zgodził się Vickers.
- Być może moja sugestia nie pasuje do neandertalczyka, ale pasuje do nas.
- Stara się pan uzmysłwić mi, jak wielka była między nimi różnica.
- Właśnie - zgodził się Crawford. - Nie może pan stwierdzić, jak głęboka była nienawiść, różnica w poziomie inteligencji i umiejętności. Nie wie pan również, jak bardzo jesteśmy zdesperowani.

- To znaczy kto jest zdesperowany? Powiem panu. Ludzie sukcesu, przemysłowcy, bankierzy, biznesmeni, wysokiej klasy specjaliści, którzy żyją sobie bezpiecznie i utrzymują wysokie stanowiska, którzy obracają się w kręgach społecznych będących najwyższą kastą naszej kultury.

- Nie utrzymają już długo swoich stanowisk, jeśli nadejdą ludzie tacy jak pan. Będą neandertalczykami dla pańskich ludzi z Cro-Magnon. Będą jak homeryccy Grecy przeniesieni do naszego wieku technologii. Oczywiście przeżyją, ale tylko fizycznie. Będą jednak Aborygenami. Podstawowy cel ich życia zostanie zniszczony. Nie będą mieli po co żyć.

Vickers potrząsnął głową.

- Nie bawmy się w gierki, Crawford. Przez chwilę bądźmy ze sobą szczerzy. Domyślam się, że uważasz, iż wiem znacznie więcej niż naprawdę. Pewnie powinienem udawać, że masz rację i przekonywać cię, że rzeczywiście wiem wszystko. Powinienem bawić się z tobą w gierki słowne. Ale jakoś nie mam do tego serca.

- Wiem, że nie znasz wszystkich faktów. Dlatego właśnie chciałem jak najszybciej z tobą porozmawiać. Widzę, że nie jesteś jeszcze kompletnie zmutowany, nie wyszedłeś jeszcze ze stadium ludzkiej poczwarki. Duża część ciebie przypomina zwykłego człowieka. Z dnia na dzień przeobrażasz się i nie możesz tego powstrzymać. Dziś wieczorem jednak uda nam się jeszcze porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną.

- Zawsze jestem gotów do konstruktywnych rozmów.

- Nie, nie zawsze - zaprzeczył Crawford. - Gdybyś zmutował całkowicie, wyczułbym różnicę między nami. A bez wspólnych korzeni nie mielibyśmy

podstawy do dyskusji. Ja powątpiewałbym w prawdziwość mojej logiki, a ty patrzyłbyś na mnie z pogardą.

- Na chwilę przed twoim wejściem - wtrącił Vickers prawie udało mi się uwierzyć, że to wszystko jest tylko sprawką mojej wyobraźni...

- To nie wyobraźnia, Vickers. Miałeś bączka, pamiętasz?

- Ale już go nie ma.

- Jest - poprawił go Crawford.

- Masz go?

- Nie - odparł Crawford. - Ja go nie mam. Nie wiem, gdzie jest, ale na pewno znajduje się w tym pokoju. Przyszedłem tu przed tobą i otworzyłem zamek wytrychem. Prawdę mówiąc to bardzo kiepski zamek.

- Rzeczywiście - przyznał Vickers. - Tak czy inaczej nie było to jednak zbyt eleganckie z twojej strony.

- Zgadza się. Ale będę musiał robić jeszcze mniej eleganckie rzeczy, zapewniam cię. Wracając do tematu, otworzyłem zamek i wszedłem do pokoju. Zobaczyłem bąka i zastanawiałem się czy... czy...

- Tak? - zachęcał Vickers.

- Słuchaj, Vickers. Jak byłem mały, też miałem takiego bączka. Dawno, dawno temu. Już od wielu lat nie widziałem takiego bąka, więc podniosłem go i zakręciłem. Ot tak. Właściwie może miałem w tym jakiś powód. Chyba chciałem przywrócić utracone dzieciństwo. A bąk...

Przestał mówić i wpatrywał się w Vickersa, jakby chciał przekonać się, czy nie dojrzy u niego oznak rozbawienia. Kiedy znów zaczął mówić, jego głos wyrażał niepewność.

- Bąk znikł.

Vickers nic nie powiedział.

- Co to było? - pytał Crawford. - To naprawdę był bąk?

- Nie wiem. Patrzyłeś na niego, kiedy znikł?

- Nie. Wydawało mi się, że usłyszałem kroki na korytarzu. Na chwilę się odwróciłem. Kiedy spojrzałem ponownie, już go nie było.

- Nie powinien był zniknąć. A w każdym razie nie wtedy, kiedy na niego nie patrzyłeś.

- Dlaczego go pomalowałeś? - spytał Crawford. - Farba była jeszcze trochę wilgotna, a poza tym zauważyłem puszki z farbą. Musiałeś mieć w tym jakiś cel. Nie trudziłbyś się chyba tak bez powodu? Do czego miał ci służyć ten bąk, Vickers?

- Chciałem dostać się do baśniowej krainy - wyjaśnił Vickers.

- Mówisz samymi zagadkami! Vickers potrząsnął głową.

- Raz mi się to udało. Kiedy byłem mały.

- Dziesięć dni temu powiedziałbym, że obydwaj jesteście stuknięci. Ty, bo mówisz takie rzeczy, a ja, bo ci wierzę. Teraz jednak nic nie powiem.

- Co i tak nie wyklucza faktu, że możemy być szaleńcami. Albo przynajmniej naiwniakami.

- Nie jesteśmy ani szaleńcami, ani naiwniakami - zaprzeczył Crawford. - Jesteśmy ludźmi, zupełnie innymi i z godziny na godzinę coraz bardziej różnymi się od siebie, ale nadal jesteśmy ludźmi i to wystarczy, żebyśmy mogli ze sobą porozmawiać.

- Po co tu przyszedłeś, Crawford? Nie mów, że chciałeś tylko porozmawiać.

Zżera cię strach. Założyłeś podsłuch na telefon Ann, żeby dowiedzieć się, gdzie jestem. Włamałeś się do mojego pokoju i zakręciłeś bakiem. Musiałeś mieć do tego wszystkiego jakiś powód. Jaki?

- Przyszedłem cię ostrzec - wyjaśnił Crawford. - Muszę ci powiedzieć, że ludzie, którzy mnie przysłali, są naprawdę zdesperowani i nic już ich nie powstrzyma. Nie poddadzą się.

- A jeśli nie będą mieli wyboru?

- Mają wybór. Będą walczyć tym, co mają.

- Neandertalczyk walczył maczugą.

- Tak samo będzie walczyć Homo sapiens. Maczugi przeciw waszym strzałom. Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Czemu nie mielibyśmy usiąść i postarać się znaleźć jakieś wyjście z sytuacji? Przecież musi istnieć jakaś płaszczyzna porozumienia.

- Dziesięć dni temu siedziałem w twoim biurze i rozmawialiśmy. Opisałeś sytuację i dodałeś, że jesteś całkowicie zaskoczony. Wyglądało wtedy na to, że nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje. Dlaczego skłamałeś?

Crawford siedział bez słowa. Jego twarz ani na chwilę nie zmieniła wyrazu.

- Nasza maszyna pracowała nad tobą. No wiesz, analizator. Musiałem upewnić się, ile wiesz.

- I co, dużo wiedziałem?

- Nie wiedziałeś nic - odparł Crawford. - Dowiedzieliśmy się tylko, że jesteś mutantem w stadium utajenia.

- W takim razie dlaczego mnie wybraliście? - dopytywał się Vickers. - Poza faktem, że jakoby jest we mnie coś dziwnego, nie mam powodu, aby wierzyć,

że jestem mutantem. Nie znam żadnych mutantów. Nie mogę się wypowiadać w ich imieniu. Jeśli chcesz zawrzeć z kimś układ, idź, znajdź sobie jakiegoś stuprocentowego mutantą.

- Wybraliśmy cię - ciągnął niezrażony Crawford z bardzo prostego powodu.

Jesteś jedynym mutantem, jakiego mogliśmy dopaść. Ciebie i jeszcze jednego faceta, ale tamten jest jeszcze mniej świadom swojej odmienności.

- Ale muszą przecież być inni.

- Oczywiście. I są. Ale nie możemy ich znaleźć.

- Mówisz jak myśliwy, Crawford.

- Może właśnie jestem myśliwym. Ci inni... możesz ich złapać tylko wtedy, gdy chcą się z tobą widzieć. W innych wypadkach nie ma możliwości kontaktu.

- To znaczy?

- Znikają - wyjaśnił Crawford. - Tropimy ich i czekamy. Wysyłamy do nich wiadomość i czekamy. Dzwonimy do drzwi i czekamy. Nigdy ich nie ma.

Wchodzą drzwiami, ale nie ma ich w środku. Czekamy godzinami, żeby się z nimi spotkać, po czym okazuje się, że nie ma ich tam, gdzie wyraźnie widzieliśmy, że wchodzili, są za to gdzieś zupełnie indziej, czasami nawet wiele kilometrów dalej.

- Ale mnie... mnie potrafiłście wyśledzić. Nie znikam.

- Rzeczywiście, jeszcze nie.

- Może jestem niedorozwiniętym mutantem.

- Raczej nierozwiniętym.

- Ale wybraliście mnie dużo wcześniej. Musieliście w jakiś sposób

podejrzewać, że coś ze mną jest nie tak.

Crawford zachichotał.

- To te twoje książki. Są dość... oryginalne. Nasz wydział psychologiczny namierzył je. W podobny sposób znaleźliśmy też paru innych podobnych do ciebie. Kilku artystów, architekta, rzeźbiarza i jednego albo dwóch pisarzy. Nie pytaj mnie, jak psychologowie to zrobili. Może po prostu mają nosa. Nie patrz tak na mnie, Vickers. Kiedy organizuje się przemysł światowy, ma się w rękę siłę, która może wykonać ogromną pracę badawczą albo każdą inną, jakiej się tylko zażąda. Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, ile zrobiliśmy we wszystkich interesujących nas dziedzinach. Nadal jednak nasz wysiłek nie jest wystarczający. Na każdym kroku napotykałiśmy wiele przeszkód.

- Więc teraz chcesz ubić interes?

- Tak. Tylko ja, pozostali nie. Oni nigdy by się nie targowali. Oni walczą, rozumiesz? Walczą o świat, który budowali przez te wszystkie cholerne lata. I to właśnie było to. Przez te wszystkie cholerne lata, powtórzył w myślach Vickers.

Horton Flanders siadywał na ganku i kołysał się w fotelu, a wraz z nim kołysał się dym z papierosa. Mówił o wojnie i tłumaczył, dlaczego nie doszło do wybuchu trzeciej światowej. Twierdził, że być może czyjaś interwencja zawsze chroniła nas przed konfliktem. Nieustanna "interwencja", jak to określał bujając się w fotelu.

- Świat, który zbudowali - rzekł Vickers - nie jest lepszy. Został zbudowany na morzu krwi i nieszczęścia, pochłonął zbyt wiele ofiar. W toku historii trudno byłoby znaleźć rok całkowicie wolny od przemocy... zorganizowanej,

oficjalnej przemocy...

- Wiem, o co ci chodzi - zgodził się Crawford. - Uważasz, że powinna nastąpić jakaś reorganizacja.

- Coś w tym rodzaju.

- Dobrze, zastanówmy się więc, co by nam to dało - zachęcał Crawford.

- Nie mogę. Nie mam odpowiednich danych i nie jestem żadnym

autorytetem w polityce. Nigdy nawet nie kontaktowałem się ani nie zostałem odwiedzony przez tych mutantów... jeśli rzeczywiście są mutantami.

- Maszyny mówią, że są. Analizator stwierdził, że ty też jesteś mutantem.

- Jesteś pewien? - spytał Vickers.

- Nie ufasz mi - pokiwał głową Crawford. - Myślisz, że jestem jakimś

renegatem. Wydaje ci się, że widzę przed sobą niechybną porażkę, więc przybiegłem machając białą flagą i oznajmiam gotowość do przyjęcia nowego porządku. Myślisz, że chcę zawrzeć mój osobisty pokój i odwrócić się tyłkiem do wszystkich pozostałych. Może mutanci zatrzymają mnie jako swoją maskotkę albo zwierzątko.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to i tak nie macie już szans, niezależnie od tego, co zrobisz.

- Niezupełnie - nie zgodził się Crawford. - Możemy odeprzeć atak. Możemy wznieść zawieruchę.

- W jaki sposób? Pamiętaj, Crawford, że macie tylko maczugi.

- Ale jesteśmy w desperacji.

- To wszystko? Maczugi i desperacja?

- Mamy jeszcze tajną broń.

- I pozostali chcą jej użyć. Crawford skinął głową.

- Ale to na nic się nie zda. Dlatego przyszedłem do ciebie. - Skontaktuję się z tobą. Masz to u mnie jak w banku. To wszystko, co mogę zrobić. Jeśli stwierdzę, że miałaś rację, odezwę się do ciebie.

Crawford dźwignął się z krzesła.

- Im szybciej, tym lepiej. Nie pozostało zbyt wiele czasu. Nie będę w stanie ich długo powstrzymywać.

- Boisz się - zauważył Vickers. - Jesteś najbardziej przerażonym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Bałeś się pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem i boisz się nadal.

- Boję się od momentu, kiedy to wszystko się zaczęło. I z każdym dniem jest coraz gorzej.

- Dwóch przestraszonych ludzi - rzekł Vickers. - Dwóch dziesięciolatków bląkających się w ciemnościach.

- Ty też się boisz?

- Pewnie, nie widzisz, jak się trzęsę?

- Nie, nie widzę. Wydaje mi się, że jesteś najbardziej zimnokrwistym człowiekiem, jakiego znam.

- Jeszcze coś - przerwał mu Vickers. - Powiedziałeś, że poza mną istnieje jeszcze jeden mutant, którego udało wam się wytropić.

- Zgadza się.

- Możesz mi powiedzieć, kto to jest?

- Nie - rzekł twardo Crawford.

- Tak właśnie myślałem.

Dywan na chwilę przysłoniła lekka mgła, a potem na podłodze pojawił się
Isniący kolorami, powoli wirujący bąk. Oniemiali przyglądali się, jak zabawka
zatrzymała się i przewróciła na bok.

- Przecież go nie było - rzekł zaskoczony Crawford.

- Ale wrócił - szepnął Vickers.

Crawford zamknął za sobą drzwi, a Vickers stał w zimnym, jasno
oświetlonym pokoju z nieruchomym bąkiem na podłodze i słuchał kroków
Crawforda rozbrzmiewających na korytarzu.

25

KIEDY KROKI UCICHLŸY, Vickers podszedł do telefonu, podniósł
słuchawkę, podał numer i czekał na połączenie. Słyszał, jak operatorzy na linii
łączą go w kolejnych centralach. Ich ciche, ledwo słyszalne głosy przejawiały
wyraźną nonszalancję.

Będzie jej musiał wszystko szybko przekazać. Nie mógł tracić czasu, bo
przecież go słuchali. Będzie musiał szybko mówić i upewnić się, że Ann
zrozumiała, co ma zrobić. Musi wyjść z domu, zanim dotrą do jej mieszkania.

Powie: Zrobisz coś dla mnie, Ann? Zrobisz coś bez pytania dlaczego?

Powie: Pamiętasz to miejsce, w którym pytałaś o piec? Tam się spotkamy.

Potem powie: Wyjdź z mieszkania. Wyjdź i ukryj się. Nie wychodź. Szybko.

Nie za godzinę, nie za pięć minut, nie za minutę: Odlóż słuchawkę i ruszaj.

Będzie musiał się spieszyć.

Nie może przecież powiedzieć: Ann, jesteś mutantką. Natychmiast przecież
spyta go, co to znaczy i skąd o tym wie, podczas gdy podsłuchujący ją ludzie
będą już biec w kierunku jej domu.

Będzie musiała mu uwierzyć. Ale czy uwierzy?

Vickers aż się spocił na samą myśl, że Ann może zechcieć się pokłócić, nie zgodzi się nigdzie iść, zanim Vickers nie powie jej, o co mu chodzi. Czuł, jak pot ścieka mu po żebrach.

Telefon dzwonił. Vickers starał się przypomnieć sobie, jak wyglądało jej mieszkanie i gdzie znajdował się telefon. Wyobrażał sobie, jak Ann przechodzi przez pokój, żeby podnieść słuchawkę. Miał nadzieję, że za chwilę usłyszy jej głos.

Telefon dzwonił. Dzwonił cały czas.

Ann nie odpowiadała.

W końcu telefonistka powiedziała:

- Numer nie zgłasza się, sir.

- W takim razie proszę mnie połączyć z tym numerem. Tu podał numer biura dziewczyny.

Znowu czekał wsłuchując się w sygnał.

- Numer nie zgłasza się, sir - powtórzyła telefonistka.

- Dziękuję - rzekł Vickers.

- Czy mam spróbować jeszcze raz?

- Nie, dziękuję.

Musiał teraz się zastanowić. Starał się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Wcześniej łatwo mu było odnaleźć pociechę w myśli, że to tylko sprawka jego wyobraźni, że zarówno on jak i cały świat na wpół zwariowali, ale wszystko wróci do normy, jeśli tylko zachowa się odpowiedni dystans, niezależnie od tego, co by się działo.

Teraz jednak już w to nie wierzył.

Musiał wreszcie przyjąć do wiadomości to, co podejrzewał już wcześniej, zmuszony był uznać za prawdziwą historię, którą przedstawił mu Crawford, siedząc z tym swoim wielkim brzuszyskiem na jego krześle, z tą swoją kamienną twarzą i monotonnym głosem, za pomocą którego formułował zdania, nie wkładając w nie żadnych emocji.

Musi uwierzyć w mutację, w podzielony i walczący świat. Musi nawet uwierzyć w bajkowy świat z dzieciństwa, bo jeśli jest mutantem, to jedynie dzięki owemu światu będzie mógł udowodnić sobie i ludziom, że jest inny.

Starał się wyciągnąć wnioski z wypowiedzi Crawforda, zrozumieć, co to wszystko może oznaczać, ale istniało zbyt wiele możliwości, zbyt wiele niezależnych czynników, zbyt wiele rzeczy, o których nie miał pojęcia.

Mówiło się o mutantach, mężczyznach i kobietach, którzy byli czymś więcej niż zwykli ludzie, ponieważ w ich umysłach czaiły się umiejętności i wiedza, o których normalni mężczyźni i kobiety nie mieli pojęcia i których nie potrafiliby w pełni wykorzystać.

Był to następny krok w dziejach ewolucji. W ten sposób zmieniała się rasa ludzka.

- I Bóg jeden wie, jak bardzo ludzkości potrzebna jest taka zmiana - rzekł Vickers do pustego pokoju.

Zespół mutantów musiał pracować w ukryciu, gdyż jeśli ujawniłby się, cały świat zwróciłby się przeciw odmieńcom.

A na czym polegała ich odmienność? Co za umiejętności posiadali i jak chcieli je wykorzystać?

Parę wynalazków już znał. Były to wieczne samochody, nie tępiące się maszynki do golenia, żarówki, które nigdy się nie przepalały i węglowodany, które żywiły głodnych i pomagały zapobiec wojnom.

Ale czy to wszystko? Na pewno nie.

"Interwencja", powiedział Horton Flanders bujając się w fotelu na ganku.

Rodzaj subtelnej interwencji, która pomogła światu iść do przodu, a następnie niweczyła w ten czy inny sposób co bardziej gorzkie i przerażające owoce postępu.

Vickers wiedział, że Horton Flanders mógłby powiedzieć mu coś więcej na ten temat. Ale gdzie teraz był?

"Trudno ich złapać", powiedział Crawford. "Dzwonisz do drzwi i czekasz.

Podajesz swoje nazwisko i czekasz. Znajdujesz ich i czekasz. A ich nigdy nie ma tam, gdzie mógłbyś się ich spodziewać."

Po pierwsze, muszę się stąd wynieść i pozbierać, stwierdził Vickers, planując swoje kolejne posunięcia.

Po drugie, muszę znaleźć Ann i dopilnować, żeby się dobrze ukryła.

Po trzecie, odnaleźć Hortona Flandersa i jeśli nie będzie chciał gadać, przekonać go do ujawnienia większej ilości szczegółów.

Podniósł bąka, zszedł na dół i oddał klucz. Recepcjonista wręczył mu rachunek.

- Mam dla pana wiadomość - dodał sięgając do schowka, gdzie chował klucz.

- Ten pan, który do pana przyszedł, dał mi to, jak wychodził.

Podał Vickersowi kopertę, którą ten natychmiast otworzył i wyjął złożoną kartkę papieru.

- To dość dziwne - zauważył recepcjonista. - Dopiero co rozmawiał przecież z panem.

- Tak - przyznał Vickers - to bardzo dziwne.

Kartka oznajmiała:

"Nie próbuj korzystać z samochodu. Jeśli cokolwiek się zdarzy, trzymaj buzię na kłódkę."

To naprawdę było bardzo dziwne.

26

JECHAŁ AŻ DO ŚWITU. Droga była pusta, a samochód poruszał się jak uciekinier, bezszelestnie, zostawiając za sobą jedynie świst powietrza w oponach, kiedy na zakrętach zbliżał się do krawężników. Obok niego, na siedzeniu, świeżo pomalowany bąk przetaczał się w przód i w tył zależnie od ruchu samochodu. Dwie rzeczy były nie w porządku:

Po pierwsze, powinien był zatrzymać się przy domu Prestonów.

Po drugie, nie powinien był brać samochodu.

Oczywiście, obydwie te rzeczy to głupstwa. Złajał się w duchu za samo myślenie o nich i silniej nacisnął pedał gazu, aż świst opon przeszedł w wysoki, piszczący dźwięk rozlegający się na zakrętach.

Powinien był zatrzymać się przy domu Prestonów i wypróbować bąka. Tak to sobie właśnie zaplanował. Zastanawiał się, co właściwie skłoniło go do tego, ale nie potrafił znaleźć żadnej przyczyny. Bo jeśli bąk działa, będzie przecież działać gdziekolwiek. Jeśli działa, to działa i koniec. Nie miało znaczenia, gdzie go wypróbuje, chociaż jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że jednak miejsce jest również ważne. W domu Prestonów było coś szczególnego. To

kluczowe miejsce. Musiało być kluczowe dla całej afery z mutantami.

Nie będę mógł spokojnie działać, przekonywał siebie. Nie będę się mógł rozejrzeć. Nie mam czasu do stracenia. Przede wszystkim muszę wracać do Nowego Jorku, odnaleźć Ann i ukryć ją.

Bo Ann, wmawiał sobie, podobnie jak on musi być mutantką, chociaż jeszcze raz, tak jak w wypadku domu Prestonów, nie miał całkowitej pewności. Nie było żadnej przyczyny, żadnego namacalnego dowodu na to, że Ann Carter jest mutantką.

Przyczyna, myślał. Przyczyna i dowód. Czym one są? Zwykłą, staromodną logiką, na której człowiek zbudował swój świat. Czyżby życie ludzkie miało jakiś inny, ukryty sens, dla którego można żyć, odkładając na bok przyczyny i dowody jak dziecięce zabawki, które kiedyś były do przyjęcia, ale w końcu straciły swą wartość. Czy istniał jakiś sposób odróżnienia dobra od zła bez całego tego motywowania i przedstawiania odpowiednich dowodów?

Intuicja? To nonsens tak chętnie hołubiony przez kobiety. Przeczucie? To z kolei przesąd.

Ale czy rzeczywiście to tylko nonsens i przesąd? Przez lata naukowcy badali spostrzeganie pozazmysłowe, szósty zmysł, który istota ludzka mogła posiadać, nie byli jednak w stanie udowodnić jego istnienia.

A jeśli spostrzeganie pozazmysłowe jest możliwe, wówczas zapewne możliwe są również inne umiejętności, psychokinetyczna kontrola przedmiotów za pomocą siły umysłu, zdolność spoglądania w przyszłość, postrzeganie czasu jako czegoś więcej niż samego tylko ruchu wskazówek zegara, znajomość i manipulowanie nieoczekiwanymi rozszerzeniami

wymiarów w kontinuum czasoprzestrzeni.

Pięć zmysłów, pomyślał Vickers. Węch, wzrok, słuch, smak i dotyk. Pięć zmysłów, które człowiek znał od niepamiętnych czasów. Czy oznaczało to, że człowiek nie może mieć więcej zmysłów? Może jednak w jego umyśle kryją się inne możliwości, które tylko czekają na nadejście właściwej chwili, tak jak to miało miejsce w przypadku chwytneho kciuka, wyprostowanej postawy, logicznego myślenia i wielu innych rzeczy, które zostały osiągnięte przez człowieka w toku ewolucji. Człowiek rozwijał się powoli. Ewoluuował ze strachliwej, chodzącej po drzewach istoty poprzez zwierzę noszące maczugę aż do zwierzęcia wzniecającego ogień. Najpierw odkrył najprostsze narzędzia, potem bardziej złożone, aż w końcu te najbardziej skomplikowane, zwane maszynami.

Wszystko to odbyło się dzięki rozwojowi inteligencji, ale możliwe przecież, że rozwój inteligencji i ludzkich zmysłów nie został jeszcze zakończony. A jeśli tak, to dlaczego nie miałyby się pojawić szósty, siódmy, ósmy albo nawet więcej dodatkowych zmysłów, których rozwój byłby czymś zupełnie naturalnym w ewolucji rasy ludzkiej?

Czy tak właśnie stało się z mutantami? Nagle zaczęły rozwijać się u nich dodatkowe zmysły, których istnienia jedynie się domyślano? Czy mutacja nie była logicznym krokiem ewolucji, którego można się było prędzej czy później spodziewać?

Vickers przemykał przez nadal śpiące małe wioski, mijał farmy wyglądające jakoś dziwnie w poświacie wschodzącego słońca.

"Nie próbuj korzystać z samochodu", napisał Crawford. Vickers nie widział

najmniejszego powodu, dla którego nie miałby używać samochodu. Żadnego powodu oprócz zakazu Crawforda. A kim właściwie był Crawford? Wrogiem? Być może, chociaż czasami jego zachowanie zupełnie nie przypominało zachowania wroga. Był raczej człowiekiem, który bał się porażki, a wiedział, że zbliża się ona wielkimi krokami. Bardziej jednak obawiał się jej skutków niż porażki jako takiej.

Nie było więc powodu, dla którego Vickers nie miałby korzystać z samochodu. A jednak czuł się nieswojo za kierownicą.

Nie było również powodu, dla którego powinien był zatrzymać się w domu Prestonów, a mimo to w głębi swego serca wiedział, że źle zrobił nie zatrzymując się tam.

Nie miał powodu wierzyć, że Ann Carter jest mutantką, a mimo to był pewien, że tak właśnie jest.

Świtało już, a ze wszystkich małych strumyków, jakie mijał, wstawiała mgła.

Na wschodzie pojawiła się wstęga światła. Potem na polach ukazali się chłopcy i dziewczynki z nieodłącznymi psami pędzącymi bydło, i wreszcie pierwsze samochody na drodze.

Nagle zdał sobie sprawę, że jest głodny i chce mu się spać, ale nie mógł pozwolić sobie na drzemkę. Musiał jechać dalej. Kiedy dalsza jazda stanie się niebezpieczna, zatrzyma się, ale nie wcześniej.

Musiał jednak w końcu stanąć i coś zjeść. Zatrzyma się w następnym mieście, przez które będzie przejeżdżał, jeśli będzie ono wystarczająco duże, by znalazł w nim otwarty bar. Być może jedna lub dwie filiżanki kawy pomogą mu odegnąć sen.

MIASTO BYŁO DUŻE i miało otwarte o tej porze bary. Ulicami spieszyli ludzie, robotnicy z fabryk, którzy musieli zdążyć do pracy na siódmą.

Wybrał bar, który nie wyglądał najgorzej i, jak się wydawało, miał najmniejszą liczbę karaluchów. Zwolnił szukając miejsca do zaparkowania samochodu. Znalazł je w końcu w odległości jednej przecznicy za barem.

Zaparkował i wysiadłszy zamknął drzwi. Stojąc na chodniku wciągnął w płuca poranne powietrze. Było nadal świeże i chłodne jak powietrze letniego poranka.

Zjem śniadanie, pomyślał. Nie będę się spieszył, odpocznę trochę.

Może znowu powinien spróbować zadzwonić do Ann. Może tego ranka uda mu się ją złapać. Czułby się bezpieczniej, gdyby wiedział, że się ukryła. Może zamiast spotykać się z nim tam, gdzie oglądali domy, powinna wejść do środka i wytłumaczyć, jak wygląda sytuacja, a wtedy może jej pomogą. Ale Vickers musiałby najpierw wszystko jej opowiedzieć. A to zajęłoby za dużo czasu. Będzie musiał mówić szybko i z dużą pewnością w głosie, żeby ją przekonać.

Poszedł ulicą, którą nadjechał i wkrótce dotarł do baru. Przy stolikach nikt nie siedział. Wszyscy klienci zebrali się przy barze. Zostało już tylko parę wolnych stolików i Vickers skorzystał z jednego z nich.

Obok niego wielki robotnik w wytartej koszuli i wypchanym na łokciach i kolanach kombinezonie donośnie siorbał owsiankę pochylając się nisko nad talerzem i wrzucając kolejne porcje pożywienia do wielkich ust szybko poruszającą się łyżką, która raz po raz zanurzała się w talerzu i wylaniała

spod powierzchni zupy. Wyglądało to zupełnie tak, jakby mężczyzna starał się uzyskać nieprzerwany przepływ cieczy do swych ust. Po drugiej stronie siedział mężczyzna w niebieskich spodniach i białej koszuli. Nosił okulary i czytał gazetę. Jego wygląd z dużą dozą prawdopodobieństwa wskazywał na księgowego lub kogoś w tym rodzaju.

Przed Vickersem pojawiła się kelnerka, która wytarła suchą ściereczką powierzchnię baru.

- Co dla pana? - spytała wyrzucając z siebie słowa jednym ciągiem.

- Kanapki z szynką - odparł Vickers.

- Kawa?

- Chętnie - odrzekł.

Przyniesiono mu śniadanie, które jadł, zrazu pospiesznie, wpychając kawałki kanapki z wielkimi płatami szynki do ust, potem, gdy zaspokoił już pierwszy głód, coraz wolniej.

Mężczyzna w kombinezonie wstał i wyszedł. Jego miejsce zajęła drobna dziewczyna z obwisłymi powiekami. Pewnie jakaś sekretarka, która po całej nocy spędzonej w dyskotecce spała godzinę albo dwie, pomyślał Vickers.

Prawie już kończył posiłek, kiedy usłyszał na ulicy krzyk i odgłos uciekających stóp.

Dziewczyna obok niego obróciła się na stolku i wyjrzała przez okno.

- Wszyscy uciekają - stwierdziła. - Ciekawe, o co chodzi?

W drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna, który krzyknął:

- Znaleźli jeden z tych wiecznych samochodów!

Siedzące przy barze osoby zeskoczyły ze stolków i rzuciły się w kierunku

drzwi. Vickers powoli podążał za nimi.

"Znaleźli wieczny samochód", powiedział tamten mężczyzna. Jedynym samochodem, jaki mogli znaleźć, był ten, który zaparkował przecznicę dalej. Przewrócili samochód na dach i przesunęli na środek ulicy. Skupili się wokół niego krzyżąc i wymachując pięściami. Ktoś rzucił kamień czy cegłę, a uderzenie twardego przedmiotu o metalową powierzchnię rozległo się jak wybuch armatni w ciszy poranka.

Ktoś inny podniósł rzucony przedmiot i cisnął go w drzwi sklepu z narzędziami. Potem przez pękniętą szybę otworzył drzwi od środka. Natychmiast we wnętrzu znaleźli się ludzie i wyciągali wielkie młoty i siekiery.

Tłum rozsunał się, by zrobić im trochę miejsca. Młoty i siekiery zaczęły poblyskiwać w porannym słońcu. Rozległ się odgłos tłuczonych szyb, a potem przyszła kolej na karoserię.

Vickers stał przy drzwiach ze ściśniętym żołądkiem. Jego mózg został dosłownie zmrożony uczuciem, które później mogło przerodzić się w strach, ale teraz było niczym więcej jak tylko zdziwieniem i zamroczeniem.

Crawford napisał: "Nie korzystaj z samochodu." I miał rację.

Crawford wiedział, co stanie się z każdym wiecznym samochodem odnalezionym na ulicy.

Crawford wiedział i starał się go ostrzec. Przyjaciel czy wróg?

Vickers wyciągnął rękę i oparł się na szorstkiej ceglanej ścianie budynku.

Dotyk cegły, jej chropowatość upewniły go, że to nie majaczenia, że wszystko dzieje się naprawdę, że rzeczywiście stoi przed barem, w którym

przed chwilą zjadł śniadanie i obserwuje oszalały z wściekłości i nienawiści tłum niszczący jego samochód. Oni wiedzą, pomyślał.

Ludzie już wiedzą. Powiedziano im o mutantach. I nienawidzą mutantów. Oczywiście, że ich nienawidzą.

Nienawidzą ich, bo istnienie mutantów sprawia, iż oni sami są teraz ludźmi podrzędnej klasy, neandertalczykami, których nagle odwiedzili ludzie z łukami i strzałami.

Obrócił się i wszedł z powrotem do baru, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, gdyby ktoś nagle krzyknął za nim, gdyby jakaś dłoń dotknęła jego ramienia.

Księgowy w okularach zostawił gazetę przy swoim talerzu. Vickers podniósł ją i poszedł dalej, do końca baru. Wszedł przez drzwi prowadzące do kuchni.

Wewnątrz nie było nikogo. Szybko przeszedł przez kuchnię i tylnym wyjściem wyszedł na ulicę.

Odnalazł wąskie przejście pomiędzy dwoma budynkami, które prowadziło do przecznicy. Przeszedł na jej drugą stronę i wszedł w kolejną wąską uliczkę.

"Będą walczyć", uprzedzał Crawford, kiedy siedział poprzedniej nocy w jego pokoju hotelowym. "Będą walczyć tym, co mają."

No i rzeczywiście walczyli, posługując się tym, co akurat mieli pod ręką.

Wzięli sobie "maczugi" i walczyli.

Wszedł na teren jakiegoś parku i odnalazł ławkę otoczoną kępami krzewów.

Usiadł i rozwinął gazetę, którą zabrał z baru. Przerzucał kolejne strony, aż wreszcie doszedł do pierwszej.

I tu odnalazł to, czego szukał.

Tytuł głosił: ZOSTALIŚMY ZAATAKOWANI!

Poniżej dopisano: WYKRYTO SPISEK NADLUDZI.

Jeszcze niżej: NADLUDZIE WŚRÓD NAS i ROZWIĄZANO ZAGADKĘ NIETĘPIĄCYCH SIĘ, MASZYNEK DO GOLENIA.

W artykule pisano:

WASZYNGTON (doniesienie specjalne). Dziś Federalne Biuro Śledcze, Sztab Główny Sił Zbrojnych i Międzynarodowe Biuro ds. Ekonomicznych podczas wspólnej konferencji prasowej zwołanej przez Prezydenta ogłosiły stan największego zagrożenia, przed jakim kiedykolwiek stanęła ludzkość, zagrożenia, które może sprawić, że wszyscy staniemy się niewolnikami.

Podobny stan zagrożenia został ogłoszony we wszystkich większych stolicach świata: Londynie, Moskwie, Paryżu, Madrycie, Rzymie, Kairze, Pekinie i wielu innych.

Według oświadczenia na Ziemi powstała nowa rasa istot ludzkich, zwanych mutantami. Istoty te działają na rzecz osiągnięcia dominacji nad światem.

Mutant oznacza istotę ludzką, która przeszła nagłą zmianę i różni się od własnych rodziców. Mutacja nie ma nic wspólnego z powolną ewolucją, dzięki której rasa ludzka doszła do swej obecnej formy. W tym wypadku zmiana nie jest zauważalna fizycznie, co oznacza, iż mutantą nie można rozpoznać gołym okiem. Zmiana dokonała się w obszarze psychicznym, dzięki czemu mutanci posiadają pewne umiejętności, których nie mają normalni ludzie.

(Patrz kolumna obok, gdzie wyjaśniono dokładnie pojęcie mutacji.)

Oświadczenie (pełen tekst w kolumnie 4) głosi, iż mutanci prowadzą

kampanię mającą na celu zniszczenie systemu ekonomicznego świata poprzez produkcję pewnych towarów, takich jak niestępialna maszynka do golenia, nie przepalająca się żarówka, wieczny samochód, nowe, prefabrykowane domy i inne, sprzedawane zazwyczaj w sklepach 1001 drobiazgów.

Twierdzi się również, że od kilku lat działalność powyższej grupy mutantów była śledzona przez różne jednostki rządowe i niezależne. Wyniki śledztwa ujawniają, że kampania miała na celu opanowanie całego świata. Oficjalne ogłoszenie panującego stanu było jednak opóźniane do momentu, gdy nie pozostaną już żadne wątpliwości co do trafności wniosków śledztwa.

W oświadczeniu nawołuje się wszystkich ludzi do walki przeciw spiskowi.

Zaleca się kontynuację wszelkiego typu działalności i niewpadanie w panikę.

"Przedsięwzięto już odpowiednie środki zaradcze", mówi tekst

oświadczenia. Nie wyjaśniono jednak, co oznaczają "środki zaradcze". Kiedy pewien reporter usiłował wypytać rzeczników prasowych, co mają na myśli, odpowiedziano mu, że są to informacje tajne.

W oświadczeniu stwierdza się, że aby pomóc rządowi całego świata w walce przeciwko mutantom, każdy obywatel powinien:

- 1. Nie wpadać w panikę. Nie poddawać się hysterii.**
- 2. Nie korzystać z żadnych produktów dostarczanych przez mutantów.**
- 3. Nie kupować towarów produkowanych przez mutantów. Przekonywać innych, że nie powinni ich stosować i kupować.**
- 4. Natychmiast powiadomić FBI o wszelkich nowych okolicznościach mogących mieć wpływ na rozwój sytuacji.**

Oświadczenie mówi, że każde podejrzenie o... (Ciąg dalszy na stronie 11)

Vickers nie zajrzał na stronę jedenastą. Zamiast tego skoncentrował się na pozostałych artykułach zamieszczonych na pierwszej stronie.

Znajdował się tam tekst tłumaczący, czym jest mutacja oraz kompletna treść oświadczenia rządu. Obok widniał artykuł podpisany przez jakiegoś profesora biologii, który przeprowadził dyskusję nad prawdopodobnymi efektami mutacji i jej możliwymi przyczynami.

Na tej samej stronie znajdowało się kilkanaście krótkich notatek, które zaczął teraz czytać:

Nowy JoRx (AP). Po całym mieście biegali dziś ludzie uzbrojeni w siekiery i metalowe pręty. Celem ich ataku były sklepy "1001 drobiazgów", w których niszczyli sprzedawane tam towary i rozbijali witryny. W żadnym ze sklepów nie znaleziono jednak nikogo z właścicieli ani obsługi. Zabito jednego człowieka, ale jak się przypuszcza, nie miał on żadnych powiązań z siecią powyższych sklepów.

WASZYNGTON (UP). Dziś rano tłum zaatakował i zabił człowieka jadącego samochodem marki Forever. Pojazd został zniszczony. **LONDYN (INS).** W dniu dzisiejszym rząd zlecił pilne strzeżenie kilku projektów budowlanych wykorzystujących domy z prefabrykatów, które - jak się uważa - zostały wykonane przez mutantów.

"Ludzie, którzy zakupili te domy", wyjaśniało oświadczenie towarzyszące zarządzeniu rady ministrów, "zrobili to w dobrej wierze. Nie są w żaden sposób związani ze spiskiem. Dlatego też pracownicy ochrony będą ich strzec przed skierowaną przeciw nim przemocą wprowadzonego w błąd tłumu.

ST MALO, FRANCJA (Reuters). Dziś o świcie znaleziono zwłoki człowieka

powieszzonego na latarni ulicznej. Na jego koszuli ktoś przypiął kartkę z napisem: "Mutant."

Vickers upuścił gazetę. Spadła z szelestem i rozpostarła się na ziemi.

Rozejrzał się po parku. Na pobliskiej ulicy rozpoczynał się już poranny ruch. Ścieżką obok Vickersa przeszedł chłopiec odbijając piłkę o ziemię. Na drzewach siedziały gołębie, które od czasu do czasu zlatywały na trawę i cicho gruchały.

Wszystko było w porządku. Zwyczajny ranek. Ludzie idą do pracy, dzieci bawią się, a gołębie chodzą po trawie.

W owym spokoju było jednak coś dziwnego. Za fasadą cywilizacji teraźniejszość usiłowała skryć się w jaskini przed nadejściem przyszłości.

Czaiła się w ukryciu na niego, Ann i Hortona Flandersa.

Dzięki Bogu nikt nie skojarzył go z samochodem. Być może gdyby tam został, skojarzyliby go. Ktoś mógł przecież widzieć, jak wysiadał z samochodu.

Prędzej czy później czyjeś podejrzenie padłoby na człowieka, który nie wyszedł ze wszystkimi z baru i nie przyłączył się do tłumu demolującego samochód.

Na razie jednak był bezpieczny. Na jak długo, to zupełnie inna kwestia.

I co dalej?

Zastanowił się.

Ukraść czyjś samochód i kontynuować podróż?

Nie umiał kraść samochodów, prawdopodobnie spartaczyłby robotę.

Ale było jeszcze coś, co musiał koniecznie zrobić, i to natychmiast.

Musiał odnaleźć bąka.

Zostawił go przecież w samochodzie, a teraz musi go odzyskać.

Tylko dlaczego miałby ryzykować głowę dla zabawki?

Nie miało to większego sensu. Prawdę mówiąc, nie miało to żadnego sensu.

A jednak wiedział, że właśnie to musi zrobić.

Ostrzeżenie Crawforda odnoszące się do nieużywania samochodu również wydawało się nie mieć sensu, w chwili kiedy je czytał. Zlekceważył je i czuł się nieswojo wiedząc, wbrew wszelkiej logice, że powinien był posłuchać ostrzeżenia. Przynajmniej w tym szczególnym wypadku logika myliła się, a jego odczucie, przeczucie, instynkt, intuicja, czy jak się je nazwało, miało rację.

Pamiętał teraz, że zastanawiał się nad istnieniem jakiegoś zmysłu, który mógłby przeciwważyć logikę i rozsądek, czy wewnątrz jego mózgu nie ma jakiejś cząstki, która sprawiłaby, że narzędzia logiki i rozsądku uległy przedawnieniu. Może to o to chodziło. Może to właśnie była jedna z cudownych umiejętności mutantów.

Może ten właśnie zmysł podpowiedział mu, bez żadnej przyczyny i logiki, że musi wrócić po bąka.

29

ULICA ZOSTAŁA WYLĄCZONA z ruchu i w okolicy kręcili się policjanci.

Nie mieli tu jednak wiele roboty, ponieważ tłum już się uspokoił. Na środku ulicy leżał samochód, porąbany na kawałki, z kołami sterczącymi w powietrzu, jak martwa krowa na pastwisku. Szyby rozprysły się po całym chodniku, chrzęszcząc pod stopami przechodniów. Opony zostały zdjęte, a koła powyginane. Ludzie stali i przyglądali się.

Vickers wmieszał się w tłum i przysunął bliżej do samochodu. Zauważył, że przednie drzwi w jakiś sposób zostały wyważone i zwieszały się teraz na chodnik. Istnieje szansa, że bąk jest nadal w środku, pomyślał.

A jeśli jest, to będzie musiał znaleźć sposób, żeby go stamtąd wydostać.

Może uda mu się uklęknąć i udać, że zainteresował się deską rozdzielczą albo inną częścią. Powie stojącym obok niego, jak bardzo deska rozdzielcza różni się od deski rozdzielczej zwykłego samochodu, dzięki czemu może uda mu się wsunąć rękę do środka, wyciągnąć bąka i wsadzić go sobie pod ubranie nie zwracając niczyjej uwagi.

Podszedł do wraka gapiąc się na niego z czymś, co miał nadzieję, przypominało zwykłą ciekawość. Przez chwilę rozmawiał z ludźmi obok wymieniając banalne spostrzeżenia gapia.

Kręcił się po okolicy, aż doszedł do drzwi. Zajrzał do środka samochodu, ale nie zobaczył bąka. Pozostał na swoim miejscu i nadal się rozglądał.

Wyciągając szyję powiedział najbliższemu gapiowi o desce rozdzielczej, a potem dodał coś jeszcze o napędzie. Cały czas rozglądał się za bąkiem.

Zabawki nie było jednak w środku.

Wstał więc i ponownie wmieszał się między ludzi, patrząc na chodnik, bo bąk mógł przecież wypaść z samochodu i potoczyć się trochę dalej. Możliwe, że wpadł do rynsztoka i spokojnie tam sobie leżał. Przeszukał więc rynsztok po obu stronach ulicy, po czym sprawdził jeszcze chodnik. Ani śladu bąka.

A więc bąka nie było. Nie zdążył go nawet wypróbować i teraz nie będzie miał pewności, czy zabawka zaprowadziłaby go do baśniowej krainy.

Był tam dwa razy, po raz pierwszy jako mały chłopiec, a potem, kiedy szedł

przez dolinę z dziewczyną, która nazywała się Kathleen Preston. Szli
zaczarowaną doliną, która mogła być, ni mniej ni więcej, tylko inną baśniową
krajną. Potem wrócił, żeby jeszcze raz zobaczyć się z Kathleen, ale
powiedziano mu, że wyjechała, więc odszedł z kwitkiem od drzwi i markotnie
podreptał przez podwórko.

Zaraz, rzekł do siebie. Czy on r z e c z y w i ś c i e odszedł z kwitkiem od
drzwi i podreptał przez podwórko?

Starł się to sobie przypomnieć i wszystko powróciło jak przez mgłę.

Zobaczył mężczyznę, który miłym głosem oznajmił mu, że Kathleen
wyjechała, a potem dodał: "Ale może wejdiesz, chłopcze? Mam coś, co
powinieneś zobaczyć."

Wszedł do środka i stanął w wielkim cieniastym holu. Na ścianach wisiały
ogromne malowidła, a wielkie schody prowadziły na wyższe piętra.

Mężczyzna powiedział...

Co powiedział?

A w ogóle czy to wszystko wydarzyło się naprawdę?

Dlaczego coś takiego, wydarzenie, o którym powinien pamiętać bez
problemu, przypomniało mu się dopiero po tylu latach, kiedy zupełnie je
zapomniał, podobnie jak dziecięcą wyprawę do krajiny z baśni?

Czy to zdarzyło się naprawdę?

Nie ma możliwości, żebym mógł to stwierdzić na pewno, pomyślał.

Odwrócił się i poszedł ulicą, mijając policjanta, który opierał się o ścianę
budynku, wymachiwał pałką i uśmiechał się do przechodniów.

Na opuszczonym parkingu bawiła się grupka dzieci. Vickers stanął, by im

**się przyjrzeć. Kiedyś bawił się tak jak one, nie myśląc o czasie ani
przeznaczeniu, pragnąc jedynie spędzić parę szczęśliwych godzin na słońcu.
Czas nie istniał, a cel życiowy ważny był przez chwilę albo co najwyżej
godzinę. Każdy dzień dłużył się w nieskończoność i nie było widać końca
życia...**

**Wśród bawiących się dzieci było jedno, które trzymało się raczej na uboczu,
przyciskało coś do siebie i najwyraźniej cieszyło się nową zabawką.**

**Nagle rzuciło zabawkę wysoko w powietrze i złapało ją. Słońce przez chwilę
rozbłysło na wielokolorowym metalu, a Vickers wstrzymał oddech.**

Przecież to jego bąk!

Zszedł z chodnika i ruszył przez parking.

**Dzieci nie zauważyły go albo raczej ignorowały jego obecność, gdyż dla
bawiących się maluchów dorośli nie istnieją, stanowiąc ciemne indywidua z
jakiegoś nierealnego i nieprzyjemnego świata.**

Vickers stanął nad chłopcem, który trzymał bąka.

- Dzień dobry, synku.

- Dzień dobry panu.

- Co tam masz?

- Znalazłem to - odparło dziecko pokazując na zabawkę.

- Jaka ładna zabawka - stwierdził Vickers. - Chciałbym ją od ciebie kupić.

- Ale ja nie chcę sprzedać.

- Dużo zapłacę - zapewnił Vickers.

Chłopiec z zainteresowaniem podniósł wzrok.

- Wystarczy na nowy rower?

Vickers sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik zmiętych banknotów.

- O jejku...

Kątem oka Vickers zauważył policjanta stojącego na chodniku i przypatrującego się mu. Policjant zrobił krok do przodu i ruszył przez parking.

- Masz - rzekł Vickers.

Schwycił bąka i wcisnął plik zwiniętych banknotów w rękę dziecka.

Wyprostował się i pognął przed siebie skręcając w pobliską aleję.

- Halo, proszę pana! - krzyknął za nim policjant. Vickers przyspieszył.

- Hej ty, zatrzymaj się albo będę strzelać!

Pistolet wystrzelił i Vickers usłyszał świst kuli przelatującej w pobliżu jego głowy. Policjant z pewnością nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale poranne artykuły w prasie wprawiały wszystkich w bardzo podejrzliwy nastrój.

Vickers dobiegł do pierwszego z budynków w alei i ukrył się za jego rogiem.

Wiedział, że nie może zostać na ulicy, bo kiedy policjant wybiegnie zza rogu, będzie go miał dokładnie na celowniku.

Vickers ruszył do bramy między dwoma budynkami i dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, bo przejście prowadziło z powrotem na ulicę, gdzie zniszczono jego samochód.

Zauważył otwarte okienko do piwnicy i w jednej chwili pojął, że jest to jego jedyna szansa. Rzucił się do środka, rękami do przodu. Poczul ból kręgosłupa przeszywający całe ciało. Następnie walnął w coś głową i piwnica zamieniła się w czarną pustą przestrzeń wypełnioną milionami gwiazd. Bąk spadł na

ziemię tuż obok niego.

Klęknął i podparł się rękoma. Ręką wymacał rurę wodociągową i podciągnął się na niej do pozycji stojącej. W plecach czuł dotkliwy ból, a głowa nadal huczała mu od zderzenia z jakimś twardym przedmiotem. Na szczęście jednak chwilowo był bezpieczny.

Odnalazł schody i wszedł po nich na górę. Stwierdził, że znajduje się na zapleczu sklepu z narzędziami. Całe pomieszczenie zavalone było kłębami drutu kolczastego, rolkami papy, kartonowymi pudełkami, piecykami, rurami, kratami i sznurami.

Słyszał rozmowy ludzi w sklepie, nie widział jednak nikogo. Ukrył się za piecykiem. Przez okno nad jego głową wpadały promienie słoneczne oświetlające okolicę kryjóWKi.

Usłyszał, jak na zewnątrz przebiega policjant. Z daleka dały się słyszeć czyjeś krzyki. Przykucnął niżej, przyciskając się mocniej do piecyka i starał się kontrolować swój oddech, ponieważ obawiał się, że jeśli ktoś wejdzie do pomieszczenia, od razu usłyszy jego głośny, szybki oddech.

Musiał znaleźć jakiś sposób wyjścia z kryjóWKi, bo przecież nie może zostać tu na zawsze. Tamci zaczną w końcu dokładniej przeczesać teren i wkrótce zorientują się, kogo szukają. Chłopiec opowie im, że znalazł bąka przy samochodzie, a ktoś przypomni sobie, że widział, jak ten sam mężczyzna parkował samochód. Poza tym kelnerka z baru pewnie go zapamiętała. Powoli fakty zaczną układać się w logiczną całość i ludzie domyślą się, że uciekinier jest właścicielem wiecznego samochodu.

Zastanawiał się, co by się z nim stało, gdyby go odnaleźli. Pamiętał notatkę z

St Malo o mężczyźnie wiszącym na lampie ulicznej z kartką na piersi.

Nie miał jednak szansy ucieczki. Wpadł w pułapkę i w tej chwili niewiele mógł na to poradzić. Nie może przecież wyjść z powrotem na uliczkę, bo będą go szukać. Może wrócić do piwnicy, ale i to na niewiele się zda. Może przemknąć chyłkiem do sklepu i zachowywać się jak zwykły klient. W ostateczności może wyjść na ulicę - postara się wyglądać jak normalny obywatel. Wątpił jednak, czy zdoła zagrać przekonująco.

A więc kierowanie się instynktem nie opłaciło się. Logika i rozsądek nadal królowały, jako czynniki kierujące życiem człowieka.

Nie było ucieczki z tego rozświetlonego słońcem miejsca za piecykiem.

Nie było ucieczki, chyba że...

Znowu miał bąka. Miał go przy sobie.

Nie było ucieczki, chyba że uda się skorzystać z usług bąka! Postawił zabawkę na podłodze i powoli zakręcił nią poruszając rączką. Bąk przyspieszył, zakręcił się żywiej. Pozwolił mu kręcić się dalej, a bąk wydał z siebie buczenie. Vickers przykucnął i przyglądał się kolorowym paskom. Patrzył, jak przeplatają się, podążał za nimi do wieczności i zastanawiał się, gdzie go zaprowadzą. Skupił całą swą uwagę na bąku, aż w końcu zabawka była wszystkim, co widział.

Nic z tego. Bąk zachybotał się, a Vickers położył na nim rękę i zatrzymał go.

Spróbował jeszcze raz.

Musiał ponownie stać się ośmiolatkiem. Musiał wrócić do dni swego dzieciństwa, oczyścić swój umysł, wyrzucić z niego wszystkie myśli i troski dorosłego człowieka. Musiał znowu stać się dzieckiem.

Pomyślał o zabawie w piasku, spaniu pod drzewami, o dotyku miękkiego pyłu pod gołymi stopami. Zamknął oczy i skoncentrował się. Wróciło do niego wspomnienie czasów dzieciństwa, jego kolor i zapach.

Otworzył oczy i przyjrzał się paskom. Zaczął usilnie zastanawiać się nad ich istnieniem i pytać, dokąd podążają, kiedy znikają.

Nic z tego. Bąk zachybotał się i Vickers znowu go zatrzymał. Przez głowę przemknęła mu szaleńcza myśl. Nie miał dużo czasu, musiał się spieszyć.

Odrzucił od siebie tę myśl.

Dziecko nie ma poczucia czasu. Dla dziecka czas jest pojęciem bardzo płynnym. Był małym chłopcem i miał bardzo dużo czasu. Poza tym niedawno właśnie dostał nową zabawkę. Znowu zakręcił bąkiem.

Pamiętał ciepło domowego ogniska, ukochaną matkę, zabawki porozrzucane po podłodze i książki z bajkami, które babcia zwykła mu czytać, kiedy przyjeżdżała w odwiedziny. Patrzył na bąka ze zwykłą dziecięcą ciekawością. Przyglądał się paskom, które podążały ku górze, a potem znikaly, potem znów pojawiały się i znikaly...

Poczuł, jak spada jakieś trzydzieści centymetrów niżej i nagle zdał sobie sprawę, że siedzi na wzgórzu. Pokryta trawą i kępami drzew równina ciągnęła się przed nim na wiele kilometrów we wszystkie strony.

Spojrzał pod nogi, gdzie bąk wykonywał ostatnie obroty, aż wreszcie zatrzymał się całkowicie.

30

ZIEMIA BYŁA DZIEWICZA i nie nosiła śladów bytności człowieka. Nawet porywisty wiatr, który nad nią hulał, zdawał się mówić, że nigdy nie dotknęła

jej ludzka stopa.

Ze wzgórza Vickers zauważył grupy ciemnych, poruszających się cieni, które, był tego pewien, stanowiły małe stadka bizonów. Kiedy tak patrzył, zbliżyły się do niego trzy wilki okrążające wzgórze, gdy jednak go dostrzegły, powiększyły łuk nieznacznie się oddalając. Po błękitnym niebie rozpościerającym się od horyzontu do horyzontu leciał ptak i przyglądał się ziemi z wysokości. Ptak zaskrzeczał, a jego głos, po przefiltrowaniu przez powietrze, doszedł do Vickersa jako cienki, piskliwy dźwięk.

Przyprowadził go tutaj bąk. Był bezpieczny na tej niezamieszkannej przez człowieka Ziemi z wilkami i bizonami. Wdrapał się na pobliski szczyt i rozejrzał po okolicy dostrzegając wokół wiele dolin i rzek pobłyskujących w słońcu. Ani śladu człowieka, żadnych dróg, żadnego dymu unoszącego się w powietrze.

Spojrzał na słońce i zastanowił się, gdzie może być zachód, zorientował się też, że prawdopodobnie jest rano. Jeśli jednak mylił się, to w ciągu kilku godzin nad ziemią może zapaść ciemność. A jeśli nadejdzie ciemność, będzie musiał znaleźć jakiś sposób na przetrwanie nocy.

Chciał udać się do "baśniowej krainy", ale to oczywiście nie była ta kraina.

Gdyby przestał o niej myśleć, wiedziałby, że do niej nie trafi, bo kraina, w której znalazł się jako dziecko, nie była wcale światem z bajki. Był to nowy i pusty świat, świat samotny i być może przerażający, ale na pewno było tu lepiej niż na zapleczu sklepu z narzędziami w jakimś nieznanym mieście, gdzie musiał się kryć przed ścigającymi go ludźmi.

Przeszedł ze starego, znanego świata do nowego i dziwnego. Jeśli nie było tu

ludzi, musiał zdać się całkowicie na własne siły.

Usiadł i opróżniony kieszenie sprawdził, co może mu się przydać. Pół paczki papierosów, trzy pudełka zapalek, jedno prawie puste, jedno pełne, jedno ledwie napoczęte, scyzoryk, chusteczka, parę banknotów dolarowych, kilka monet, kluczyk do wiecznego samochodu, kółko z kluczami od domu i od biurka oraz paroma innymi, których nie był w stanie zidentyfikować, automatyczny ołówek, kilka małych kartek papieru, na których chciał robić notatki, gdyby zauważył coś godnego uwagi. Miał ogień, narzędzie z tnącym ostrzem i parę kawałków bezwartościowego metalu - to było wszystko.

Jeśli ten świat jest pusty, sam będzie musiał stawić mu czoło. Będzie się musiał żywić i bronić, znaleźć dla siebie schronienie, a także, nieco później, coś do ubrania.

Zapalił papierosa i próbował się nad tym zastanowić, ale cały czas na myśl nasuwało mu się jedynie, że musi rozsądnie gospodarować papierosami, bo ma tylko pół paczki, a kiedy się skończą, nie będzie już skąd ich wziąć.

Obcy ład, może niezupełnie obcy, bo była to Ziemia, stara, dobrze znana Ziemia, nietknięta jeszcze narzędziami człowieka. Miała przyjazne powietrze, trawę i niebo, nawet wilki i bizony były identyczne jak na Ziemi. Być może była to Ziemia. Wyglądała w każdym razie tak, jak mogła wyglądać Ziemia, zanim człowiek ją zniewolił i zmusił do wykonywania jego rozkazów, zanim wydarł jej wszystkie skarby.

Nie był to obcy świat ani obcy wymiar, do którego przeniósł go błąk.

Właściwie to przecież nie błąk go tu przeniósł. Zabawka nie miała z tym wiele wspólnego. Była jedynie obiektem, na którym należało się skupić,

hipnotyzującym przedmiotem pomagającym umysłowi wykonać pracę. Bąk pomógł mu wprawdzie przenieść się tutaj, ale tak naprawdę to jego umysł i jego odmienność pozwoliły mu na przeniesienie się ze starej, znajomej Ziemi do tego pierwotnego, dziwnego miejsca.

Coś kiedyś czytał albo słyszał...

Usiłował teraz przypomnieć to sobie, w szaleńczym tempie przekopując pamięć.

Musiało chodzić o artykuł w gazecie albo jakąś historię, którą słyszał dawno temu. A może oglądał w telewizji.

W końcu przypomniał sobie o człowieku w Bostonie, doktorze Aldridge'u, który twierdził, że istnieje więcej niż jeden świat, że sekundę przed naszym jest inny, a sekundę za naszym - jeszcze inny, a potem co sekundę kolejne, długi łańcuch światów poukładanych jeden za drugim, jak ludzie idący w śniegu i stawiający kroki w tym samym miejscu, kiedy tylko poprzednik zabierze z niego swą nogę.

Nieskończony łańcuch światów, uporządkowanych w czasie i tworzących jakby pierścień wokół Słońca.

Pamiętał, że nie skończył czytać tego artykułu, coś odwróciło jego uwagę i odłożył gazetę. Wypalając teraz papierosa aż po sam ustnik żałował, że tak się stało. Bo Aldridge mógł mieć rację. To właśnie może być kolejny świat, tuż za starą, znaną Ziemią, następne ogniwo nieskończonego łańcucha.

Starł się rozgryźć logikę takiego pierścienia światów, ale wkrótce dał za wygraną, bo nie miał pojęcia, dlaczego taki pierścień miałby w ogóle istnieć.

Przypuśćmy zatem, że jest to Ziemia, pomyślał. Nie. Jest to druga Ziemia,

następna w kolejności za tą prawdziwą Ziemią, którą opuścił. Załóżmy, że z punktu widzenia topografii obie wyglądają tak samo, może nie identycznie, ale w każdym razie podobnie, z małymi różnicami tu i ówdzie. Różnica między nimi zwiększałaby się w zależności od odległości od prawdziwej Ziemi i byłaby zauważalna przy powiedzmy dziesiątej. Ale Vickers był na drugiej Ziemi i być może jej wygląd jedynie nieznacznie różnił się od wyglądu starej Ziemi. Na tamtej znajdował się gdzieś w okolicy Illinois, i prawdopodobnie ten teren jest odpowiednikiem Illinois.

Jako ośmioletni chłopiec dostał się do świata, w którym był ogród i dom otoczony drzewami, może więc jest to ta sama Ziemia, którą wtedy odwiedził. Jeśli tak, ów dom musi gdzieś tutaj być. Później siedł zaczarowaną doliną, która również może znajdować się na tej Ziemi, a jeśli tak, to gdzieś musiał znajdować się również dom Prestonów, identyczny z tym, który dumnie stał na Ziemi jego dzieciństwa.

Jest pewna szansa, ucieszył się. Wątpliwa, ale to zawsze coś.

Ruszył na poszukiwania domu Prestonów, na północny zachód, przechodząc pieszo wiele kilometrów, jakiego przejechał samochodem od momentu, gdy opuścił rodzinną Ziemię. Wiedział, że odnalezienie domu Prestonów jest mało prawdopodobne. Bardzo możliwe natomiast, iż został uwięziony w tym pustym, samotnym świecie. Ale odganiał od siebie takie myśli, bo dom, którego szukał, był dla niego jedyną nadzieją.

Sprawdził położenie słońca i stwierdził, że wzniosło się ono wyżej na niebie, co oznaczało, że jednak jest ranek, a nie popołudnie, dzięki czemu wiedział, gdzie jest zachód, a tylko to potrzebował wiedzieć.

Zszedł ze wzgórza kierując się na północny zachód i dążył naprzód ku jedynej nadziei, jaka mu pozostała.

31

NA DŁUGO PRZED zachodem słońca wybrał sobie miejsce na obozowisko w lasku ze strumieniem.

Zdjął koszulę i przywiązał ją do patyka, tworząc w ten sposób

prowizoryczną sieć, którą mógł złowić jakąś rybę. Następnie zszedł do małego rozlewiska strumienia, rozpoczął próby i wkrótce nauczył się ją obsługiwać.

Po godzinie miał pięć całkiem dorodnych ryb.

Oczyścił je scyzorykiem i jedną zapalką rozpalił ogień, ciesząc się w duchu, że taki dobry z niego leśnik.

Usmażył jedną rybę i zjadł. Nie było to łatwe, bo nie miał soli, a smażenie pozostawiało wiele do życzenia. Część ryby była całkowicie spalona, a część zupełnie surowa. Ale cieszył się i nie zauważył tych niedociągnięć, ponieważ był strasznie głodny. Kiedy jednak zaspokoił już pierwszy głód, trudno mu było przelknąć pozostałą część ryby, ale w końcu zmusił się, bo wiedział, że czekają go ciężkie czasy i żeby przeżyć, będzie musiał jak najczęściej napelniać brzuch.

Tymczasem zapadła ciemność i Vickers usiadł przy ognisku. Chciał jeszcze trochę porozmyślać, ale był już zbyt zmęczony. W końcu zasnął na siedząco.

Obudził się, aby stwierdzić, że ogień już prawie zgasł, a wokół czai się zupełna ciemność. Dorzucił do ognia. Płomień stanowił ochronę i dawał ciepło. Poza tym dzięki niemu mógł przygotować coś do zjedzenia. W czasie swojej dziennej wędrówki widział nie tylko wilki, ale również niedźwiedzia

oraz jakiś brązowy kształt przemykający szybko po jednym ze wzgórz.

Kiedy się ocknął ponownie, nadchodził już świt. Znowu dorzucił do ognia i usmażył pozostałe ryby. Zjadł jedną całą i kawałek drugiej, po czym wetknął pozostały zapas do kieszeni. Wiedział, że będzie potrzebował pożywienia, a nie chciał tracić czasu na zatrzymywanie się i rozpalać ogniska.

Przeszedł się po lasku i znalazł gruby, prosty kij. Zważył go w dłoni i uznał, że się nadaje. Miał mu służyć jako laska oraz być może maczuga, jeśli będzie zmuszony się bronić. Sprawdził kieszenie, aby się upewnić, czy nic nie zostawił. Miał scyzoryk i zapalki, a to było najważniejsze. Owinął zapalki dokładnie w chustkę, potem zdjął podkoszulek i nim również owinął skarb.

Jeśli spadnie deszcz albo wpadnie do strumienia, materiał być może chociaż częściowo uchroni zapalki przed zamoczeniem. A potrzebował tych zapalek.

Szczerze wątpił, czy uda mu się wzniecić ogień za pomocą krzesiwa albo harcerską metodą, przy użyciu dwóch patyków.

Wyruszył, zanim słońce weszło na dobre, znowu kierując się na północny zachód, ale tym razem szedł wolniej niż poprzedniego dnia, bo teraz już zdawał sobie sprawę, że nie liczy się szybkość, tylko wytrzymałość.

Nadmierne forsowanie organizmu w czasie pierwszych kilku dni wędrówki nie byłoby mądrym posunięciem.

Po południu stracił trochę czasu obchodząc stado bizonów, które pojawiło się na jego drodze. Tej nocy również rozbił obóz w lasku, a wcześniej zatrzymał się przy strumieniu i za pomocą sieci nałowił na zapas ryb. W lasku znalazł parę krzaków jeżyn, dzięki czemu po rybie stanowiącej danie główne zjadł smaczny deser.

Kiedy słońce wstawalo, ruszał dalej. Kiedy zachodziło, rozbijał obóz.

Zaczynał się kolejny dzień, a on szedł wciąż dalej przed siebie.

Łapał ryby, zbierał jeżyny. Raz nawet znalazł jelenia, dopiero co upolowanego przez jakieś zwierzę, które uciekło spłoszone widokiem przybysza. Uciął scyzorykiem tak dużo mięsa, jak tylko mógł unieść. Nawet bez soli mięso było miłą odmianą po rybach. Nauczył się także jeść kawałki surowego mięsa i żuł je w czasie marszu. W końcu resztę musiał wyrzucić.

Zupełnie stracił rachubę czasu. Nie miał pojęcia, ile kilometrów przeszedł ani jak daleko jeszcze do celu. Nie był nawet pewien, czy rzeczywiście uda mu się tam dotrzeć.

Jego buty zupełnie się rozpadły, więc wypchał je suchą trawą i związał kawałkami materiału oddartego z nogawek spodni. Pewnego dnia pochylił się nad strumieniem, aby się napić.

Z wody spojrzała na niego dziwna twarz. Z przerażeniem stwierdził, że jest to jego własna twarz, zarośnięta i brudna, porwana zmarszczkami zmęczenia.

Dni mijały. Vickers dalej szedł w kierunku północno-wschodnim. Przenosił po prostu ciężar z jednej nogi na drugą, poruszając się jak automat do przodu.

Na początku paliło go słońce, wkrótce jednak skórę pokryła ciemna opalenizna, która chroniła przed promieniami. Przebył szeroką i głęboką rzekę na kawałku pnia. Zajęło mu to dużo czasu i w pewnym momencie nawet o mało nie wpadł do wody, ale w końcu udało mu się. Szedł dalej. Nie miał nic do stracenia.

Przemierzał pustą Ziemię, na której nie było śladu bytności człowieka, chociaż z pewnością tereny te świetnie nadawałyby się do osiedlenia. Gleba

była żyzna, trawa rosła bujnie, a drzewa, które z zagajników nad korytami rzek wystrzeliwały w kierunku nieba, były proste i wysokie.

Wreszcie pewnego dnia tuż przed zachodem słońca wszedł na wzgórze i u swych stóp ujrzał rozległą dolinę, środkiem której płynęła rzeka, znajoma rzeka, jak mu się wydawało.

Ale to nie rzeka przykuła jego uwagę, lecz odbłask słońca na metalu, na metalowej powierzchni jakiegoś dużego obiektu w samym środku doliny.

Vickers podniósł dłoń, osłonił oczy przed słońcem i starał się dojrzeć, co też to może być, ale obiekt znajdował się zbyt daleko i świecił zbyt jasno.

Schodząc ze wzgórza i nadal nie wiedząc, czy powinien cieszyć się czy obawiać, Vickers wciąż przyglądał się błyszczącemu metalowi. Czasami, kiedy trafiał na zagłębienia terenu, tracił go z pola widzenia, ale kiedy znowu wychodził wyżej, odnajdywał obiekt.

W końcu przekonał się, że to co widzi, to z pewnością zabudowania.

Metalowe zabudowania błyszczące w słońcu. Widział teraz dziwne kształty unoszące się nad nimi w powietrzu i świadczące o życiu.

Nie było to jednak miasto. Przede wszystkim budowle miały w sobie zbyt wiele metalu. Poza tym nie prowadziły do nich żadne drogi.

Kiedy podszedł bliżej, jego oczom coraz wyraźniej ukazywały się szczegóły budowli, aż w końcu, kiedy znajdował się już w odległości paru kilometrów, zatrzymał się, przyjrzał dokładniej i już wiedział, co to jest.

Nie było to miasto, ale fabryka, ogromna fabryka, do której co chwila podlatywały dziwne maszyny będące prawdopodobnie samolotami, ale wyglądem przypominające raczej latające wagony towarowe. Większość z

nich nadlatywała od północy i zachodu; poruszały się niezbyt szybko i nisko nad ziemią. Opuszczały się na ziemię za budynkami, które znajdowały się pomiędzy Vickersem a lądowiskiem.

A istoty poruszające się wokół budynków nie były ludźmi, a w każdym razie nie wyglądały na ludzi, lecz raczej na metalowe roboty, których pancerze pobłyskiwały w słońcu.

Wokół budynków wznosiły się wysokie wieżyczki z ogromnymi, wklęsłymi dyskami skierowanymi w stronę słońca. Ich wnętrza świeciły, jakby palił się w nich ogień.

Vickers podszedł powoli do budowli, a kiedy się zbliżył, po raz pierwszy zdał sobie sprawę z ich ogromu. Pokrywały one ziemię akr za akrem i piętrzyły się w górę na wiele metrów. Uwijające się przy nich istoty były maszynami z własnym napędem.

Niektóre z maszyn potrafił nawet zidentyfikować, większość jednak nie kojarzyła mu się z niczym. Zauważył urządzenie transportujące ładunek drewna zakleszczony w jego wnętrzu oraz wielki dźwig ze stalowymi szczękami służącymi do ścinania drzew, poruszający się z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Inne urządzenia wyglądały jak mechaniczne zmory z sennego koszmaru, a każde z nich uwijało się jak w ukropie, jakby strasznie się dokądś spieszyło.

Znalazł uliczkę, a jeśli nie uliczkę, to w każdym razie pustą przestrzeń pomiędzy dwoma budynkami i zaczął nią iść, trzymając się bliżej jednej strony, gdyż spacer środkiem mógł skończyć się fatalnie ze względu na pędzące maszyny.

Doszedł do wejścia jednego z budynków, z którego prowadziła rampa dochodząca do uliczki. Ostrożnie wszedł na rampę i zajrzał do środka.

Wnętrze było oświetlone, chociaż Vickers nie mógł dojrzeć, skąd dochodzi światło. Widział długie rzędy ciężko pracujących maszyn. Nie usłyszał jednak żadnego hałasu, wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć metalowego chrzęstu maszyn pędzących w pobliżu budynków.

Zszedł z rampy i poszedł dalej uliczką, trzymając się ściany budynku, aż doszedł wreszcie do lądowiska, skąd startowały kontenery.

Patrzył, jak maszyny lądują i wyładowują towar, wielkie pokłady jasnego, świeżo ściętego drewna, które natychmiast chwytały przez maszyny transportujące i rozprowadzane we wszystkich kierunkach; ogromne zwały rudy, prawdopodobnie żelaznej, łapały w szczęki inne maszyny transportujące, które wyglądały jak pelikany.

Po rozładunku kontener startował. Bez najmniejszego hałasu, jakby wiatr sam unosił go wysoko w powietrze.

Latające maszyny przybywały bez przerwy, wyładowując kolejne partie towarów, który natychmiast był rozparcelowywany. Nic się nie marnowało.

Do czasu gdy maszyna unosiła się w powietrze, ładunek, który przywiozła, był już daleko.

Zupełnie jak ludzie, pomyślał Vickers. Te maszyny zachowują się zupełnie jak ludzie. Ich praca nie jest automatyczna, każda operacja musiała być wykonana w określonym miejscu i w odpowiednim czasie, a przecież prawie każdy statek lądował gdzie indziej, a poza tym odstępy pomiędzy kolejnymi lądowaniami nie były regularne. Za każdym razem jednak, gdy statek lądował,

w okolicy znajdowała się odpowiednia maszyna transportująca, która mogła zająć się ładunkiem.

Jak istoty inteligentne, pomyślał Vickers. Widział jednak dokładnie, czym są. Robotami, spośród których każdy miał przewidziane inne zadanie. Nie jak roboty człekokształtne z książek fantastycznych, ale praktyczne maszyny wyposażone w inteligencję.

Słońce zaszło i Vickers stojąc w rogu lądowiska spojrzął na wieżyczki skierowane w kierunku zachodnim. Zauważył, że dyski obracają się powoli na wschód, w oczekiwaniu na słońce, które wzejdzie następnego dnia.

Energia słoneczna, domyślił się Vickers. Gdzie słyszał już o energii słonecznej? Oczywiście w domach mutantów! Ten mały sprzedawca tłumaczył jemu i Ann, w jaki sposób, posiadając baterię słoneczną, można obyć się bez płatnych, publicznych źródeł energii.

No i znowu spotkał się z energią słoneczną. Spotkał tutaj również maszyny poruszające się bez najmniejszego hałasu. Jak wieczny samochód, który się nie zużywał, ale trwał przez wiele pokoleń.

Maszyny nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Zupełnie jakby go nie dostrzegły, nie wyczuwały jego obecności. Żadna z nich ani na chwilę nie zatrzymała się przejeżdżając obok niego, żadna nie zboczyła z kursu w jego kierunku. Żadna także nie starała się go w jakiś sposób odstraszyć.

Wraz z zachodem słońca teren został oświetlony, ale i tym razem Vickers nie mógł zlokalizować źródła światła. Nadejście nocy bynajmniej nie wstrzymało pracy. Latające wagoniki, wielkie, prostokątne, przypominające kontenery, wciąż nadlatywały, rozładowywały się i odlatywały. Maszyny

naziemne uprzątały ładunek. Długie rzędy urządzeń wewnątrz budynków bezszelestnie kontynuowały pracę.

Czyżby latające kontenery też były robotami? Najwyraźniej tak.

Zastanawiał się nad tym, kiedy tak stał przy ścianie budynku i trzymał się na uboczu.

Znalazł ogromną platformę załadunkową, gdzie piętrzyły się skrzynie przywożone tu przez maszyny i załadowywane potem na latające kontenery, które unosiły je w nieznanym kierunku. Podszedł bliżej do platformy i przyjrzał się dokładniej niektórym skrzyniom starając się wy badać, co też kryje się w ich środku, ale jedynymi napisami, jakie na nich odnalazł, były ciągi składające się z liter i cyfr. Pomyślał, że mógłby spróbować otworzyć którąś ze skrzyń, ale nie miał przy sobie odpowiednich narzędzi. Poza tym nieco się obawiał, bo o ile w tej chwili maszyny nie zwracały na niego uwagi, sytuacja mogła zmienić się diametralnie, jeśli zacznie ingerować w ich pracę. Parę godzin później dotarł na drugi skraj obszaru fabryki. Wyszedł poza jej teren, po czym odwrócił się i popatrzył. Ujrzał emanujące dziwnym światłem budynki i wyczuł panującą w nich krzątaninę.

Patrzył tak i rozmyślał, co się tam produkuje. Wydawało mu się, że nietrudno to zgadnąć. Prawdopodobnie maszynki do go lenia i zapalniczki. Może także żarówki, domy i wieczne samochody. Być może wszystko razem. Bo był pewien, że jest to fabryka, a przynajmniej jedna z fabryk, które Crawford i jego Północnoamerykańskie Biuro Badań starali się bez powodzenia odnaleźć.

Nic dziwnego, że im się nie udało, stwierdził.

PÓŹNYM POPOŁUDNIEM DOSZEDŁ do rzeki. Rzeka usiana była pokrytymi drzewami i winoroślą wysepkami z wydrami i ruchomymi piaskami. Pomyślał, że może to być rzeka Wisconsin, łącząca się w dolnym biegu z Mississippi. A jeśli tak było, to wiedział, dokąd idzie. Stąd pozostało mu już niewiele drogi.

Ogarnął go teraz strach, że nie odnajdzie tego, co szuka. Że w tym świecie nie ma domu Prestonów. Że znalazł się na dziwnej Ziemi, gdzie nie ma ludzi, są tylko roboty. Napotkał skomplikowaną cywilizację robotów, w której człowiek nie odgrywał żadnej roli. W fabryce nie pracował ani jeden człowiek, tego był pewien, bo zakład był całkowicie samowystarczalny. Nie potrzebował ani rąk, ani mózgu człowieka.

Kiedy zgasły ostatnie światła dnia, rozbił obóz na brzegu rzeki i zanim poszedł spać, długo siedział wpatrując się w lustrzaną powierzchnię oświetlonej księżycem rzeki i czuł przemożną samotność, jakiej dotąd nie zaznał.

Kiedy nadejdzie ranek, ruszy dalej. Miał zamiar dojść do miejsca, w którym powinien stać dom Prestonów. Ale co zrobi, jeśli nic tam nie znajdzie?

Nie myślał o tym. Nie chciał o tym myśleć. W końcu poszedł spać.

Rano zszedł nad rzekę i przyjrzał się jej urwistemu, południowemu brzegowi. Wygląd skał pozwalał mu sądzić, że wie, gdzie jest.

Poszedł wzdłuż rzeki i w końcu dotarł do wielkiego urwiska skalnego znajdującego się u zbiegu dwóch rzek. Zobaczył cienką fioletową linię skalistego brzegu większej rzeki, wdrapał się więc na jedną z pobliskich skał i

dostrzegł dolinę, której szukał.

Tej nocy rozbił obóz w dolinie, a następnego ranka, idąc dalej, dotarł do kolejnej rozległej doliny, która powinna go doprowadzić do domu Prestonów. Był w połowie jej długości, kiedy stwierdził, że ją poznaje, chociaż już wcześniej tu i ówdzie widział formacje skał i kępy drzew, które wydawały mu się znajome.

Wzbięła w nim nadzieję, a potem pewność, że znalazł się na znanym sobie terenie.

Przed sobą miał zaczarowaną dolinę, którą szedł dwadzieścia lat temu!

A teraz, pomyślał, przekonamy się, czy dom też tutaj jest. Poczł osłabienie i przerażenie na samą myśl, że może nie znaleźć domu, że dojdzie do końca doliny i zobaczy puste miejsce, w którym powinien stać dom Prestonów. Jeśli tak się stanie, utraci ostatnią nadzieję, będzie rozbitkiem z daleka od swej znanej, ukochanej Ziemi.

Znalazł ścieżkę i poszedł nią. Wiatr pochylał wysoką trawę przypominającą grzywacze z białymi czapami piany. Dostrzegł kępy dzikich jabłoni, które nie kwitły, bo pora była już zbyt późna. Ucieszył się: to jednak te same drzewa, które widział niegdyś w pełnym rozkwicie.

Ścieżka zakręciła za wzgórzem, a Vickers zatrzymał się i popatrzył na stojący przed nim dom. Poczł, jak kolana uginają się pod nim, więc szybko odwrócił wzrok. Po chwili spojrzł jeszcze raz, upewniając się, że to co widzi, nie jest jedynie tworem jego wyobraźni.

Dom jednak stał naprawdę.

Ruszył więc ścieżką zrazu powoli, potem biegiem. W końcu jednak zwolnił

do szybkiego marszu. Po chwili znowu zaczął biec i wtedy nie mógł się już powstrzymać.

Dotarł do wzgórza, na którym stał dom, i zwolnił starając się uspokoić.

Pomyślał, jak żaloszny musi przedstawiać sobą widok, z wielotygodniowym zarostem na twarzy, w podartym i poszarpanym ubraniu, pokryty, grubą warstwą brudu, z rozpadającymi się butami przywiązanymi do stóp kawałkami materiału oddartymi z nogawek spodni, które teraz nie zasłaniały już brudnych, wychudłych kolan.

Doszedł do białego płotu, który okalał dom, i zatrzymał się przed bramą przyglądając się budynkowi. Wyglądał dokładnie tak samo, jak go pamiętał, schludny, dobrze utrzymany, z pięknie przystrzyżonym trawnikiem i kępami kwiatów, ze świeżo pomalowanymi drewnianymi częściami oraz wyblakłą cegłą, świadcząca o latach działania słońca, wiatru i deszczu.

- Kathleen - rzekł na głos, ledwo wypowiadając słowa, gdyż jego usta były wyschnięte i szorstkie. - Wróciłem.

Zastanawiał się, jak też dziewczyna może wyglądać po tylu latach.

Przypomnił sobie, że nie powinien oczekiwać, iż ujrzy tę samą nastolatkę, ale dojrzałą kobietę w jego wieku.

Kathleen zobaczy go stojącego przy bramie i nawet mimo brody, podartego ubrania i tygodni wędrówki rozpozna go. Otworzy drzwi i wyjdzie, aby go powitać.

Drzwi się uchylily, ale ponieważ Vickers stał pod słońce, nie mógł dojrzeć postaci, dopóki nie wyszła ona na ganek.

- Kathleen - powiedział. Ale to nie była Kathleen.

Był to ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widział. Mężczyzna, który nie miał na sobie prawie nic i błyszczał w słońcu, idąc w kierunku Vickersa. W końcu zatrzymał się i rzekł:

- Sir, czym mogę panu służyć?

33

BYŁO COŚ DZIWNEGO w blasku bijącym od tego mężczyzny, w sposobie, w jaki się poruszał i mówił. Coś tu nie pasowało. Po pierwsze, nie miał włosów.

Jego głowa była absolutnie łysa, a i na klatce piersiowej nie można było dostrzec ani jednego włoska. Także jego oczy były dziwne. Świeciły podobnie jak reszta ciała. Poza tym wyglądało na to, że mężczyzna nie ma ust.

- Jestem robotem, sir - rzekł świecący mężczyzna widząc zdumienie Vickersa.

- Och - odparł Vickers. - Nazywam się Hezekiah.

- Jak się masz, Hezekiah? - spytał grzecznie Vickers, nie wiedząc, jak się zwracać do robota.

- Dziękuję, dobrze - odparł Hezekiah. - Zawsze mam się dobrze. Nie mogę się przecież zepsuć. Ale dziękuję za zainteresowanie, sir.

- Miałem nadzieję, że kogoś tu spotkam - zaczął Vickers. - Pannę Kathleen Preston. Czy jest może przypadkiem w domu?

Przyjrzał się oczom robota, ale dojrzał w nich tylko pustkę.

- Nie zechciałby pan wejść i poczekać, sir? - spytał robot.

Hezekiah otworzył bramę i przepuścił Vickersa, który wszedł na zużytą ceglana drogę prowadzącą ku domowi. Cegły, z których zbudowano dom, pod wpływem słońca, wiatru i deszczów szlachetnie wyblakły. Cała posiadłość była

wspaniale utrzymana. Okna świeciły czystością po niedawnym umyciu, starannie pomalowane, wraz z obrzeżami, okiennice były otworzone, a trawa wyglądała tak, jakby nie tylko ją przystrzyżono, ale wręcz uczesano. Na schludnych, wielobarwnych klombach nie było widać ani jednego chwastu, a lśniące od białej farby paliki ogrodzenia niczym drewniani żołnierze otaczały dom i ogród.

Obeszli dom, a robot wszedł po schodkach na mały ganek wejścia znajdującego się z boku domu, otworzył drzwi i zaprosił Vickersa do środka. - Na prawo, sir - rzekł Hezekiah. - Proszę usiąść i poczekać. Jeśli będzie pan miał jakieś życzenie, na stoliku znajduje się dzwonek.

- Dziękuję - odparł Vickers.

Pomieszczenie było dość duże jak na poczekalnię. Zostało pięknie wytapetowane i miało zgrabny marmurowy kominek z lustrem nad paleniskiem. Pokój wyglądał dość oficjalnie, jakby w domu tym często odbywały się ważne spotkania.

Vickers usiadł i czekał.

Czego właściwie się spodziewał? Że Kathleen wybiegnie mu na spotkanie, szczęśliwa po całych dwudziestu latach bez żadnej wiadomości od niego?

Potrząsnął głową. Za bardzo dał się zaślepić własnym marzeniom. A marzenia takie niestety rzadko się spełniają. Zresztą, logicznie rzecz biorąc, nic w tym dziwnego.

Ale były jeszcze inne wydarzenia, które z logicznego punktu widzenia nie powinny mieć miejsca, a mimo to działy się naprawdę. Nie było przecież żadnej logiki w tym, że odnajdzie ten dom w innym świecie, a mimo to

odnalazł go i siedział teraz pod jego dachem i czekał. Nie było logiki w tym, że znajdzie bąka, o którym dawno zapomniał, ani w tym, że przypomni sobie, co powinien z nim zrobić. A mimo to odszukał go, zrobił to, co powinien zrobić i znalazł się tutaj.

Siedział w ciszy i wsłuchiwał się w odgłosy domu.

Z pokoju obok dobiegały czyjeś głosy. Zauważył, że drzwi były lekko uchylone.

Poza tym panowała zupełna cisza.

Wstał krzesła i powoli podszedł do okna, a potem wrócił do kominka.

Kto był w pokoju obok? Dlaczego polecono mu czekać? Kogo tam ujrzy i co mu tamci powiedzą?

Wolnym krokiem przemierzył pokój dookoła. Stał przy drzwiach i opierając się plecami o ścianę wstrzymał oddech, żeby coś usłyszeć.

W pomruku głosów mógł teraz odróżnić poszczególne słowa.

- ...będzie dla niego szokiem. Głęboki, dudniący głos odpowiedział:

- To zawsze jest szokiem. Nic na to nie poradzisz. Niezależnie od tego, w jaki sposób naświetlisz sytuację, zawsze będzie poniżająca.

Spokojny, cedzący słowa głos odparł:

- Co za pech, że musimy pracować w ten sposób. Szkoda, że nie możemy pozwolić im odejść w przynależnych im ciałach.

Ten sam głos co na początku, oficjalny, skrupulatny, rzekł:

- Większość androidów przyjmuje to spokojnie. Nawet wiedząc, co to oznacza. Tłumaczymy im to. Poza tym jeden z trzech zawsze może funkcjonować w swoim dotychczasowym ciele.

- Obawiam się - zaczął dudniący głos - że z Vickersem zaczęliśmy odrobinę za wcześnie.

- Flanders twierdził, że nadeszła już właściwa pora. Mówi, że Vickers jest jedynym, który może uporać się z Crawfordem.

W tym miejscu do dyskusji włączył się głos Flandersa:

- Jestem pewien, że może. Późno zaczął, ale szybko posuwał się naprzód. A nie było mu łatwo. Najpierw pluskwa z podsłuchem tak się rozbestwiła, że ją złapał. To dało mu do myślenia. Potem zorganizowaliśmy lincz. Następnie znalazł bąka, którego zostawiliśmy, i zaczął kojarzyć fakty. Jeśli damy mu jeszcze jeden albo dwa elementy tej układanki...

- A co z tą dziewczyną, Flanders? Z tą... jak ona miała na imię?

- Ann Carter - odpowiedział Flanders. - Też daliśmy jej nieco do myślenia, ale nie tak mocno jak Vickersowi.

- Jak oni to zniosą? - spytał cedzący słowa głos - kiedy dowiedzą się, że są androidami?

Vickers cicho odsunął się od drzwi, trzymając się ściany rękoma, jakby błądził po omacku w pokoju zagraconym meblami.

Doszedł do drzwi prowadzących na korytarz, chwycił się futryny i przytrzymał.

Wykorzystali mnie, pomyślał.

Nie jest nawet człowiekiem.

- Niech cię wszyscy diabli, Flanders.

Nie tylko on, ale i Ann. Nie są mutantami, nie są żadnymi wyższymi istotami ani nawet ludźmi. Są androidami!

Muszę stąd wiać, pomyślał. Musiał uciekać i gdzieś się ukryć. Musiał znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł się schować i lizać rany. Potem pozwoli umysłowi ochłonąć i zastanowi się, co ma robić dalej.

Bo z pewnością musi jakoś zareagować w związku z właśnie usłyszaną rewelacją. Na pewno nie pozostanie bierny. W odpowiednim momencie włączy się do gry.

Przeszedł korytarzem, doszedł do drzwi i otworzył je, żeby się przekonać, czy ktoś jest na zewnątrz. Ogród był pusty. W polu widzenia nie dostrzegł nikogo.

Wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Zeskoczył z malutkiego ganku i ruszył biegiem. Nie zatrzymując się przeskoczył płot i biegł dalej bez wytchnienia.

Nie obejrzał się za siebie, dopóki nie dopadł najbliższej kępy drzew. Dom, zbudowany na szczycie wzgórza, majestatycznie pełnił straż nad doliną.

34

A WIĘC JEST ANDROIDEM, sztucznym człowiekiem, ciałem zbudowanym z garści substancji chemicznych, ukształtowanym przez ludzki umysł i technologię, ale umysł i technologię mutanta, gdyż zwykły, normalny człowiek, który stąpał po matce Ziemi, tej oryginalnej Ziemi, nie posiadał umiejętności konstruowania androidów. To właśnie mutanty, i tylko one, potrafiły stworzyć sztucznego człowieka tak umiejętnie i zmyślnie, że nawet on sam nie domyślał się tego. Stworzyły też sztuczną kobietę, Ann Carter. Mutanci potrafili konstruować androidy, roboty, wieczne samochody, nie tępiące się maszynki do golenia i wiele innych przedmiotów, a wszystkie miały

służyć zniszczeniu gospodarki rasy ludzkiej, z której się przecież wywodzili ich twórcy. Zsyntetyzowali węglowodany w postaci pożywienia, i białka, które stanowiły budulec ciał stworzonych przez nich androidów. Wiedzieli, jak podróżować z jednej Ziemi na drugą, poprzez wszystkie Ziemie, napotymane w korytarzu czasu. Tyle o nich wiedział. Nie miał jednak pojęcia, jakie inne umiejętności posiadają. Nie wiedział też, o czym marzą ani co planują.

"Jesteś mutantem", powiedział Crawford. "Nie do końca rozwiniętym mutantem. Jesteś jednym z nich." Ponieważ Crawford dysponował inteligentną maszyną, która potrafiła przeniknąć do czyjegoś umysłu i stwierdzić, co znajduje się wewnątrz. Jednakże przy ostatniej analizie okazało się, że maszyna do niczego się nie nadaje, bo nie potrafi nawet odróżnić prawdziwego człowieka od podróbki.

Nie jest mutantem, ale chłopcem na posyłki mutantów. Nie jest nawet człowiekiem, a tylko jego sztuczną kopią.

Zastanawiał się, ilu jeszcze istnieje takich jak on. Ile androidów jego typu znajduje się na Ziemi wykonując przydzielone im przez mutantów zadania.

Ilu takich jak on wysłedzili i pilnowali ludzie Crawforda, nie podejrzewając nawet, że nie mają na oku mutanta, ale maszynę wykonaną przez mutantów.

Na tym właśnie polegała prawdziwa różnica pomiędzy normalnym człowiekiem a mutantem. Normalny człowiek mógł wziąć kukłę wyprodukowaną przez mutantów za prawdziwego mutanta.

Mutanci stworzyli go i wypuścili, pozwalając mu wieść swobodne życie.

Stworzyli również mechanizm szpiegowski, by móc go stale obserwować, małą mechaniczną mysz, którą można było zniszczyć za pomocą przycisku do

papierów.

A kiedy nadeszła odpowiednia pora, zaczęli dawać mu sygnały. Ale po co?

Podburzyli sąsiadów z jego miasteczka i dali mu szansę ucieczki przed linczem, nakazali mu odnaleźć zabawkę z okresu dzieciństwa i czekali na to, czy zabawka nie wzbudzi odpowiednich skojarzeń. Upewnili się, że pojedzie wiecznym samochodem, mimo iż wiedzieli, że w ten sposób naraża się na ogromne niebezpieczeństwo.

A co teraz?

Co dzieje się z androidami, kiedy już wykonują zadanie, jakie im wyznaczono?

Powiedział Crawfordowi, że jeśli będzie wiedział, co się święci, wówczas z nim porozmawia. A teraz posiadał już wystarczająco dużo informacji, którymi Crawford bez wątpienia byłby zainteresowany.

Czuł też, że coś w jego mózgu usilnie domaga się wydostania na światło dzienne, coś bardzo ważnego, coś, czego nie potrafi sobie przypomnieć.

Szedł przez las, w którym rosły ogromne drzewa, pod stopami czuł grubą warstwę podściółki i liści, widział mech i czuł zapach kwiatów. Otaczająca go cisza napelniała serce spokojem i poczuciem bezpieczeństwa.

Musi odnaleźć Ann Carter. Musi powiedzieć jej, co się dzieje i razem może będą w stanie znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Zatrzymał się przy wielkim dębie i popatrzył w górę na jego koronę. Starał się zebrać myśli, przegonić ze swego umysłu cały chaos, aby odzyskać świeżość spojrzenia.

Przede wszystkim musi zrobić dwie rzeczy.

Dostać się z powrotem na Matkę Ziemię.

Odnaleźć Ann Carter.

35

VICKERS NIE ZAUWAŻYŁ mężczyzny, dopóki ten do niego nie przemówił.

- Dzień dobry, nieznajomy - odezwał się czyjś głos, a Vickers obrócił się w miejscu. Parę metrów za nim stał mężczyzna, wysoki, potężnie zbudowany, silny, ubrany jak robotnik na farmie albo w fabryce, ale miał czapkę z daszkiem na głowie ozdobioną wielkim piórem.

Pomimo dość zwyczajnego ubrania w człowieku tym nie dostrzegano żadnych cech robotnika, a raczej wesołość, która przypominała Vickersowi kogoś, o kim gdzieś czytał, ale zupełnie nie mógł sobie przypomnieć kogo.

Z ramienia mężczyzny zwisał kołczan wypełniony strzałami, a w ręku spoczywał łuk. U paska zawieszane były dwa króliki, których krew kapiała na nogawkę spodni.

- Dzień dobry - odpowiedział Vickers krótko.

Nie spodobało mu się, że nagle za jego plecami wyrasta jakiś obcy mężczyzna.

- Jest pan jednym z nich - rzekł mężczyzna.

- Jak to?

Mężczyzna uśmiechnął się wesoło.

- Od czasu do czasu natykamy się na was - ciągnął. Jest pan jednym z tych, którzy przedostali się tutaj i nie wiedzą, gdzie teraz właściwie są. Często zastanawiałem się, co się z wami działo, zanim się tu osiedliliśmy, i co się z wami dzieje, kiedy przebędziecie długą drogę z innej osady.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Nie ma pan także pojęcia, gdzie naprawdę się w tej chwili znajduje - dodał mężczyzna.

- Mam na ten temat swoją teorię - odparł Vickers. - To druga Ziemia.

Mężczyzna zachichotał.

- Prawie się panu udało. W każdym razie jest pan lepszy niż inni. Tamci ciskają się i nie wierzą, kiedy im mówimy, że to Ziemia Numer Dwa.

- To miło - stwierdził Vickers. - Ziemia Numer Dwa, tak? A co z Numerem Trzy?

- Czeka na moment, kiedy jej będziemy potrzebować. Nieskończenie wiele światów czeka tylko na nasze skinienie. Możemy kontynuować odkrycia pokolenie za pokoleniem. Nowa Ziemia dla każdego nowego pokolenia. Ale mówią, że nie będziemy ich tak szybko potrzebować.

- Mówią - zdziwił się Vickers. - Kto mówi?

- Mutanci - odparł mężczyzna. - Miejscowi żyją w Dużym Domu. Nie widział pan Dużego Domu?

Vickers potrząsnął głową.

- Musiał go pan przeoczyć. Wielki ceglany dom z białym drewnianym płotem i innymi budynkami, które wyglądają jak stodoły, ale wcale nie są stodołami.

- Nie są?

- Nie - odparł mężczyzna. - To laboratoria i budynki eksperymentalne. Mają też jeden budynek specjalnie do słuchania.

- Po co im budynek do słuchania? Zawsze mi się wydawało, że słuchać można gdziekolwiek. Pan i ja możemy słyszeć się nie mając żadnego

specjalnego pomieszczenia do tego celu.

- Słuchają gwiazd - wyjaśnił mężczyzna.

- Słuchają... - zaczął Vickers, i w tym momencie przypomniał sobie, jak

Flanders siedząc na ganku w Cliffwood i bujając się w fotelu opowiadał mu o

wielkich zasobach informacji i wiedzy istniejących pośród gwiazd. Mówił, że

są tam tylko po to, żeby z nich czerpać i że być może nie trzeba wcale rakiet,

żeby się tam dostać, ale wystarczy sięgnąć umysłem, oddzielić informacje

zbędne od potrzebnych i w ten sposób osiąść wielką wiedzę.

- Telepatia? - spytał Vickers.

- Tak jest - odparł mężczyzna. - Oni tak naprawdę nie słuchają gwiazd, ale

istot rozumnych, które tam mieszkają. Czy nie jest to najbardziej śmieszny

pomysł, o jakim kiedykolwiek pan słyszał? Słuchać gwiazd!

- Tak, chyba tak - zgodził się Vickers.

- Od tamtych istot dowiadują się wszystkiego. Ale nie rozmawiają z nimi.

Tak mi się wydaje. Tylko ich słuchają. Wylapują to, o czym tamci myślą i co

wiedzą. Sporo z tego mogą wykorzystać, mimo że większość do niczego się nie

nadaje. Ale tak to właśnie wygląda, panie...

- Nazywam się Vickers. Jay Vickers.

- No cóż, miło mi pana poznać, panie Vickers. Ja nazywam się Asa Andrews.

Zrobił parę kroków do przodu i wyciągnął rękę, a Vickers uściskał ją

mocno.

Teraz już wiedział, gdzie czytał o tym mężczyźnie. Przed nim stał

amerykański pionier, człowiek, który nosił najdłuższą strzelbę od kolonii aż

po tereny łowieckie w Kentucky. Oto niezależność, dobra wola, szybki umysł i

wiara we własne siły. Tu, w lasach Ziemi Numer Dwa Vickers spotkał pioniera, twardego i niezależnego, odpowiedni materiał na przyjaciela.

- Mutanci muszą być tymi, którzy sprzedają nie tępiące się maszynki do golenia i te wszystkie inne przedmioty ze sklepów 1001 drobiazgów - stwierdził Vickers.

- Szybko pan łapie - odparł Andrews. - Za jakiś dzień lub dwa dotrzemy do Dużego Domu i tam będzie pan mógł sobie z nimi pogawędzić.

Przeniósł łuk do drugiej ręki.

- Słuchaj, Vickers, zostawiłeś tam kogoś? Żonę, dzieci, czy coś w tym guście?

- Nie - zaprzeczył Vickers. - Nikogo.

- To w porządku. Gdybyś zostawił, to natychmiast poszlibyśmy do Dużego Domu i opowiedzieli im o tym, a oni już by się postarali, żeby ściągnąć tu twoich. Bo tak tu już jest. Kiedy się tu dostaniesz, nie ma odwrotu. Chociaż nie wiem, po co ktoś miałby chcieć tam wracać. O ile wiem, jeszcze się taki nie znalazł.

Zmierzył Vickersa od stóp do głowy, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

- Jesteś dość wymizerowany - stwierdził. - Chyba nie jadłeś ostatnio najlepiej.

- Ryby i padlina, którą znalazłem. No i do tego trochę jeżyn.

- Gospodyni przygotowuje jedzenie. Najesz się do syta, a te ciuchy wyrzucimy.

Dzieci zagrzeją wodę, będziesz mógł się wykapać. Potem usiądziemy sobie i pogadamy. Bo mamy sporo do obgadania.

Ruszył przodem, a Vickers podążył za nim.

Wyszli na skraj pola, na którym rosła zielona jeszcze kukurydza.

- Ten tam to mój dom - pokazał palcem Andrews. - Na dnie doliny. Widzisz dym?

- Tak. Masz też ładne poletko kukurydzy - zauważył Vickers.

- Niedawno jeszcze sięgała kolan. A tam jest dom Jake'a Smitha. Jak się przyjrzyysz dokładnie, to go zobaczysz. Tuż za grzbietem górskim widać pola Johna Simmonsa. Mamy też innych sąsiadów, ale nie widać ich z tego miejsca. Przeszli przez ogrodzenie z siatki i ruszyli przez pole pomiędzy rządkami kukurydzy.

- Tu jest inaczej niż na Ziemi - tłumaczył Andrews. Tam pracowałem w fabryce i mieszkałem w chałupie, która nadawała się co najwyżej na hodowlę świń. Kiedy zamknęli fabrykę, nie mieliśmy za co żyć. Poszedłem do ludzi od węglowodanów i przez jakiś czas dawali nam jeść. Potem jednak właściciel domu, w którym mieszkaliśmy, wyrzucił nas na ulicę, a ludzie od węglowodanów byli tak mili, że od razu poszedłem do nich i opowiedziałem, co się stało. Oczywiście nie miałem pojęcia, czy mogą coś na to poradzić. Chyba nawet nie oczekiwałem, że mi pomogą, bo już i tak wiele dla mnie zrobili. Ale byli jedynymi, których znałem i wiedziałem, że mogę się do nich z tym zwrócić. Więc poszedłem tam i po dniu albo dwóch pojawił się u nas jeden z nich opowiadając o tym miejscu. Oczywiście nie powiedział nam wszystkiego, zdradził tylko, że zna takie miejsce, gdzie szukają osadników. Powiedział, że jest to zupełnie nowe terytorium, gdzie ziemia rozdawana jest wszystkim chętnym. Pomogą mi tu stanąć na nogi i zamiast klitki dwa na cztery w cuchnącej kamienicy będę miał mój własny dom. Zgodziłem się. Ostrzegł mnie jeszcze, że jeżeli tam pojedziemy, to nie będziemy już mogli

wrócić, a ja spytałem, po co miałbym wracać. Stwierdziłem, że niezależnie od tego, gdzie to jest, pojedziemy tam, no i oto właśnie jesteśmy.

- I nigdy nie żalowałeś? - spytał Vickers.

- Żartujesz. To była najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek nam się przydarzyła - odparł Andrews. - Świeże powietrze dla dzieciaków, żarcia ile dusza zapagnie i mieszkanie bez właściciela, który może cię w każdej chwili wyrzucić. Nie mamy rachunków do zapłacenia ani podatków żerujących na naszych pensjach. Zupełnie jak w książkach od historii.

- Książkach od historii?

- No, wiesz. Kiedy Ameryka została odkryta i osiedlali się pionierzy. Ziemia do wzięcia. Więcej ziemi, niż ktokolwiek mógłby sobie zażyczyć. Poza tym gleba jest tak żyzna, że wystarczy wetknąć w nią jakieś nasionko, a natychmiast zbierasz obfity plon. Masz ziemię, na której możesz sadzić, co ci się żywnie podoba i drewno, które można wykorzystać do opalania i budowania. W nocy możesz wyjść na dwór, spojrzeć w gwiazdziste niebo, a powietrze jest tak czyste, że aż kręci ci się w nosie, kiedy nim oddychasz.

Andrews odwrócił się i spojrział na Vickersa z blaskiem w oczach.

- To była najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła - powtórzył, jakby Vickers chciał z nim polemizować.

- A ci mutanci - zaczął Vickers - nie mieszają się do twojego życia? Nie są twoimi nadzorcami?

- Ograniczają się do udzielania nam pomocy. Przysyłają robota, który pomaga nam w pracy, kiedy potrzebujemy pomocy. Przysyłają robota, który mieszka z nami przez dziewięć miesięcy w roku i uczy nasze dzieci. Na każdą

rodzinę przypada jeden robot-nauczyciel. Niezłe, co? Masz własnego, prywatnego nauczyciela. Na Ziemi tylko bogacze mogli sobie pozwolić na prywatne lekcje.

- I nie masz nic przeciwko tym mutantom? Nie czujesz się od nich gorszy?

Nie nienawidzisz ich dlatego, że wiedzą więcej od ciebie?

- Słuchaj - rzekł Asa Andrews - lepiej żeby nikt tutaj nie słyszał takiego gadania. Mogą cię powiesić. Kiedy tutaj przyjechaliśmy, wszystko nam wytłumaczyli. Mieliśmy lekcje indokt... indoktryn...

- Indoktrynacji.

- Właśnie. Wszystko nam opowiedzieli. Wyjaśnili, jakie panują tu zasady.

- Na przykład nie wolno posiadać broni palnej - zgadł Vickers.

- Na przykład - zgodził się Andrews. - Skąd wiedziałeś?

- Polujesz z łukiem.

- Kolejna zasada brzmi, że jeśli się z kimś pokłócisz i nie możecie rozstrzygnąć kwestii w ugodowy sposób, musicie iść do Dużego Domu i pozwolić mutantom zadecydować. A jeśli zachorujesz, musisz natychmiast powiadomić ich o tym, żeby mogli przysłać ci doktora i wszystko, czego ci potrzeba. Większość zasad jest ustanowionych dla naszego dobra.

- A co z pracą?

- Pracą?

- Musisz chyba jakoś zarabiać, nie?

- Jeszcze nie - odpowiedział Andrews. - Mutanci dają nam wszystko, czego nam trzeba. My musimy tylko pracować w polu i sadzić żywność. Nazywają to... zaraz, niech sobie przypomnę... jak to się mówi... a tak, nazywają to

etapem pastoralno-feudalnym. Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

- Ale muszą przecież mieć fabryki - nalegał Vickers, nie zwracając uwagi na pytanie. - Tam gdzie produkują maszynki do golenia i inne rzeczy. Potrzebują chyba ludzi do pracy?

- Używają robotów. Ostatnio rozpoczęli produkcję samochodu, który nigdy się nie zużywa. Tu niedaleko jest fabryka. Ale całą robotę odwalają maszyny.

Wiesz, roboty.

Vickers skinął głową.

- No dobrze, a co z tubylcami?

- Tubylcami?

- Tak. Ludźmi z tej Ziemi. Chyba są jacyś?

- Nie ma - odparł Andrews.

- Ale przecież wszystko wygląda tu jak na starej Ziemi, drzewa, rzeki, zwierzęta...

- Nie ma żadnych tubylców - powtórzył z uporem Andrews. - Ani Indian, ani żadnych innych.

A więc na tym polegała różnica pomiędzy tą Ziemią a Ziemią matką.

Malutka różnica, która tworzyła zupełnie nowy świat. Gdzieś daleko, w przeszłości zaistniała blokada, która nie pozwoliła na rozwój człowieka. Nie zabłysła iskierka intelektu. Nikt nie rozniecał tu ognia krzesiwem, nie używał kamienia jako broni. W mózgach żyjących tu istot nie pojawiła się zaduma, która później mogłaby przerodzić się w piosenkę, rysunek, akapit dobrej prozy lub piękny wiersz...

- Już prawie jesteśmy na miejscu - zakomunikował Andrews.

Przeskoczyli plot otaczający pole kukurydzy i przez pastwisko ruszyli w kierunku domu.

Nagle rozległ się okrzyk radości i pół tuzina dzieci zbiegło ze wzgórza. Za nimi uganiał się tuzin szczekających psów. W drzwiach domu zbudowanego z okorowanych bali drewnianych pojawiła się kobieta i spojrzała w ich kierunku zasłaniając oczy dłonią przed słońcem. Pomachała, a Andrews również odpowiedział jej machnięciem dłoni. W tym momencie otoczyła ich rozbrykana hałastrą.

36

LEŻAŁ W ŁÓŻKU, NA STRYCHU ponad kuchnią i wsłuchiwał się w wiatr tupiący bosymi nogami po dachu tuż nad jego głową. Obrócił się i zagłębił głowę w wypchaną gęsim puchem poduszkę, a znajdujący się pod nim materac ze słomy kukurydzianej zachrzęścił w ciemności.

Wykąpał się pod prysznicem znajdującym się za domem, używając wody podgrzanej w garnku nad ogniskiem. Namydlał całe ciało, a w tym samym czasie Andrews siedział na pobliskim pniaku i rozmawiał z nim. Dzieci bawiły się w ogródku, a psy myśliwskie wygrzewały się na słońcu ogonami odganiając natrętne muchy.

Zjadł dwa pełne posiłki. Po wielu dniach, w czasie których żywił się niedosmażonymi rybami i na wpół zgniłym jeleniem, zapomniał już, że jedzenie może być tak smaczne. Dostał chleb kukurydziany, miskę kaszy, młodego królika usmażonego w brytfannie z puree z młodych ziemniaków i sałatką, do której warzywa zebrały dzieci. Na kolację zjadł świeże jaja, dopiero co wyciągnięte spod kur.

Po tym jak Andrews posadził go na pniu i obciął mu nożyczkami zbyt długi zarost, ogolił się, a dzieci z ciekawością przyglądały się jego poczynaniom. Potem razem z Andrewsem zasiedli na schodach i rozmawiali. Słońce zaszło i Andrews powiedział, że zna takie miejsce, które aż się prosi, by wybudować na nim dom. Schowane za wzgórzem, ze strumieniem płynącym w pobliżu i ziemią nad zatoczką, którą można by obsiać. W okolicy pełno było drzew na budowę domu. Wielkich, strzelistych drzew, które on, Andrews, pomógłby mu ściąć. Kiedy zebraliby już bale drewniane, zwołałoby się sąsiadów, którzy pomogliby w stawianiu domu. Jake przyniósłby smażoną kukurydzę, Ben skrzypki i po postawieniu domu zorganizowałoby obławanie. Gdyby potrzebowali pomocy, wystarczyło tylko wysłać wiadomość do Dużego Domu, a mutanci z pewnością przysłaliby gromadę robotów. To jednak prawdopodobnie nie byłoby konieczne. Sąsiedzi byli bardzo uczynni i zawsze gotowi do pomocy. Cieszyli się również, kiedy sprowadzała się kolejna rodzina.

Kiedy dom zostanie zbudowany, ciągnął Andrews, Vickers mógłby rzucić okiem na córki Simmonsów, chociaż właściwie nie było to konieczne, bo każda z nich wyglądała jak marzenie. Tu Andrews dał Vickersowi kuksańca w żebra i zaśmiał się głośno. Jean, żona Andrewsów, która wyszła właśnie, żeby się do nich przyłączyć, uśmiechnęła się nieśmiało i odwróciła, żeby popatrzeć na dzieci bawiące się w ogrodzie.

Po kolacji Andrews z dumą pokazał mu książki stojące na półce w pokoju gościnnym i powiedział, że je czyta. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił, nawet nie przeszłoby mu to przez myśl. Zresztą nie miał czasu. Patrząc na

książki Vickers odnalazł Homera, Shakespeare'a, Montaigne'a i Austen, Thoreau i Steinbecka.

- I ty to czytasz? - zdziwił się Vickers.

Andrews skinął głową.

- Czytam i bardzo mi się niektóre podobają. Czasami trudno jest mi przebrnąć przez którąś, ale nie podaję się. Jean najbardziej lubi Austen.

- Życie tutaj jest bardzo przyjemne - twierdził Andrews. Lepszego życia nie zaznali nigdy wcześniej. Jean uśmiechnęła się zgadzając ze słowami męża, a dzieci rozpoczęły dyskusję, czy psy powinny spać w domu czy na dworze.

Tutejsze życie rzeczywiście jest miłe, zgodził się w myślach Vickers. Oto spotkał pierwszych amerykańskich pionierów, wyidealizowanych, takich, jakich można było spotkać tylko w książkach. W odróżnieniu jednak od książek nie było tu śladu strachu i ciężkiej pracy. Był to "ojcowski" feudalizm z Dużym Domem na wzgórzu podobnym zamkowi, z którego spoglądano w dół na szczęśliwych ludzi żyjących z pracy na roli. Był tu czas na odpoczynek i mobilizację sił. Panował spokój. Nie prowadzono wojen, nie było podatków. Byli tutaj na etapie... jak określił to Andrews?... pastoralno-feudalnym. A jaki etap nadejdzie po nim? Etap pastoralno-feudalny dla odpoczynku i zastanowienia, uporządkowania myśli, umocnienia więzi między człowiekiem a Ziemią. Etap, w trakcie którego przygotowywano rozwój kultury, lepszej od tej, jaką zostawili za sobą.

Była to jedna z wielu Ziemi. Jak wiele ich jeszcze czeka w ukryciu? Setki?

Miliony? Ziemia za Ziemią, wszystkie oczekujące na swych pionierów.

Zastanowił się nad tym i wydawało mu się nawet, że potrafi zgadnąć, jaki

plan szykują mutanci. Był prosty i brutalny, ale z pewnością mógł wypalić.

To Ziemia okazała się niewypałem. Gdzieś, na długiej drodze ewolucji prowadzącej od małpy do człowieka poszli w złym kierunku i od tej pory spotykały ich same nieszczęścia. W ludziach była inteligencja, dobro i rozliczne talenty, ale zużytkowali swoją inteligencję i talenty na rozwijanie nienawiści i arogancję, a ich dobro legło pod gruzami egoizmu.

Byli dobrymi ludźmi i z pewnością zasługiwali na ocalenie, tak jak pijak czy kryminalista zasługuje na rehabilitację. Ale żeby ich ocalić, należało wyciągnąć ich ze środowiska, w jakim się znajdowali, ze slumsów ludzkiej myśli i czynów. Nie było innego sposobu, żeby mogli wylamać się ze starych obyczajów, obyczajów przekazywanych z pokolenia na pokolenie, bazujących na nienawiści, chciwości i zabijaniu.

Aby to uczynić, należało zniszczyć świat, w którym żyli, i stworzyć plan prowadzący do ustanowienia lepszego świata. Przede wszystkim jednak należało zaplanować wszystko od początku do końca.

Najpierw trzeba było zrujnować system ekonomiczny, na którym zbudowana została stara Ziemia. Dokonać tego można było z pomocą wiecznych samochodów i nie tępiących się maszynek do golenia oraz syntetycznych węglowodanów, które stanowiły pożywienie dla głodnych.

Należało zniszczyć przemysł poprzez produkcję towarów, których przemysł ten nie potrafił wyprodukować, co stwarzało sytuację, w której stawał się on przestarzały i nikomu niepotrzebny. Kiedy do pewnego stopnia zniszczyło się przemysł, niemożliwe już było prowadzenie wojen, a to oznaczało połowę sukcesu. W tym momencie jednak ludzie pozbawieni zostali pracy, a więc

karmiono ich węglowodanami i starano się ich przenieść na inne Ziemi.

Gdyby nie znaleziono wystarczająco dużo miejsca na Ziemi Numer Dwa, wysłano by część z nich na Ziemię Numer Trzy i być może Numer Cztery, żeby nie doprowadzić do przeludnienia i żeby każdy miał wystarczająco dużo miejsca dla siebie. Na nowych Ziemiach wszystko zaczynało się od początku, można było naprawić błędy i uniknąć niebezpieczeństw, które w czasie wielu wieków skąpały starą Ziemię we krwi.

Na nowych Ziemiach można było zbudować dowolną kulturę. Można było nawet nieco poeksperymentować, doprowadzić do powstania jednej kultury na Ziemi Drugiej, innej na Ziemi Trzeciej, a jeszcze innej na Ziemi Czwartej. Po tysiącu lat można było porównać te kultury i stwierdzić, która najlepiej się sprawdziła, wskazać każdy błąd, który popełniła każda z nich. Z czasem można by opracować formułę na najlepszą kulturę ludzką.

Tutaj, na tej Ziemi, kultura pastoralne-feudalna była dopiero pierwszym etapem. Ludzie osiedlali się, odpoczywali i uczyli. Rzeczy dopiero miały ulec zmianie. Syn człowieka, u którego teraz spał, wybuduje sobie lepszy dom i prawdopodobnie będzie używał robotów do pracy w polu i w obejściu, w czasie gdy on sam prowadzić będzie przyjemne życie, a jego energia, odpowiednio spożytkowana przez dobrych przywódców, doprowadzi do ustanowienia raju na jednej Ziemi lub nawet na wielu Ziemiach.

Vickers przypomniał sobie, że czytał w gazecie artykuł mówiący o tym, że władze zastanawiają się nad masowymi zniknięciami ludzi. Jak twierdził autor artykułu, z niewiadomego powodu znikają całe rodziny. Jedynym podobieństwem między poszczególnymi przypadkami był niski stan

majątkowy tych rodzin. To oczywiste, że najpierw należało przenieść ludzi najbiedniejszych, bezdomnych, bezrobotnych i chorych, osiedlając ich na Ziemiach znajdujących się poza ciemną Ziemią krwi i przemocy zamieszkaną przez człowieka.

Już wkrótce na starej Ziemi zostanie niewielu ludzi. Już niedługo, w ciągu tysiąca lat lub nawet mniej, Ziemia opustoszeje, a jej powierzchnia nareszcie zostanie uwolniona od dzikich plemion wysysających jej soki, patroszących jej wnętrzności, kaleczących ją, gwałcących jej prawa. Te same plemiona zostaną przeniesione na inne Ziemi, pod lepszym nadzorem, co być może pozwoli im prowadzić rycie, które okaże się lepsze.

Pięknie, pomyślał. Pięknie. Ale pozostawał jeszcze problem androidów.

Zacznijmy od początku, powiedział do siebie w myślach Vickers. Zacznijmy od faktów, starajmy się odnaleźć w nich jakąś logikę, rozpoznać drogę rozwoju mutacji.

Mutanci istnieli zawsze. Gdyby tak nie było, człowiek nadal byłby małą, drżącą istotą kryjącą się w dżungli i uciekającą na drzewa.

Najpierw mutacja dotyczyła chwytneho kciuka. Istniały mutacje w obrębie mózdzka, które wykształciły w ludziach spryt. Jakaś kolejna mutacja doprowadziła do ujarznienia ognia. Inna do wynalezienia koła. Jeszcze inna do wynalezienia łuku i strzały. I tak przez wieki ludzkość rozwijała się.

Mutacja za mutacją tworzyły drabinę, po której wspinała się ludzkość.

Tylko że istota, która przechwyciła i ujarzmiła ogień, nie wiedziała, że jest mutantem. Nie podejrzewał tego również ten, kto wynalazł koło czy pierwszy łuk.

W ciągu całych stuleci pojawiały się nieoczekiwane i nieświadome niczego mutacje, ludzie, którzy dokonali czegoś nowego, wielkie osobistości świata biznesu lub wielcy politycy, wielcy pisarze, wielcy artyści, ludzie, którzy tak dalece wyprzedzali swoją epokę, że w porównaniu ze współczesnymi sobie wydawali się umysłowymi gigantami.

Być może nie wszyscy byli mutantami, chociaż zapewne większość z nich.

Ich mutacja jednak ujawniała się jedynie w znikomym stopniu w porównaniu z możliwościami, jakie w nich drzemały, gdyż byli oni zmuszeni ograniczać się, podtrzymywać konwenanse społeczne i ekonomiczne, narzucone im przez niezmutowaną resztę społeczeństwa. Swoistą miarą ich wielkości była już sama umiejętność podporządkowywania się narzuconym konwenansom i obcowania z ludźmi, którzy byli od nich gorsi.

Mimo że z punktu widzenia człowieka normalnego odnieśli ogromny sukces, ich mutacja była porażką, ponieważ nigdy nie mogli zrealizować się do końca, a to dlatego, że nie wiedzieli, kim naprawdę są. Byli więc jedynie nieco bardziej inteligentni lub nieco bardziej pomysłowi lub nieco szybsi od normalnych ludzi.

A co by się stało, gdyby człowiek uświadomił sobie, że jest mutantem?

Załóżmy, że miałby w ręku niezaprzeczalny dowód, co wtedy?

Załóżmy na przykład, że człowiek zorientował się, iż może sięgnąć do gwiazd i przechwycić myśli i plany istot rozumnych żyjących na planetach okrążających te dalekie gwiazdy, co byłoby wystarczającym dowodem, by stwierdzić, że jest mutantem. Gdyby dzięki swemu wsłuchiowaniu się w gwiazdy potrafił znaleźć odpowiednią informację posiadającą wymierną

wartość ekonomiczną, na przykład zasadę działania maszyn nie podlegających sile tarcia, bez wątplenia mógłby stwierdzić, że został obdarzony darem mutacji. Zaś stwierdziwszy to, nie mógłby tak bezkonfliktowo żyć ze współczesnymi sobie jak ludzie będący mutantami, ale nie zdający sobie z tego sprawy. Będąc jednak świadom tego faktu, człowiek miałby poczucie wielkości, czułby potrzebę obrania swojej własnej drogi, a nie kroczenia po utartej od lat ścieżce.

Początkowo mógłby być nieco przestraszony rzeczami, które wyczytał w gwiazdach i czułby się bardzo wyobcowany. Mógłby też widzieć potrzebę zatrudnienia innych niż on ludzi do opracowywania informacji, które zaczerpnął z kosmosu.

Szukałby więc innych mutantów i robiłby to w przemyślany sposób. Mimo to znalezienie któregoś z innych mutantów zajęłoby mu prawdopodobnie dużo czasu. W końcu ostrożnie zbliżyłby się do niego, zdobył jego zaufanie i w końcu wyjawił swoje plany. Wtedy dwaj mutanci rozpoczęliby poszukiwanie kolejnych. Oczywiście nie wszyscy potrafiliby wysyłać swe myśli w kosmos, ale byłiby w stanie dokonywać innych rzeczy, niemożliwych dla normalnego człowieka. Jedni niemalże instynktownie znalazłby się na elektronice lepiej, niż ktokolwiek inny po wielu latach nauki. Inni mogliby wyczuwać dziwny związek między czasem i przestrzenią, który umożliwiałby istnienie niezliczonych kopii Ziemi, wspaniałego łańcucha światów wokół Słońca.

Część mutantów stanowiłyby kobiety, dzięki czemu wkrótce na świat przyszłyby dzieci mutantów. W ciągu dwudziestu lat powstałaby organizacja mutantów, która zrzeszałaby pewnie koło paru setek osób.

Dzięki informacjom, jakie zebraliby z innych gwiazd, oraz niezwykłym umiejętnościom wynaleźliby i produkowali przedmioty, które dałyby im odpowiednie fundusze na kontynuowanie pracy. Vickers zastanawiał się, jak wiele z używanych na co dzień, prozaicznych przedmiotów mogło zrodzić się w umysłach mutantów.

Ale nadszedłby czas, kiedy organizacja mutantów i ich praca stałyby się już zbyt oczywiste, żeby można je było skutecznie ukryć. Szukaliby więc miejsca, gdzie można by się ukryć, bezpiecznego zakątka, by kontynuować swą pracę. A czy można sobie wyobrazić dogodniejsze miejsce niż któraś z pozostałych Ziemi?

Vickers leżał na materacu ze słomy kukurydzianej, gapił się w ciemność i zastanawiał nad potocznością swojej wyobraźni. Miał nieodparte wrażenie, że to wszystko dzieje się naprawdę i że wie o tym już od jakiegoś czasu. Ale skąd miałby o tym wiedzieć?

Może dzięki budowie swojego mózgu, dzięki temu, że jest androidem? A może była to rzeczywista wiedza, którą nabył w pewnym okresie swego życia, która jednakże w jakiś sposób została zablokowana, tak jak wspomnienie o podróży do krainy z baśni, którą odbył w wieku ośmiu lat. Świadomość tej wiedzy powracała teraz do niego tak, jak i wróciła mu pamięć dotycząca wizyty w baśniowej krainie.

A może była to pamięć przodków, która przekazywana jest dzieciom przez rodziców. Jedynym problemem było jednak to, że jako android nie mógł mieć rodziców.

Nie miał rodziców i nie przynależał do żadnej rasy. Był kpiną z człowieka,

namiastką zbudowaną w celu, którego nawet nie znał.

Jakie zadanie mogli mu wyznaczyć mutanci? Czy posiadał jakieś umiejętności, które sprawiały, że był im potrzebny? Do czego chcieli go wykorzystać?

To go właśnie najbardziej bolało. On i Ann mieli zostać wykorzystani.

Praca mutantów nie ograniczała się jedynie do mało ważnych drobiazgów, które produkowali. Było to coś ważniejszego od wiecznych samochodów, nie tępiących się maszynek do golenia i syntetycznych węglowodanów. Ich zadaniem było ocalenie i odbudowanie rasy, danie początku całkowicie nowemu gatunkowi ludzi. Chcieli doprowadzić do powstania świata lub światów, gdzie wojna nie tyle leżałaby poza prawem, co byłaby niemożliwa, strach nigdy nie pojawiał się w umysłach ludzi, a postęp miał inną wartość niż teraz.

Tylko gdzie w tego rodzaju programie znajdowało się miejsce dla Jaya Vickersa?

W domu, w którym obecnie się znajdował, leżał nowy początek. Początek może dziwny, ale solidny. W ciągu kolejnych dwóch lub trzech pokoleń ludzie z tej rodziny będą gotowi na przyjęcie produktów, które są im przeznaczone. A kiedy będą gotowi, postęp będzie już na nich czekać.

Mutanci wyjmą ludziom z rąk śmiercionośne zabawki. Będą je trzymać w ukryciu aż do chwili, gdy dzieci człowieka staną się wystarczającą dorosłe, by z nich korzystać nie wyrządzając sobie przy tym krzywdy. Odbiorą trzylatkowi zabawki dwunastolatka, którymi dotąd niebezpiecznie igrał, i oddadzą mu je, prawdopodobnie ulepszone, kiedy dorośnie.

A przyszła kultura, która powstanie pod przewodnictwem mutantów, nie będzie jedynie kulturą mechanistyczną, ale będzie to oparta na nowych zasadach społeczno-ekonomicznych harmonijna cywilizacja ducha, sztuki i - robotów. Mutanci przywrócą gatunkowi ludzkiemu zachwianą w toku historii równowagę, a lata, które na to poświęcą, będą procentować w przyszłości.

Ale mniejsza o spekulacje. Najważniejszą teraz rzeczą było co on, Jay Vickers, zamierza uczynić w zaistniałej sytuacji.

Zanim cokolwiek zrobi, będzie musiał więcej się dowiedzieć o tym, co tu się naprawdę dzieje. Będzie musiał poznać więcej faktów. Potrzebował informacji, a nie mógł jej otrzymać tutaj, leżąc na materacu ze słomy kukurydzianej na poddaszu domu pionierów.

Istniało tylko jedno miejsce, gdzie mógł zaczerpnąć wiedzy.

Zsunął się bezszelestnie z łóżka i w ciemności zaczął szukać swojego obszarpanego ubrania.

37

DOM SPOWIJAŁA CIEMNOŚĆ. Cała okolica spała zalana światłem księżyca, a wysokie cienie drzew padały na ogród. Vickers stał w cieniu tuż przed bramą i przyglądał się jej przypominając sobie, jak wyglądała poprzednim razem, kiedy jeszcze prowadziła do niej droga. Teraz drogi nie było. Przypomniwał sobie, jak światło księżyca padało na śnieżnobiałe kolumny, które stawały się wtedy naprawdę piękne. Pamiętał słowa, które wypowiedzieli spoglądając na księżyc.

Ale to było dawno temu. Tamte czasy już nie wrócą. Pozostała tylko gorycz wynikająca ze świadomości, że nie jest człowiekiem, a tylko nędzną imitacją.

Otworzył bramę i wszedł po schodach prowadzących na ganek. Tutaj jego kroki odbijały się tak głośnym echem w ciszy nocy, że był pewien, iż mieszkańcy domu go usłyszą.

Znalazł dzwonek. Przycisnął go kciukiem i stał czekając tak jak niegdyś.

Jednak tym razem to nie Kathleen miała podejść do drzwi, by go przywitać.

W centralnym holu ktoś włączył światło. Przez szybę dojrzał sylwetkę zbliżającego się człowieka. Drzwi otworzyły się. Vickers wszedł do środka, a połyskujący robot pokłonił mu się nieco sztywno i rzekł:

- Dobry wieczór, sir.

- Hezekiah, jak sądzę? - spytał Vickers.

- Tak jest, sir - potwierdził robot. - Spotkaliśmy się dziś rano.

- Wyszedłem na spacer.

- W takim razie być może teraz będę mógł pokazać panu pokój.

Robot odwrócił się i zaczął wchodzić po krętych schodach. Vickers ruszył w ślad za nim.

- Piękna noc, sir, nieprawdaż? - zagaił robot.

- Rzeczywiście.

- Czy jadł już pan kolację, sir?

- Tak, dziękuję.

- Mógłbym przynieść panu coś na przekąskę, na wypadek gdyby był pan głodny - zaproponował robot. - O ile pamiętam, został kawałek kurczaka.

- Nie - odparł Vickers. - Ale jeszcze raz dziękuję.

Hezekiah otworzył drzwi i zapalił światło. Następnie przesunął się w bok, wpuszczając Vickersa do środka.

- Może miałby pan ochotę na szklaneczkę whisky przed snem?

- Niezła myśl. Jeśli można, to poprosiłbym o szkocką.

- Za chwilę, sir. Pidżamę znajdzie pan w trzeciej szufladzie od góry. Może być nieco za duża, ale chyba powinna się nadać.

Znalazł pidżamę, która wyglądała na całkiem nową. Była rzeczywiście za duża, ale i tak wolał to niż nic.

Pokój był ładny. Stało w nim duże łóżko pokryte białą, haftowaną narzutą.

Białe zasłony w oknach łopotąły na nocnym wietrze.

Usiadł w fotelu czekając na Hezekiasza z drinkiem. Po raz pierwszy od wielu dni uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Wypije drinka, wskoczy do łóżka, a kiedy nadejdzie świt, zbiegnie po schodach w poszukiwaniu ostatecznego rozwiązania zagadki.

Drzwi otworzyły się.

Nie pojawił się w nich jednak Hezekiah, lecz Horton Flanders w

karmazynowym szlafroku ściągniętym mocno przy szyi i kapciach na stopach, które przy każdym kroku głośno plaskały o podłogę.

Flanders przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu. Spojrzał na Vickersa z półuśmiechem na twarzy.

- Więc wróciłeś - zaczął.

- Przyszedłem, żeby posłuchać twoich wyjaśnień - odparł Vickers. - Możesz już zaczynać.

- No cóż, oczywiście - zgodził się Flanders. - Po to właśnie wstałem. Jak tylko Hezekiah zakomunikował mi, że przyszedłeś. Wiedziałem, że będziesz chciał porozmawiać.

- Nie chcę porozmawiać. To ty masz mówić.

- Ach tak, oczywiście. To ja będę mówić.

- I nie o zasobach wiedzy ukrytych w gwiazdach, o których tak pięknie potrafisz opowiadać, ale o bardziej praktycznych i raczej doczesnych rzeczach.

- Na przykład?

- Na przykład dlaczego jestem androidem i dlaczego Ann Carter jest androidem. I czy kiedykolwiek istniała osoba o nazwisku Kathleen Preston, czy też może jest to tylko informacja wszczepiona w mój mózg. A jeśli kiedykolwiek istniała osoba o nazwisku Kathleen Preston, to gdzie jest teraz? Na końcu powiesz mi jeszcze, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie i co zamierzacie zrobić?

Flanders pokiwał głową.

- Bardzo rozsądne pytania. Niestety wybrałeś właśnie te, na które nie mogę ci udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

- Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, że na naszej Ziemi ludzie polują na mutantów i zabijają ich. Sklepy z waszymi produktami są niszczone i palone. Normalni ludzie zaczynają walkę. Przyszedłem was ostrzec, bo myślałem, że też jestem mutantem...

- Jesteś mutantem, zapewniam cię, Vickers. Bardzo szczególnym rodzajem mutantą.

- Mutantem androidem.

- Ciężko się z tobą rozmawia - odrzekł Flanders. Pozwalasz, aby twoje rozgoryczenie...

- Oczywiście, że jestem rozgoryczony - nie dał mi skończyć Vickers. - A kto by nie był? Przez czterdzieści lat uważałem siebie za człowieka, a teraz okazuje się, że nie miałem racji.

- Ty głupcze - powiedział ze smutkiem Flanders - nawet nie masz pojęcia, kim jesteś.

Hezekiah zapukał do drzwi i wszedł niosąc w dłoniach tacę. Postawił ją na stole, a Vickers zauważył, że znajdują się na niej dwie szklanki, jakiś koktajl, wiaderko z lodem i karafka z alkoholem.

- A teraz - zmienił temat Flanders - pomówmy sensownie. Nie wiem dlaczego tak się dzieje, ale wystarczy nalać człowiekowi drinka, a ten od razu staje się bardziej cywilizowany.

Sięgnął do kieszeni swego szlafroka, wyciągnął paczkę papierosów i podał ją Vickersowi. Vickers wziął pudełko i wyjmując papierosa zauważył, że jego dłoń trzęsie się nieco. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo był zenerwowany.

Flanders zapalił zapalniczkę i podał mu ogień. Vickers zapalił.

- Dobrze - zauważył. - Papierosy skończyły mi się już czwartego dnia.

Siedział w fotelu, palił papierosa i zastanawiał się, jak wspaniale smakuje tytoń. Obserwował przy tym Hezekiasza przygotowującego drinki.

- Podśluchałem was tego ranka - rzekł Vickers. - Kiedy przyszedłem, Hezekiah wpuścił mnie do środka. Czekaając na spotkanie niechętnie podśluchałem, jak ty i inni rozmawialiście w pokoju.

- Wiem o tym - odparł Flanders.

- W takim razie jaka część waszej rozmowy została dla mnie sfabrykowana?

- **Całość - rzekł Flanders pogodnie. - Każde słówko.**
- **Chcieliście, żebym myślał, iż jestem androidem.**
- **Tak.**
- **To wy nasłaliście na mnie tę mysz?**
- **Musieliśmy coś zrobić. żeby wybić cię z jednostajnego rytmu twojej egzystencji. A mysz miała specjalne zadanie.**
- **Donosiła na mnie.**
- **I to wyjątkowo dobrze. Był to jeden z naszych najdoskonalszych szpiegów.**
- **Najbardziej zabolalo mnie to, że przekonaliście ludzi w Cliffwood, iż to ja cię wykończyłem - rzekł Vickers.**
- **Musieliśmy cię stamtąd jakoś wypędzić. Trzeba było zmusić cię do powrotu do twego dzieciństwa.**
- **Skąd wiedzieliście, że wrócę do mojego dzieciństwa?**
- **Mój przyjacielu, czy słyszałeś kiedyś o potędze przeczucia? Nie chodzi mi tutaj o nędzny rodzaj przeczucia, jakim kieruje się bukmacher obstawiając konie na wyścigach, ani też o przeczucie mówiące, czy będzie dziś padać deszcz... ale raczej pełną zdolność przewidywania zdarzeń. Można by powiedzieć, że jest to instynktowna zdolność oceny wpływu określonej liczby czynników, dzięki której człowiek automatycznie, bez zastanawiania się, jest w stanie powiedzieć, co się wydarzy. To prawie tak, jakby miało się dar zaglądania w przyszłość.**
- **Tak - kiwnął głową Vickers. - Myślałem o tym. I to dość dużo, szczególnie w ciągu ostatnich paru dni.**
- **Zastanawiałeś się nad tym?**

- W pewnym sensie. Ale co to ma...

- Być może - przerwał mu Flanders - wydawało ci się, że jest to zdolność, która nigdy tak naprawdę nie została w pełni wykorzystana. Że nigdy nawet jej nie dostrzegaliśmy, a więc nie przejmowaliśmy się nią. Może też myślałeś, że jest to jedna z tych zdolności, które wymagają ciągłych ćwiczeń. Coś, z czego człowiek może skorzystać w razie potrzeby.

- Tak właśnie myślałem, a w każdym razie...

- No więc teraz właśnie istnieje taka potrzeba - przerwał mu znowu Flanders. - I to jest odpowiedź na pytanie, które zadałeś. Mieliśmy przeczucie, że wrócisz do swego dzieciństwa.

- Na początku myślałem, że to Crawford nasłał na mnie ludzi, ale on zaprzecza.

Flanders potrząsnął głową.

- Crawford nigdy by tego nie zrobił. Za bardzo cię potrzebuje. Nigdy nie zrobiłby niczego, co mogłoby cię wystraszyć. Twoje przeczucie w tej kwestii nie zadziałało najlepiej.

- Rzeczywiście.

- Twoje przeczucie nie zawsze działa tak, jak powinno tłumaczył Flanders - bo nie wierzysz w nie. Nadal starasz się brać wszystko na logikę. Polegasz na staromodnym logicznym sposobie rozumowania, z którego ludzkość korzysta od momentu, gdy opuściła jaskinie. Patrzysz na wszystko z różnych punktów widzenia i starasz się wyrobić sobie obiektywną opinię, Dodajesz i odejmujesz, jakbyś rozwiązywał zadanie matematyczne. Nigdy nie kierujesz się przeczuciem. I to jest twój problem.

To istotnie jest mój problem, pomyślał Vickers. Przeczucie podpowiedziało mu, że powinien zakręcić bakiem na ganku domu Prestonów i gdyby to zrobił, oszczędziłby sobie wielu dni wędrówki przez pola i lasy Ziemi Numer Dwa.

Przeczucie podpowiedziało mu, że powinien posłuchać ostrzeżenia Crawforda i nie korzystać z wiecznego samochodu, i gdyby tak postąpił, uniknąłby wielu kłopotów. Poza tym przeczucie podpowiedziało mu, że powinien odzyskać bakę i tym razem na szczęście go posłuchał. To się opłaciło.

- Ile wiesz? - spytał Flanders.

Vickers bezradnie pokręcił głową.

- Niedużo - przyznał. - Wiem, że istnieje organizacja mutantów. Musiała pewnie powstać wiele lat temu i miała coś wspólnego ze zmianą biegu historii ludzkości, tak jak mówileś wtedy na ganku w Cliffwood. Organizacja przeniosła się tutaj, na Drugą Ziemię, ponieważ jej istnienie i działalność stawały się zbyt oczywiste i nie mogły już umknąć uwadze opinii publicznej. Macie tu też fabryki, które produkują wasze towary. Wykorzystujecie je do zniszczenia światowego przemysłu. Widziałem nawet jedną z takich fabryk. Wszystkim zarządzają roboty. Czy roboty kierują tam wszystkim, czy może...

Flanders zachichotał.

- Roboty kierują wszystkim. Wystarczy, że powiemy im, czego nam potrzeba.

- Poza tym jest jeszcze kwestia słuchania gwiazd.

- W ten sposób dowiedzieliśmy się o wielu świetnych pomysłach - zauważył

Flanders. - Nie każdy z nas to potrafi. Tylko ci, którzy są urodzonymi telepatami. Tak jak powiedziałem ci tamtej nocy, nie wszystkie pomysły

możemy wykorzystać. Czasami otrzymujemy jakąś podpowiedź i dalej działamy już na własną rękę.

- I jaki jest wasz cel? Co chcecie osiągnąć?

- Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie. Jest tyle wspaniałych możliwości, które co pewien czas pojawiają się przed nami, tak wiele nowych kierunków, które stoją przed nami otworem. Jesteśmy bliscy wielu epokowych odkryć. Na przykład nieśmiertelności. Mamy też słuchacza...

- Masz na myśli nieskończenie długie życie? - przerwał mu Vickers.

- Czemu nie?

Oczywiście, pomyślał Vickers. Czemu nie? Jeśli ma się nietępiące się maszynki do golenia, nieprzypalające się żarówki, to czemu nie stworzyć wiecznego życia? Czemu nie pójść na całość?

- A androidy? - spytał. - Do czego w tym wszystkim potrzebny jest android taki jak ja? Przecież androidy nie mają chyba zbyt wielkiej wartości.

- Mamy dla ciebie zadanie - wyjawiał Flanders. - Tym zadaniem jest Crawford.

- Co mam z nim zrobić?

- Powstrzymać go.

Vickers zaśmiał się.

- Ja? Macie pojęcie, kto za nim stoi?

- Wiemy, kto stoi za tobą.

- Ach tak. Może zechciałbyś mi zdradzić tę tajemnicę?

- Przeczucie, najlepsza, najlepiej rozwinięta zdolność przewidywania, jaka kiedykolwiek mogła wykształcić się u istoty ludzkiej. Najdoskonalej

rozwinęta i najrzadziej spotykana spośród wszystkich umiejętności, jakie znamy.

- Zaraz. Zapominasz, że nie jestem istotą ludzką.

- Kiedyś byłeś - stwierdził Flanders. - I będziesz. Kiedy oddamy ci twoje życie.

- Moje życie?!

- Esencję życia - wyjaśnił Flanders. - Umysł, myśli, wrażenia i reakcje, które składały się na Jaya Vickersa, prawdziwego Jaya Vickersa w wieku lat osiemnastu. To jak przelewanie wody z jednego naczynia do drugiego.

Przelaliśmy cię z twojego ciała do ciała androida. Będziemy trzymać i strzec twoje ciało do dnia, kiedy będziemy mogli przelać cię do niego z powrotem.

Vickers uniósł się ze swojego fotela.

Flanders machnął na niego ręką.

- Siadaj. Chciałeś zdaje się zapytać mnie dlaczego?

- A ty chciałeś mi odpowiedzieć - odparł Vickers.

- Oczywiście, że odpowiem. Kiedy miałeś osiemnaście lat, nie byłeś świadom swoich możliwości. Nie było sposobu, by cię o tym powiadomić. Oznajmienie ci prawdy albo próba wyszkolenia cię w tym kierunku na nic by się zdały, bo powinieneś najpierw oswoić się z tą myślą. Stwierdziliśmy, że zajmie ci to piętnaście lat, a zajęło ponad dwadzieścia. Mimo to nie jesteś jeszcze w takim stopniu przygotowany, jak byśmy tego chcieli.

- Ale mogłem przecież...

- Tak - kiwnął głową Flanders - mogłeś uświadomić to sobie w swoim własnym ciele, gdyby nie to, że istnieje jeszcze jeden czynnik, a mianowicie

pamięć wrodzona. Twoje geny przenoszą czynnik pamięci wrodzonej, kolejną mutację, która pojawia się równie rzadko jak nasi telepatyczni słuchacze.

Chcieliśmy, aby Jay Vickers był całkowicie świadom swoich zdolności, zanim zacznie niańczyć własne dzieci.

Vickers przypomniał sobie, jak leżąc na materacu ze słomy kukurydzianej na poddaszu domu Andrews, zastanawiał się nad możliwością istnienia pamięci wrodzonej. Pamięć wrodzona, przekazywana z ojca na syna. Jego ojciec wiedział o pamięci wrodzonej, więc i on domyślił się jej istnienia.

Wiedział o niej, a przynajmniej uświadomiłby sobie jej obecność, gdyby nadeszła odpowiednia pora.

- Więc o to chodzi - westchnął Vickers. - Chcecie, żebym wypróbował swoje przeczucie na Crawfordzie i żebym miał dzieci, bo one też będą miały dar przewidywania przyszłości.

Flanders przytaknął.

- Teraz się rozumiemy.

- Tak. Z pewnością - zgodził się Vickers. - Przede wszystkim chcecie, żebym powstrzymał Crawforda. Rzekłbym nawet, że składacie mi zamówienie. A co, jeśli podam wam moją cenę?

- Już ją mamy - uśmiechnął się Flanders. - I to bardzo atrakcyjną. Myślę, że powinno cię to zainteresować.

- Zobaczymy.

- Pytałeś o Kathleen Preston. Pytałeś, czy rzeczywiście istniała taka osoba.

Otóż mogę ci powiedzieć, że istniała. A swoją drogą ile miałeś lat, kiedy się poznaliście?

- Osiemnaście.

Flanders uśmiechnął się z rozrzewnieniem.

- Cóż za rozkoszny wiek - spojrzął na Vickersa. - Prawda?

- Tak mi się wtedy wydawało.

- Kochałeś się w niej - rzekł Flanders.

- Kochałem się.

- A ona w tobie.

- Tak mi się wydaje - odparł Vickers. - Nie wiem tego na pewno. Ale myślę, że tak.

- Mogę cię zapewnić, że ona kochała się w tobie.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie teraz jest?

- Nie - odparł Flanders. - Nie mogę.

- Ale...

- Kiedy zakończysz swoje zadanie, znowu wrócisz do czasów, kiedy miałeś osiemnaście lat.

- I to jest ta cena? - spytał Vickers. - Tyle mi zapłacicie. Oddacie mi moje ciało i cofniecie do wieku osiemnastu lat.

- Czyż nie jest to godziwa zapłata?

- Tak. Chyba tak - zgodził się Vickers. - Ale czy ty tego nie rozumiesz, Flanders, że marzenia osiemnastoletniego chłopaka już znikły? Zostały zabite w czterdziestoletnim ciele androida. Nie chodzi o fizyczne przeniesienie do wieku osiemnastu lat. Ważniejsze jest, ile lat jeszcze przede mną, co się w ich czasie wydarzy, nieokiełznane, nieziszczalne marzenia o tych latach i miłość, która kroczy obok ciebie będąc źródłem życia.

- Osiemnaście lat - powtórzył Flanders. - To nasza cena. Osiemnaście lat, szansa na nieśmiertelność i siedemnastoletnia Kathleen Preston.

- Kathleen?

Flanders skinął głową.

- Czyli wszystko po staremu - rozmarzył się Vickers. Ale to już nie będzie to samo, Flanders. Coś się zmieniło. Coś wymknęło się spod kontroli.

- Wszystko po staremu - powtórzył z uporem Horton Flanders. - Jakby te wszystkie lata nigdy nie istniały.

38

A WIEC BYŁ JEDNAK mutantem w ciele androida, a kiedy powstrzyma

Crawforda,

będzie

osiemnastoletnim

mutantem

zakochanym

w

siedemnastoletniej mutantce i zanim umrą, być może będą mieli szansę

ujrzenia na własne oczy, jak słuchacze doprowadzą do odkrycia

nieśmiertelności. A jeśli tak się stanie, to on i Kathleen będą już zawsze

chodzić po zaczarowanych dolinach, będą mieć dzieci - mutanty ze wspaniale

rozwiniętym przecuciem, a wszyscy ludzie wieść będą życie, którego mogliby

im pozazdrościć wszyscy dawni, pogańscy bogowie.

Zrzucił z siebie koldrę, wstał z łóżka i podszedł do okna. Popatrzył na

oświetloną światłem księżyca zaczarowaną dolinę, po której spacerował

tamtego dnia, dawno temu.

Przed ponad dwadzieścia lat marzył o powrocie do tamtych czasów, a teraz, kiedy sen mógł wreszcie się ziścić, stwierdził, że czas, który upłynął, zbyt wyraźnie wyrył na nim swe piętno, i tak naprawdę nie może już powrócić do owego dnia w 1966 roku, tak jak człowiek nie może wejść dwa razy do tej samej rzeki.

Nie da się wymazać z pamięci lat istnienia, nie można odsunąć ich w kąt i zostawić. Mogłoby udać się zapomnieć o nich na jakiś czas, ale prędzej czy później nadeszłaby chwila, kiedy wszystkie te lata znów doszłyby do głosu. I to jest cały problem. Nie da się zapomnieć przeszłości. Drzwi otworzyły się, a Vickers się odwrócił.

W drzwiach stał Hezekiah. Na jego metalowo-plastikowym pancerzu igrało światło księżyca.

- Nie może pan spać? - zainteresował się Hezekiah. Może mógłbym coś dla pana zrobić? Może chce pan coś na sen albo...

- Możesz coś dla mnie zrobić - stwierdził Vickers. Chciałbym obejrzeć pewne akta.

- Akta, sir?

- Tak, akta. Akta mojej rodziny. Musicie je przecież gdzieś tutaj mieć.

- W archiwach, sir. Zaraz je przyniosę. Proszę chwilkę poczekać.

- I akta rodziny Prestonów - dodał Vickers.

- Tak, sir - zgodził się Hezekiah. - Zaraz wracam. Vickers włączył lampkę nocną i usiadł na brzegu łóżka. Teraz wiedział już co robić.

Zaczarowana dolina była pusta. Światło księżyca padające na białe kolumny

było jak wspomnienie bez życia i koloru. Zapach róż, jaki pozostał po dawno zapomnianym czerwcowym wieczorze, został rozwiany przez zeszłoroczny wiatr.

Ann, powiedział do siebie w myślach, zbyt długo się oszukiwałem.

- I co teraz, Ann? - spytał półgłosem. - Przekomarzaliśmy się i klóciliśmy, a nasze przekomarżanie i klótnie miały tylko za zadanie ukryć naszą miłość.

Zresztą gdyby nie ja i moje sny o dolinie, od dawna już wiedzielibyśmy, co do siebie czujemy.

Zabrali nam obojgu, rozmyślał, prawo do kierowania własnym życiem w sposób, jaki nam odpowiada. Zrobili z nas niby-mężczyznę i niby-kobietę, uchodzących za mężczyznę i kobietę. Przechadzamy się uliczkami naszego życia jak cienie rzucone na ścianę. A teraz zabiorą nam jeszcze prawo do godnej śmierci i świadomość, że osiągnęliśmy nasz życiowy cel. Sprawili, że całe nasze życie jest kłamstwem, a ja jestem androidem, napędzanym siłą życiową człowieka, którym nie jestem, a tobie podarowano życie, które do ciebie nie należy.

- Do diabła z nimi - zdenerwował się. - Do diabła z tym całym podwójnym życiem.

Dostanie się z powrotem za Ziemię, odnajdzie Ann Carter i powie jej, że ją kocha. Nie tak, jak się kocha wspomnienia o świetle księżyca i różach, ale tak, jak mężczyzna kocha kobietę, kiedy miną już młodzińcze uniesienia. On będzie dalej pisać swoje książki, a ona prowadzić wydawnictwo i wkrótce zapomną o całej tej historii z mutantami.

Słuchał cichych szmerów domu zatopionego we śnie, szmerów, których nie

zauważało się za dnia, wypełnionego ludzką (i nie tylko) krzątaniną.

Pomyślał, że gdyby się dobrze wsłuchał i poznał język domu, to ten mógłby mu opowiedzieć wiele ciekawych historii. Mógłby powiedzieć, o czym człowiek myśli i co robi, kiedy jest samotny.

Dom nie opowiedziałby mu pewne tego, co chciałby najbardziej wiedzieć, ani całej prawdy, którą miał nadzieję pewnego dnia odkryć, ale zdradziłby mu, kim był i opowiedział o starym, poczciwym farmerze i jego żonie - rodzicach Vickersa.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł Hezekiah z tekturową teczką pod pachą. Przekazał teczkę Vickersowi i stanął obok, czekając.

Vickers otworzył teczkę trzęsącymi się dłońmi i odczytał napis na kartce:

"Vickers, Jay. ur. 5 VIII 1947, t.ż. 20 VI 1966, z.p., z.c., p.w., m.u." Przyjrzał się dokładnie napisowi, ale nic z niego nie zrozumiał.

- Hezekiah.

- Tak, sir.

- Co to wszystko znaczy?

- Co dokładnie, sir?

- Ta linijka - wskazał palcem Vickers. - Na przykład ten skrót "m.u." i cała reszta.

Hezekiah pochylił się i przeczytał na głos:

- Jay Vickers, urodzony 5 sierpnia 1947, transfer życia 20 czerwca 1966, zdolność przewidywania, zmysł czasu, pamięć wrodzona, mutacja utajona.

Oznacza to, że nie był pan jej świadom.

Vickers spojrział linijkę wyżej, gdzie odnalazł nazwiska swych rodziców i

datę ślubu. Z tego miejsca odchodziła linia z jego własnym nazwiskiem.

"Charles Vickers, ur. 10 I 1917, pow. 8 VIII 1938, ś., z.c., el., p.w., w.z. 6 II 1971."

Oraz:

"Sarah Graham, ur. 16 IV 1920, pow. 12 IX 1937, ś., ind. kom., z.c., p.w., w.z. 9 III 1970."

Jego rodzice. Dwie linijki literek. Przez chwilę zastanawiał się nad znaczeniem skrótów.

- Charles Vickers, urodzony 10 stycznia 1917, powierzony, nie, chyba nie...

- Powiadomiony, sir - wyjaśnił Hezekiah.

- Powiadomiony 8 sierpnia 1938, świadom, p.cz., el. Co to takiego?

- Zmysł czasu i elektronika - odparł Hezekiah.

- Zmysł czasu?

- Tak, zmysł czasu, sir - powtórzył robot. - Jak pan wie, inne światy są kwestią czasu.

- Nie, nie wiem.

- Czas nie istnieje - zaczął Hezekiah. - A przynajmniej nie taki, jak go pojmują zwykli ludzie. Czas nie jest ciągły, ale składa się z przedziałów czasowych, znajdujących się o sekundę jeden za drugim. Chociaż oczywiście nie ma sekund, nic takiego nie istnieje.

- Wiem - stwierdził Vickers. Bo rzeczywiście wiedział. Teraz wszystko stawało się jasne. Cały ten mechanizm istnienia innych światów, znajdujących się jeden za drugim, będących arbitralnym i przedziwnym rozbiciem ciągłości czasu. Każdy przedział czasowy przyporządkowany był odpowiedniemu

świata. Nikt nie był w stanie określić, jak daleko w przód czy tył rozciąga się ten przedział.

Gdzieś wewnątrz jego mózgu zwolniła się jakaś sekretna zapadka, dzięki której odzyskał wrodzoną pamięć. Oczywiście posiadał ją od zawsze, ale ukryta była w niedostępnych dla niego obszarach, podobnie jak zdolność przewidywania przyszłości.

Hezekiah powiedział, że czas nie istnieje. Nie ma czegoś takiego jak czas pojmowany tak, jak pojmuje go normalny człowiek. Czas podzielony jest na odcinki, a każdy odcinek zawiera pojedynczą fazę wszechświata znajdującego się z dala od ludzkiego pojmowania.

A sam czas? Jest niekończącym się medium, rozciągającym się w przyszłość i przeszłość. Tyle tylko, że przeszłość i przyszłość nie istnieją. Istnieje jedynie nieskończona liczba przedziałów czasowych, rozciągających się w obu kierunkach, z których każdy zawiera pojedynczą fazę wszechświata.

Na starej Ziemi zawsze rozważano na temat podróży w czasie, powracania do dnia wczorajszego albo zaglądania w przyszłość. Teraz Vickers wiedział, że nie jest to możliwe, bo ta sama chwila pozostawała na zawsze w każdym przedziale, że Ziemia człowieka pozostaje ciągle w tym samym momencie, od chwili swych narodzin do czasu, gdy umrze i rozpadnie się w pył.

Oczywiście można podróżować w czasie, ale nie dotrze się do jutra ani do wczoraj. Gdyby się jednak posiadało zmysł czasu, można by przeskoczyć z jednego przedziału czasu do drugiego, ale nawet w takim wypadku nie odnalazłoby się jutra ani wczoraj, ale zupełnie nowy świat.

I to właśnie stało się, kiedy zakręcił bąkiem. Tylko że bąk nie miał z tym nic

wspólnego, był jedynie narzędziem. Powrócił do rozszyfrowywania linijki.

- "W.z." Co to znaczy, Hezekiah?

- W zawieszeniu, sir.

- Moja matka i ojciec?

- Ich życie znajduje się w zawieszeniu, sir. Czekają na dzień, kiedy mutanci odkryją nieśmiertelność.

- Ale oni zmarli. Ich ciała...

- Ciała androidów, sir. Musimy przestrzegać pewnych reguł. W innym wypadku normalni ludzie szybko zorientowaliby się, że coś tu nie gra.

Pokój był biały i zimny. Wypełniała go monstrualna nagość prawdy.

W zawieszeniu. Jego ojciec i matka czekali na dzień, kiedy ktoś odkryje nieśmiertelność!

A on, Jay Vickers, prawdziwy Jay Vickers, co z nim? Jego życie nie znajduje się oczywiście w zawieszeniu, ponieważ zostało przeniesione z prawdziwego Jaya Vickersa do ciała androida, który siedział teraz i trzymał w swych dłoniach teczkę dokumentów rodzinnych.

- Kathleen Preston? - spytał Vickers. Hezekiah potrząsnął głową.

- Nic nie wiem o Kathleen Preston.

- Ale macie przecież teczkę rodziny Prestonów.

Hezekiah jeszcze raz smutno potrząsnął głową.

- Nie ma teczki Prestonów. Przeszukałem indeks nazwisk, sir. Nie ma tam Prestonów.

wspomnienie dwóch twarzy. Zamknął oczy i przypomniał sobie matkę.

Wspomnienie było być może nieco wyidealizowane, ale całkiem niezłe trzymało się rzeczywistości. Przypomniał sobie również, jak była przerażona jego wyprawą do baśniowej krainy, jak ojciec rozmawiał z nim, i wreszcie, jak znikł bąk.

Bo oczywiście bąk natychmiast znikł. Posądzono go również o nadmiar wyobraźni. Zresztą musieli mieć duże problemy z kontrolowaniem go i upewnianiem się, że nie błądzi gdzieś po innych światach. Ośmiolatka trudno jest upilnować na jednym świecie, nie mówiąc już o stu.

Wspomnienie twarzy matki oraz dłoni ojca z palcami wpijającymi się w jego ramię z męską czułością były obrazem, którego nie można zapomnieć.

Czekali z ufnością, wiedząc, że nadchodząca ciemność nie oznacza ich końca, ale wręcz początek jeszcze większej przygody, o której nawet nie śnili, kiedy wiele lat wcześniej zaczęli współpracę z grupką innych mutantów.

Jeśli tak bardzo wierzyli w plan mutantów, to czemu on nie miałby w niego uwierzyć?

Czy mógł nie zgodzić się na uczestniczenie w planie prowadzącym do powstania świata, dla którego jego rodzice tak wiele zrobili?

Włożyli w ten plan wszystko, co mieli. Pracę i nadzieję, które teraz muszą być kontynuowane przez następne pokolenie mutantów. Do którego należał również Vickers. Wiedział, że nie może ich zawieść.

Co za świat może powstać w ten sposób, pomyślał.

Jeśli słuchacze mutantów w końcu będą w stanie odnaleźć sekret nieśmiertelności, to co stanie się ze światem?

Co będzie, jeśli człowiek nie będzie musiał umrzeć i żyć będzie wiecznie?

Nie będzie to już ten sam świat. Pojawi się nowy świat, z nowymi wartościami i pobudkami.

Jakie czynniki będą rządzić rozwojem świata nieśmiertelnych? Jakie cele i warunki powstrzymają go przed degeneracją? Jakie możliwości i zainteresowania ocalą go przed ślepym zaułkiem nudy?

Czego ludzie będą potrzebować w świecie nieśmiertelnych?

Nieskończonej ekonomicznej przestrzeni życiowej. Do tej pory cały świat przed i za nami leży otworem. Jeśli jednak to nie wystarczy, ludzie zawładną wszechświatem z jego słońcami i systemami słonecznymi, bo jeśli Ziemia miała swoje poprzednie i następne Ziemie, to podobnie musi dziać się z każdą pojedynczą gwiazdą i planetą w całym wszechświecie.

Jeśli weźmie się wszechświat i pomnoży go przez nieznaną liczbę, jeśli weźmie się wszystkie światy istniejące we wszechświecie i pomnoży je przez nieskończoność, oto otrzymamy odpowiedź. Zawsze istnieć będzie odpowiednia przestrzeń.

Potrzebne będą nieskończone możliwości i nieskończone wyzwania, którym nawet wieczny człowiek nie będzie w stanie sprostać.

Ale to jeszcze nie koniec. W takim świecie istnieć będzie nieskończony czas i nieskończona przestrzeń. Powstaną nowe technologie, nowe nauki, nowe filozofie - tak, aby wieczny człowiek nigdy nie miał dość zadań do wykonania ani problemów do rozważania.

Ale kiedy zostanie wynaleziona nieśmiertelność, to do czego zostanie wykorzystana?

Do zwiększenia sił. Nawet jeśli jakiś naród będzie mały i jego przyrost naturalny niezbyt obiecujący, to i tak będzie można być pewnym wzrostu jego sił, bo jeśli zaczną przybywać jego nowi członkowie, a nikt nie będzie umierać, z czasem naród wzrośnie w siłę.

Do rozwijania swych umiejętności i wiedzy. Jeśli nikt nie będzie umierać, można liczyć na ogromną siłę, wiedzę i umiejętności każdego z członków narodu. Kiedy umierał człowiek, razem z nim ginęły jego zdolności i, w pewnym sensie, jego wiedza. Ale co gorsza, traciło się wtedy nie tylko całą jego umiejętność i wiedzę w tym momencie, ale zdolności, które osiągnąłby, gdyby miał na to więcej czasu.

Jaką wiedzę posiadałby teraz Człowiek, gdyby pewni ludzie nie umarli, zastanawiał się Vickers. Oczywiście, częściowo osiągnięto w końcu tę wiedzę poprzez dalszą pracę następców, ale na pewno dużą jej część utraciono na zawsze, pomysły, na które nikt więcej nie wpadł, koncepcje, które na zawsze odeszły w zapomnienie z powodu śmierci człowieka, w którego mózgu zaczęły one dopiero co kiełkować.

W nieśmiertelnym społeczeństwie nic takiego by się nie przydarzyło.

Nieśmiertelne społeczeństwo mogłoby liczyć na totalne zdolności i totalną wiedzę swych członków.

Co się stanie, jeśli do umiejętności zapożyczania wiedzy z gwiazd, pamięci wrodzonej i wiedzy technicznej, która doprowadziła do powstania wiecznych produktów, dodamy nieśmiertelność?

Dokąd to wszystko doprowadzi świat? Do kresu życia? Szczytu intelektu?

Boskości?

Cofnijmy się o sto tysięcy lat. Weźmy istotę zwaną człowiekiem. Dajmy mu ogień, koło, luk i strzały, oswojone zwierzęta i rośliny, plus organizację plemienną oraz pierwszą, słabo jeszcze tłącą się koncepcję człowieka jako pana świata. Co w ten sposób otrzymamy?

Początek cywilizacji, podstawę bytu istoty ludzkiej. Oto co otrzymamy.

W ten sposób połączenie ognia, koła i udomowionych zwierząt okazało się prawie równie wielką ideą, jak koncepcje nieśmiertelności, zmysłu czasu i pamięci wrodzonej.

Plan mutantów polega na kolejnym kroku do przodu. Krok analogiczny do tego, którym kiedyś było korzystanie z ognia, koła i oswojenia psa.

Nie jest to ostateczny rezultat wysiłku człowieka ani ludzkiego intelektu czy wiedzy. To nic więcej jak tylko krok naprzód. Gdzieś w przyszłości czyha kolejna bariera, którą należy pokonać, by posunąć się do przodu. W umyśle ludzkim nadal kryją się możliwości uczynienia jeszcze większych kroków, ale Vickers nie miał pojęcia, na czym mogłyby one polegać, podobnie jak człowiek, który wynalazł ogień czy udomowił psa, nie miał pojęcia o strukturze czasu następujących po sobie światów.

Nadal jesteśmy dzikusami, stwierdził Vickers. Nadal chodzimy na czworakach w naszych jaskiniach, z obawą wpatrując się w dym ogniska, które strzeże wejścia i próbujemy przeniknąć nieskończoną ciemność spowijającą świat.

Pewnego dnia rozświetlimy tę ciemność, ale jeszcze nie dziś.

Nieśmiertelność mogłaby stać się narzędziem, które nam w tym pomoże. I niczym więcej. Tylko narzędziem.

Czym jest ciemność przed naszą jaskinią?

Niewiedzą człowieka, nieświadomością, kim jest, dlaczego w ogóle jest, w jaki sposób powstał, jaki jest jego początek i koniec. Stare, odwieczne pytania.

Być może z pomocą narzędzia, jakim jest nieśmiertelność, człowiekowi uda się odpowiedzieć na te pytania. Może będzie on w stanie zrozumieć, na czym polega ciągle postęp i pojąć nieubłaganą logikę, która rządzi wszechświatem materii i energii.

Następny krok może być czysto duchowy. Może polegać na znalezieniu i zrozumieniu boskiego planu nadającego sens wszechświatu. Możliwe, że człowiekowi uda się odnaleźć w końcu uniwersalnego Boga, Bóstwo, któremu ludzie malej wiedzy i ogromnej wiary składają teraz ofiarę? Może człowiek odkryje koncepcję boskości, która uzasadni ostatecznie ogromną potrzebę wiary. Koncepcję tak jasną i niekwestionowaną, że nikt nie będzie miał co do niej najmniejszych wątpliwości, koncepcję dobra i miłości, z którą człowiek będzie mógł tak bardzo się identyfikować, że nie będzie wcale odczuwać potrzeby wiary, lecz posiadać wiedzę i pewność?

Jeśli człowiek odrzuci śmierć, jeśli drzwi śmierci na zawsze się zamkną, wówczas będzie musiał wypracować taką koncepcję. W innym wypadku przez wieki będzie błąkał się bez celu po galaktykach, zagubiony i łkający...

Z pewnym wysiłkiem Vickers powrócił myślami do teraźniejszości.

- Hezekiah - spytał - jesteś pewien?

- Czego, sir?

- Że nie ma żadnych Prestonów?

- Jestem pewien - potwierdził Hezekiah.

**- Znałem przecież Kathleen Preston - rzekł Vickers. Jestem pewien, że
znałem...**

Ale co dawało mu tę pewność? Pamiętał ją.

Flanders też powiedział, że istniała taka osoba.

**Ale jego pamięć mogła zostać spreparowana, podobnie jak pamięć
Flandersa.**

**Kathleen Preston mogła być jedynie czynnikiem emocjonalnym
wprowadzonym do jego mózgu w celu przywiązania go do tego domu.**

**Czynnikiem, który nie pozwoliłby mu zapomnieć o nim i więziach łączących
go z nim, niezależnie od tego, dokąd by poszedł i co by się z nim działo.**

- Hezekiah - rzekł Vickers - kim właściwie jest Horton Flanders?

**- Horton Flanders? - powtórzył za nim robot. - Androidem. Dokładnie takim
samym jak pan, sir.**

40

A WIEC JEGO ZADANIEM jest powstrzymać Crawforda.

Miał tego dokonać dzięki swoim nadzwyczajnym zdolnościom.

**Ale najpierw musiał sobie wszystko spokojnie przemyśleć. Wziąć pod uwagę
wszystkie czynniki i dokładnie je przemyśleć, analizując słabe i mocne punkty
zadania. Przeciw sobie miał potęgę przemysłu i to nie jednej gałęzi przemysłu,
ale wszystkich na całym świecie. Crawford i przemysłowcy wypowiedzieli
mutantom otwartą wojnę. Mieli też jakąś tajną broń.**

**Crawford mówił coś o desperacji i tajnej broni. Dodał jednak, że broń ta nie
wydaje mu się wystarczająco dobra.**

Przede wszystkim Vickers musiał się przekonać, cóż to była za broń. Zanim

nie dowie się tego, nie ma sensu kreślić żadnych planów.

Leżał w łóżku gapiąc się na sufit. Porządkował sobie wszystkie fakty, głębiej się nad nimi zastanawiając. Starał się porównać siłę normalnego człowieka z siłą mutanta. Pod wieloma względami byli sobie równi, jednak pod niektórymi względami jeden z nich z jakiegoś powodu niezaprzeczalnie przewyższał drugiego.

Nie doszedł więc do niczego.

- No i oczywiście, że do niczego nie dojdę - przyznał Vickers na głos. - Bo to co robię, jest przecież niczym innym jak błędem bez przerwy popełnianym przez ludzi. Myśleniem logicznym.

A przecież najważniejsze jest przeczucie.

Ale w jaki sposób ma z niego skorzystać?

Odrzucił wszystkie czynniki, które wcześniej brał pod uwagę, i wpatrując się w ciemność, starał się nie myśleć o niczym.

Czuł, jak myśli przepychają się, chcą dojść do głosu, ale robił wszystko, aby nie dać im się zwięść. W końcu wpadł na pomysł: wojna.

Kiedy tak o tym myślał, pomysł wydawał mu się coraz bardziej interesujący.

Wojna, ale inna niż te, które do tej pory toczyły się na świecie. Jak to się mówiło o tej szopce, która rozgrywała się w Europie na froncie zachodnim w czasie II wojny światowej? Niby-wojna. Nie, niezupełnie o to chodziło.

Było to dość denerwujące. Myśleć o czymś, czego nie można było odpowiednio ubrać w słowa i mieć zaledwie przeczucie, że idzie się we właściwym kierunku.

Wyteżył umysł, ale poszukiwane pojęcie umknęło mu. Przestał myśleć, a

zgubiony wątek natychmiast powrócił.

Wpadł na kolejny pomysł: bieda.

Bieda w jakiś sposób łączyła się z wojną. Czuł, że obie te idee krążą jak kojoty wokół ogniska, którym jest on sam, warcząc na siebie w ciemności poza obszarem pojmwania.

Spróbował odstraszyć je od ogniska, ale nie odeszły.

Po pewnym czasie przyzwyczaił się jednak do nich. Ogień z ogniska nie sięgał już tak wysoko, a kojoty nie biegały tak szybko i nie kąsały z taką zaciętością.

Jest jeszcze jeden czynnik, powiadomił go jego śpiący mózg. Mutantom brakuje ludzi. Dlatego stworzyły roboty i androidy.

Jednakże brak ludzi można było bez trudu obejść. Można na przykład wziąć jedno życie i podzielić je na więcej istnień. Można wziąć życie mutanta i rozciągnąć je, podzielić, sprawić, aby trwało dłużej i dalej sięgało. W dziedzinie ekonomicznego wykorzystania siły ludzkiej można było wiele zdziałać, jeśli tylko wiedziało się w jaki sposób.

Kojoty krążyły coraz wolniej, a ogień przygasał.

Nie wiedząc nawet o tym Vickers zasnął. Po jakimś czasie obudził się i usiadł na łóżku.

Już wiedział!

Zatrząsł się w chłodzie letniego świtu. Wyciągnął nogi spod koldry i postawił stopy na zimnej podłodze.

Potem podbiegł do drzwi, otworzył je z hukiem i zaczął zbiegać po schodach prowadzących do holu.

- Flanders! - krzyczał. - Flanders! Na dole pojawił się Hezekiah.

- O co chodzi, sir? Czy życzy pan sobie czegoś?

- Gdzie Flanders?!

Otworzyły się kolejne drzwi. Pojawił się w nich Horton Flanders. Spod jego koszuli nocnej wystawały kościste kolana, a rzadkie włosy na nogach sterczały prawie pionowo.

- O co chodzi - wymamrotał, na wpół jeszcze pogrążony we śnie. - O co ten cały hałas?

Vickers przebiegł przez hol, złapał Flandersa za ramiona i spytał:

- Ilu nas jest? Na ile części zostało podzielone życie Jaya Vickersa?

- Jeśli tylko przestaniesz mną potrząsać...

- Przestanę, jeśli powiesz mi prawdę.

- Z przyjemnością - odparł Flanders. - Jest nas trzech. Ty, ja i...

- T y?

- Oczywiście, czy jest w tym coś dziwnego? - Przecież jesteś ode mnie o wiele starszy.

- Z syntetycznym ciałem można dokonać cudów - uśmiechnął się Flanders. -

Nie rozumiem, czemu tak się dziwisz. Nagle Vickers zdał sobie sprawę, że rzeczywiście wcale go to nie dziwi. Czuł się tak, jakby zawsze był tego świadom.

- A ten trzeci? - spytał Vickers. - Powiedziałeś, że jest nas trzech. Kto jest tym trzecim?

- Nie mogę ci jeszcze tego zdradzić - odpowiedział Flanders. - I tak powiedziałem ci już za dużo.

Vickers wyciągnął rękę, schwycił Flandersa za koszulę nocną i wykręcił

material, aż ten zacisnął się na gardle starca.

- Siłą niczego nie wskórasz - stwierdził Flanders. - Powiedziałem ci to

wszystko tylko dlatego, że wcześniej niż podejrzewaliśmy, doszło do kryzysu.

Nie byłeś jeszcze gotów na to. Nie przygotowaliśmy cię. Musieliśmy jednak

podjąć ryzyko. Rozumiesz więc, że nie mogę ci zdradzić nic więcej.

- Nie przygotowaliście mnie! - powtórzył Vickers z wściekłością w głosie.

- Nie byłeś gotów. Powinniśmy byli dać ci więcej czasu. Dlatego nie mogę

powiedzieć ci nic więcej. Spowodowałoby to jedynie dodatkowe komplikacje. I

obniżyło twoją wydajność, a także wartość.

- Ale ja mam już rozwiązanie waszego problemu - powiedział Vickers ze

złością. - Gotów czy nie, wiem, co knuje Crawford i jego przyjaciele, a to już i

tak więcej niż wy działaliście do tej pory, mimo że mieliście znacznie więcej

czasu. Mam rozwiązanie, bez którego nie ruszycie dalej. Wiem, jaką

tajemniczą broń ma Crawford, i wiem jak jej przeciwdziałać. Powiedziałeś, że

moim zadaniem jest powstrzymanie Crawforda, i mogę to zrobić.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie - zapewnił Vickers. - Ale ten trzeci...

W jego mózgu rodziło się jakieś podejrzenie. Straszne podejrzenie.

- Muszę wiedzieć - powtórzył z uporem.

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Naprawdę nie mogę trać Flanders.

Vickers zwolnił uścisk. Świdrująca myśl, która rodziła się w jego mózgu i

starła się przebić na światło dzienne, stawała się prawdziwą torturą. Vickers

powoli odwrócił się.

- Tak, jestem pewien - rzekł Vickers. - Jestem pewien, że znam w s z y s t k i e odpowiedzi. Znam je, ale to na nic. Wrócił do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

41

W PEWNYM MOMENCIE WYDAWAŁO mu się, że rozumiał wszystko.

Kathleen Preston była jedynie zaszczepioną w jego mózgu osobą, której wspomnienie przez lata nie dawało mu odkryć w sobie uczucia, jakim darzył Ann Carter. Teraz jednak był pewien, że i Ann go kocha, jednakże ich miłość zawsze zawoalowana była sprzeczkami i klótniami.

Następnie zdał sobie sprawę, że życie jego rodziców jest zawieszona gdzieś w nicości, i czeka na nadejście świata pokoju i zrozumienia, któremu poświęcili tak wiele pracy.

I Vickers nie mógł teraz tego zaprzepaścić.

Być może, pomyślał, wynalazek rozszczepiania życia przybliży ich do momentu powrotu między żywych.

Tak czy inaczej, był to bardzo dobry pomysł, bo mutanci potrzebowali siły ludzkiej, a kiedy potrzebuje się siły ludzkiej, robi się wszystko, żeby jak najlepiej wykorzystać to, co się ma. Robotom pozostawiono więc prace, które mogły być przez nie wykonywane, a umysły mężczyzn i kobiet dzielono na wiele części, z których każda ożywiała następnie ciała androidów.

Nie był więc pełnowartościowym człowiekiem, ale częścią innej osoby, jedną trzecią prawdziwego Jaya Vickersa, którego ciało czekało na moment, kiedy zostanie mu zwrócone życie.

Również Ann Carter nie była pełnowartościowym człowiekiem, ale częścią

innej osoby. Być może nawet, tu po raz dopuścił do swej świadomości niepokojącą możliwość, częścią Jaya Vickersa, która razem z nim i Flandersem początkowo stanowiła jedność.

Trzy androidy zawierały jedno życie. On, Flanders i jeszcze ktoś inny. W jego mózgu kołatało natarczywe pytanie: kto jest tym trzecim?

Cała trójka związana była ze sobą niewidzialną nicią, która sprawiała, że w rzeczywistości stanowili jedność. Kiedyś, w przyszłości, ich życia z powrotem zostaną przeniesione do ciała Jaya Vickersa. Zastanawiał się, które z nich kontynuować będzie istnienie jako Jay Vickers. A może po prostu wszyscy troje umrą, a narodzi się Jay Vickers ze swoją własną świadomością, złożoną ze wszystkich trzech składników? Może cała trójka zostanie połączona, a powstały w ten sposób Jay Vickers będzie dziwnym, trzyosobowym indywiduum łączącym w sobie cechy jego, Flandersa i tego trzeciego?

A co z miłością, jaką czuł do Ann Carter? Co w obliczu możliwości, że Ann jest trzecią ich częścią, znaczyło uczucie, z którego zdał sobie sprawę po tylu latach?

Wiedział, że taka miłość nie mogłaby istnieć. Gdyby Ann była ową trzecią częścią, na pewno by się nie pokochali. Nie można przecież kochać samego siebie tak, jak kocha się inną osobę. Nie można przecież kochać osoby, która jest bliższa niż siostra czy matka...

Dwa razy poczuł miłość do kobiety i dwa razy została mu ona odebrana. Nie miał teraz innego wyjścia, jako tylko wykonać zadanie, które mu przydzielono.

Powiedział Crawfordowi, że jeśli będzie wiedział, co się dzieje, wróci i

porozmawia z nim. Zdecydują wtedy, czy uda się im dojść do jakiegoś kompromisu.

Teraz jednak wiedział, że o kompromisie nie może być mowy.

W każdym razie jeśli przecucie go nie myliło.

A Flanders twierdził, że przecucie jest lepszym, dojrzałym sposobem docierania do odpowiedzi albo rozwiązania problemu. Metodą, która pozostawiała daleko w tyle zawile ścieżki ludzkiej logiki, po których człowiek poruszał się przez wiele lat swojego istnienia.

Tajemnicza broń była starą bronią wojny umysłów, toczonej z matematycznym cynizmem i wykalkulowaną precyzją.

Ile jeszcze wojen przetrwa ludzka rasa, zastanawiał się Vickers. Odpowiedź brzmiała chyba: Jeszcze jedną, prawdziwą wojnę.

Mutanci byli tym czynnikiem, który umożliwiał rasie ludzkiej przetrwanie.

W tej chwili Vickersowi nie pozostało już dosłownie nic. Pozbawiono go

Kathleen, Ann i nawet nadziei na własne człowieczeństwo. Będzie więc musiał pracować najlepiej jak potrafi, żeby uwieńczyć dzieło mutantów.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Tak - odezwał się Vickers. - Proszę.

- Sir, śniadanie gotowe - usłyszał głos Hezekiasza.

42

KIEDY VICKERS ZSZEDŁ po schodach, Flanders czekał już na niego w jadalni.

- Pozostali wyszli - oznajmił Flanders. - Mają swoje własne zajęcia. Ty i ja musimy się naradzić.

Vickers nic nie odpowiedział. Przystawił sobie krzesło i usiadł na nim po drugiej stronie stołu. Promienie słoneczne padały ponad ramionami Flandersa, a białe włosy na jego głowie sprawiały wrażenie aureoli. Ubranie miał nadal dość podniszczone, a i krawat dni świetności miał już najwyraźniej za sobą. Mimo to mężczyzna promieniował energią i zadowoleniem.

- Widzę, że Hezekiah znalazł dla ciebie ubranie - rzekł Flanders. - Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili. Tak dobrze się nami opiekuje.

- Dziś rano obok ubrania znalazłem plik banknotów. Nie miałem czasu policzyć, ale wyglądało mi to na co najmniej parę tysięcy dolarów.

- No widzisz. Hezekiah o wszystkim pomyśli.

- Ale ja nie potrzebuję paru tysięcy dolarów.

- Och, nie przesadzaj, weź - zachęcał Flanders. - Mamy tego całą masę.

- Całą masę???

- Oczywiście. Ciągłe jeszcze je produkujemy.

- To znaczy fałszujecie.

- Ależ nie - zaprzeczył Flanders. - Chociaż myśleliśmy i o tym. Można rzec, że byłaby to kolejna strzała z naszego łuku.

- Zalanie świata fałszywymi pieniędzmi?

- Nie byłyby fałszywe. Potrafimy tworzyć wierne kopie pieniędzy. Gdybyśmy wypuścili na świat sto miliardów dolarów, można by za nie kupić całą masę rzeczy.

- Rozumiem - pokiwał głową Vickers - i naprawdę nie wiem, co was powstrzymało.

Flanders spojrział na niego z gniewem.

- Odnoszę wrażenie, że nie pochwalasz naszych poczynań.

- Rzeczywiście, nie mylisz się.

Hezekiah wniósł wysokie szklanki napelnione zimnym sokiem

pomarańczowym, talerze z jajecznicą na boczku, chleb, słoik dżemu i dzbanek

z kawą.

- Dzień dobry, sir - rzekł do Vickersa.

- Dzień dobry, Hezekiah.

- Czy zauważył pan, jak piękny mamy poranek? - spytał robot.

- Zauważyłem - odparł Vickers.

- Tutejszy klimat jest wyśmienity - stwierdził Hezekiah uprzejmie. - Jak mi

powiedziano, jest o wiele lepszy od tego, który panuje na Ziemi.

Podał jedzenie i wyszedł do kuchni, gdzie jak słyszeli, zajął się porannymi

porządkami.

- Staraliśmy się być ludzcy. Tak bardzo, jak to tylko możliwe - zaczął

Flanders. - Ale mieliśmy zadanie do wykonania, a od czasu do czasu ktoś

rzucał nam kłody pod nogi. Być może więc będziemy teraz musieli zagrać

nieco ostrzej, bo grunt pali nam się pod nogami. Gdyby Crawford i cała ta jego

hałastrą wzięli na wstrzymanie, wszystko poszłoby zgodnie z planem i nie

bylibyśmy zmuszeni nikogo krzywdzić. Za dziesięć lat wszystko wyglądałoby

zupełnie inaczej. Za dwadzieścia bylibyśmy górą. Teraz jednak nic nie jest już

pewne ani tym bardziej łatwe. Zamiast ewolucji mamy rewolucję. Gdybyśmy

mieli więcej czasu, zapanowalibyśmy nie tylko nad przemysłem światowym i

finansami, ale także nad rządami. Niestety, nie dali nam czasu. Zbyt szybko

nadszedł kryzys.

- A więc teraz musimy go przelamać - wtrącił Vickers.

Flanders zdawał się go nie słyszeć.

- Założyliśmy fikcyjne firmy - kontynuował. - Powinniśmy byli założyć ich

jeszcze więcej, ale nie mieliśmy wystarczającej liczby ludzi, żeby obsługiwać

choćby te, które powstały jako pierwsze. Z większą ilością ludzi moglibyśmy

bardziej zaangażować się w produkcję niektórych podstawowych produktów.

Ale potrzebowaliśmy również ludzi do wielu innych zadań, na przykład do

tropienia nowych mutantów, których chcieliśmy zwerbować do naszej grupy.

- Musi ich być chyba wielu - zauważył Vickers.

- Rzeczywiście - zgodził się Flanders. - Ale zdecydowana większość jest tak

uwikłana w swój świat i jego sprawy, że nie można ich z niego wydobyć. Na

przykład mutant, który ożenił się z normalną kobietą. Nie można przecież ot

tak niszczyć szczęśliwego małżeństwa. A gdyby jeszcze mieli dzieci i niektóre z

nich były mutantami? Nic na to nie poradzisz. Trzeba czekać i patrzeć, co z

tego wyniknie. Kiedy dorosną i będą już samodzielne, możesz spróbować

zbliżyć się do nich. Wcześniej jednak nic nie da się zrobić. A weź takiego

bankiera albo przemysłowca, na którego barkach spoczywa całe imperium

ekonomiczne. Jeśli mu powiesz, że jest mutantem, roześmieje ci się w twarz.

Ustawił się już w życiu i jest zadowolony ze swojej sytuacji. Wszelki idealizm i

liberalizm, jaki kiedykolwiek w nim był, dawno już znikł pod grubą powłoką

indywidualizmu. Jego zainteresowania ograniczają się do utrzymania

własnego majątku, i nie mamy nic, czym moglibyśmy go zachęcić.

- A co z nieśmiertelnością? - spytał Vickers.

- Jeszcze jej nie mamy.

- Powinniście byli przeprowadzić atak na poziomie warstw panujących.

Flanders potrząsnął głową.

- Nie mogliśmy. Nawet kiedyś ktoś próbował, ale bez powodzenia. Mając

tysiąc wtyczek pośród rządzących tego świata, szybko i bez przeszkód

dopięlibyśmy swego. Ale nie mieliśmy tysiąca mutantów, których moglibyśmy

wyszkolić w kierunku dyplomacji i polityki. Takim czy innym sposobem

udawało nam się jednak jak dotąd unikać sytuacji konfliktowych.

Węglowodany

pozwoły

opanować

sytuację,

która

z

pewnością

doprowadziłaby do wybuchu wojny. Pomoc Zachodowi w wynalezieniu bomby

wodorowej powstrzymała zapędy Wschodu. Nie byliśmy jednak wystarczająco

silni i nie mieliśmy czasu, żeby wypracować dobrze przemyślany, długofalowy

program, przez co musieliśmy improwizować. Wtedy rzuciliśmy na rynek

nasze produkty. Był to jedyny szybki sposób osłabienia systemu socjalno-

ekonomicznego na Ziemi i oczywiście oznaczało to, że prędzej czy później

przemysł Ziemi stanie do walki przeciw nam.

- A czego innego można było oczekiwać? - zdziwił się Vickers. - Wtrąćcie

się...

- Rzeczywiście wtrącamy się - przyznał Flanders. - Założmy jednak, że jesteście

chirurgiem i masz pacjenta cierpiącego na raka. Żeby przywrócić mu zdrowie, nie zawahałbyś się operować go. Oczywiście przede wszystkim robilibyś wszystko, żeby nie zaszkodzić pacjentowi.

- Pewnie tak, ale co z tego? - spytał Vickers.

- Naszym pacjentem jest ludzkość - wyjaśniał cierpliwie Flanders. -

Wykryliśmy u niego nowotwór złośliwy. Jesteśmy chirurgami. Wiemy, że dla pacjenta zabieg będzie bolesny, a poza tym czeka go długi okres

rekonwalescencji, ale przynajmniej pacjent przeżyje, mamy natomiast poważne obawy co do tego, czy ludzkość przetrwałaby jeszcze jedną wojnę.

- Tak czy inaczej wasze metody nie są zbyt delikatne zauważył Vickers.

- Zaraz - zaproponował Flanders. - Powiesz mi za chwilę, że można przecież dokonać tego w inny sposób i zgodzę się z tobą. Ale z punktu widzenia ludzkości każda metoda będzie równie wątpliwa. Jak wiesz, człowiek zawsze nawoływał do pokoju i modlił się o braterstwo, a mimo to na świecie nie ma pokoju, a braterstwo znamy tylko z opowiadań. Chcesz, żebyśmy organizowali konferencje? A może raczej powinniśmy wyjść do ludzi, stanąć przed głowami państw i oświadczyć, że jesteśmy nową mutacją rasy i że nasza wiedza i umiejętności znacznie przekraczają ich wiedzę? Że powinni nam teraz oddać władzę, a my doprowadzimy świat do pokoju. Wiesz, co by się stało? Skutki trudno jest oczywiście przewidzieć, ale na pewno od razu znienawidziliby nas i postarali się zrobić wszystko, żebyśmy znikli z powierzchni Ziemi. Dlatego nie mamy wyboru. Musimy pracować w ukryciu i atakować główne cele strategiczne. W żaden inny sposób nie osiągniemy celu.

- To, co mówisz, może i ma jakiś sens w odniesieniu do ogółu. Ale co

powiesz człowiekowi, który dostaje pięścią w nos?

- Był tu dziś Asa Andrews - zmienił temat Flanders. Powiedział, że byłeś u niego i zniknąłeś. Martwił się o ciebie. Ale nie o to mi chodzi w tej chwili.

Chciałem cię spytać, czy myślisz, że można zaryzykować stwierdzenie, iż Asa Andrews jest szczęśliwym człowiekiem?

- Nigdy nie widziałem kogoś bardziej szczęśliwego.

- A przecież wpakowaliśmy mu się do życia buciorami. Zabraliśmy mu pracę, która była jedynym źródłem utrzymania rodziny. Szukał pracy i nie znalazł. Kiedy w końcu zwrócił się o pomoc, doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z faktu, że jesteśmy tymi, którzy pozbawili go pracy i dachu nad głową. To przez nas musiał się martwić, gdzie jego rodzina spędzi noc. Wszystko przez nas, a mimo to jest teraz szczęśliwym człowiekiem. Na całej Ziemi są tysiące takich, których życie odmieniliśmy i którzy teraz są szczęśliwi. I to szczęśliwi właśnie z powodu naszej ingerencji.

- Nie możesz powiedzieć, że takie szczęście nie miało swojej ceny - zauważył Vickers. - Nie chodzi mi o to, że stracili pracę, ale raczej o to, co stało się później. Osiedliliście ich tutaj, na tej nowej Ziemi, na siłę umieszczając ich w stadium, które nazywacie etapem pastoralno-feudalnym, jednak bardzo elegancka nazwa, której używacie, nie zmienia faktu, że w ten sposób pozbawiacie tych ludzi wielu osiągnięć współczesnej cywilizacji.

- Zabraliśmy im tylko takie rzeczy jak nóż, którym mogliby podciąć gardło, swoje lub sąsiada. Cała reszta zostanie im z czasem zwrócona z nawiązką. Wierzmy bowiem, że kiedyś wszyscy upodobnią się do nas, że cała rasa będzie posiadać właściwości, którymi dziś tylko my dysponujemy. Nie

jesteśmy przecież jakimiś odmieńcami, ale następnym krokiem ewolucji. Co prawda trochę wyprzedzamy pozostałych ludzi w rozwoju. Żeby przeżyć, człowiek musiał zmieniać się, mutować, stawać kimś więcej niż był. I my jesteśmy właśnie zapowiedzią mutacji dążącej do przeżycia rasy. Ponieważ jednak jesteśmy pierwsi, staramy się przyspieszyć cały proces, tak aby pozostali dopędzili nas w ewolucji. Powinieneś w nas widzieć nie małą grupkę uprzywilejowanych ludzi, ale całą ludzkość.

- Ludzkość - powtórzył gorzko Vickers - najwyraźniej nie zauważa waszych wspaniałomyślnych poczynań, które mają prowadzić do jej ocalenia. Na starej Ziemi niszczą wasze sklepy, polują na mutantów i wieszają ich na lampach ulicznych.

- I dlatego właśnie jesteś nam potrzebny - wtrącił Flanders.

Vickers skinął głową.

- Chcicie, żebym powstrzymał Crawforda.

- Powiedziałeś, że wiesz jak to zrobić.

- Mam przeczucie - odparł Vickers.

- Twoje przeczucie, przyjacielu, jest znacznie bliższe prawdy niż wynik logicznego rozmyślenia wielu tęgich głów.

- Ale będzie mi potrzebna pomoc - zauważył Vickers.

- Nie ma sprawy.

- Potrzebuję paru pionierów, ludzi takich jak Asa Andrews, którzy zostaną wysłani z powrotem i będą prowadzić coś w rodzaju misji.

- Nie możemy tego zrobić - zaprotestował Flanders.

- Oni też są przecież zaangażowani w tę walkę - stwierdził Vickers. - Nie

mogą oczekiwać, że damy im siedzieć z założonymi rękami.

- Misja? Chcesz, żeby wrócili i opowiadali o tym i innych światach?

- Właśnie.

- Ale nikt im przecież nie uwierzy. W sytuacji, jaka panuje obecnie na Ziemi, szybko ich wylapią i zlinczują.

Vickers potrząsnął głową.

- Jest pewna grupa ludzi, którzy im uwierzą - wizjoniści. Robią przecież co mogą, żeby uciec od rzeczywistości. Udają, że cofają się w czasie i żyją na przykład w okresie Pepysa. Nawet tam jednak znajdują pewne ograniczenia, coś, co nie pozwala im w pełni rozwinąć skrzydeł. A tu mają dokładnie to, czego im potrzeba - wolność i bezpieczeństwo. Tu mogą powrócić do prostoty i nieskomplikowanego życia, jakiego poszukują. Niezależnie od tego, jak fantastycznie zabrzmiał w ich uszach ten pomysł, wizjoniści powitają go z otwartymi ramionami.

- Jesteś pewien? - spytał Flanders.

- Całkowicie.

- I to wszystko, czego potrzebujesz?

- Jest jeszcze jedna sprawa. Czy jeśli pojawi się nagły wzrost zapotrzebowania na węglowodany, będziecie w stanie mu sprostać?

- Raczej tak. Możemy przystosować nasze fabryki do zwiększonej produkcji.

Inne nasze produkty i tak już się nie sprzedają. Ale żeby je rozprowadzić, musielibyśmy stworzyć coś na podobieństwo czarnego rynku. Bo przecież jeśli ujawnimy się, Crawford i jego ludzie zrobią wszystko, żeby nas zniszczyć.

- Być może na początku - zgodził się Vickers - ale nie pociągną tak zbyt

długo. Kiedy dziesiątki tysięcy ludzi wyjdą na ulice, żeby domagać się węglowodanów, Crawford będzie bezsilny.

- W takim razie możesz być pewien, że jeśli węglowodany okażą się potrzebne, dostarczymy każdą ich ilość - zapewnił go Flanders.

- Wizjoniści uwierzą, bo są żądni jakiegokolwiek wiary. Będzie to dla nich fantastyczna kruczata. Przeciwno normalnej populacji być może nie mielibyśmy szans, ale na szczęście istnieje duża część społeczeństwa nastawiona na ucieczkę od tego chorego świata. Potrzebuje ona tylko iskry, obietnicy, że naprawdę istnieje szansa prawdziwej, a nie tylko intelektualnej ucieczki. Wielu z nich z pewnością od razu będzie chciało się tu znaleźć. Jak szybko będziecie w stanie ich tutaj przetransportować?

- Natychmiast - odparł Flanders.

- Mogę na was polegać?

- Na pewno - przyrzekł Flanders. - Chociaż zupełnie nie mam pojęcia, co planujesz. Mam tylko nadzieję, że przeczucie cię nie myli.

- Wcześniej mówileś, że jest lepsze od rozumu wielu mędrców - przypomniał mu Vickers.

- Czy ty wiesz, w co się pakujesz? Znasz plany Crawforda? - Myślę, że szykuje wojnę. Powiedział, że dysponuje tajną bronią, ale jestem przekonany, że chodziło mu o wojnę.

- Ale przecież wojna...

- Pomyślmy o wojnie, ale innej niż dotychczas, innej niż widzą ją historycy.

Spójrzmy na wojnę jak na interes. Ponieważ pod pewnymi względami wojna nie jest niczym innym jak właśnie interesem. Gdy jakieś państwo decyduje się

na rozpoczęcie wojny, oznacza to, iż jego siła, przemysł i zasoby są mobilizowane i kontrolowane przez rząd. Biznesmen odgrywa równie ważną rolę jak żołnierz. Bankier i przemyslowiec są równie potrzebni jak generałowie. Pójdźmy teraz o krok dalej i wyobraźmy sobie wojnę toczoną w biznesie, dla celów ściśle komercyjnych związanych z przejęciem i utrzymaniem kontroli nad obszarami naszego zainteresowania. Wojna oznaczałaby, że system popytu i podaży przestałby funkcjonować, a pewne towary cywilne przestałyby być chwilowo produkowane. Rząd byłby wtedy w stanie ukarać każdego, kto starałby się sprzedać takie artykuły...

- Jak na przykład samochody - wtrącił Flanders - zapalniczki i maszynki do golenia.

- Na przykład - przytaknął Vickers. - W ten sposób mogliby zyskać na czasie, a czasu potrzebują tak bardzo jak my. Pod pretekstem wojny osiągnęliby całkowitą kontrolę nad światowym przemysłem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że dojdą do porozumienia w sprawie wojny? - zdziwił się Flanders.

- Jestem o tym przekonany - potwierdził Vickers. Oczywiście ograniczą ją do minimum. Może wystarczy jedna bomba zrzucona na Nowy Jork w zamian za jedną bombę na Moskwę, a potem jeszcze na przykład bombka na Chicago i Leningrad. Tak czy inaczej, będzie to wojna o ograniczonym zasięgu, polegająca tak naprawdę na "dżentelmeńskiej" umowie. Wystarczy, że ludzie uwierzą, iż wojna toczy się naprawdę. Niestety, niezależnie od tego, jak bardzo pozorowana będzie ta wojna, zginie wielu ludzi. Poza tym zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś potraktuje sprawę o wiele

poważniej i na przykład zamiast jednej bomby na Moskwę spadną dwie albo jakiś generał za bardzo się przejmie swoją rolą i zatopi statek, który zgodnie z umową nie miał być zatopiony.

- To tylko przypuszczenia - przerwał mu Flanders.

- Zapominasz, że są zdesperowani. Zapominasz, że walczą, i to wszyscy:

Rosjanie i Amerykanie, Francuzi, Polacy i Czesi. Wszyscy gotowi są walczyć o

sposób życia, jaki panował dotąd na Ziemi. Im się wydaje, że jesteśmy

najbardziej krwiożerczymi przeciwnikami, jacy kiedykolwiek zagrażali

ludzkości. Jesteśmy dla nich wilkołakami, złośliwymi chochlikami i

wszystkim co najgorsze. Są śmiertelnie przerażeni.

- W takim razie co zamierzasz? - spytał Flanders.

- Wróciłbym na Ziemię, ale zgubiłem swojego bąka.

- Nie potrzebujesz bąka. Bąki są dla żółtodziobów. Musisz tylko skupić się i

zażyczyć sobie, znaleźć się w danym świecie. Dalej pójdzie już jak z płatka.

- A jeśli będę chciał się z tobą skontaktować?

- Znajdź Eba - odparł Flanders.

- Wyślecie Asę i innych?

- Wyślemy.

Vickers wstał i wyciągnął rękę.

- Nie musisz się aż tak spieszyć - powstrzymał go Flanders. - Usiądź i wypij

jeszcze jedną filiżankę kawy.

Vickers potrząsnął głową.

- Wolę już wracać.

- Roboty mogą cię błyskawicznie przetransportować do miejsca

odpowiadającego Nowemu Jorkowi. Mógłbyś stamtąd wrócić na Ziemię - zasugerował Flanders.

- Potrzebuję czasu na przemyślenie paru rzeczy. Zanim znajdę się w Nowym Jorku, wolałbym zacząć z tego miejsca.

- Kup sobie samochód - doradził Flanders. - Hezekiah zostawił ci wystarczającą ilość gotówki. Jeśli będziesz potrzebował więcej pieniędzy, dostaniesz je od Eba. Samochód jest najbezpieczniejszy. Pewnie zastawili już pułapki na mutantów.

- Będę ostrożny - zapewnił go Vickers.

43

POKÓJ BYŁ DUSZNY i spowity pajęczynami. Pustka sprawiała, że wyglądał na znacznie większy niż w rzeczywistości. Ze ścian odpadała tapeta, a pęknięcia w betonie przebiegające od sufitu aż do podłogi przypominały rozgałęzioną błyskawicę.

Dostrzegało się jednak, że w swoim czasie tapeta była kolorowa, z koszyczkami malutkich kwiatków i większymi figurkami pastuszka dreздеńskiego dogładającego stadka owieczek. Pod warstwą kurzu spoczywającą na meblach wyczuwało się jeszcze powłokę wosku, który zdawał się obiecywać, że jeśli tylko przetrze się szmatką parę razy powierzchnię drewna, lśnić będzie jak nowa.

Vickers obrócił się powoli na środku pokoju i zauważył, że drzwi i okna są w tych samych miejscach co w pokoju, gdzie dopiero co wstał z krzesła po zjedzeniu śniadania. Tutaj jednakże drzwi do kuchni stały otworem, a okna były zasłonięte okiennicami.

Zrobił krok czy dwa do przodu i spostrzegł, że zostawia za sobą ślady w grubej warstwie kurzu, zaczynające się dokładnie na środku pokoju.

Stał i patrzył na pokój, próbował sobie przypomnieć jego wygląd sprzed dwudziestu lat.

A może były to tylko wszczepione do jego mózgu wspomnienia? Czy rzeczywiście stał kiedykolwiek w tym pokoju? Czy Kathleen Preston w ogóle istniała?

Wiedział, że rodzina Vickersów, biedna farmerska rodzina, mieszkała jakiś kilometr od tego miejsca. Pomyślał teraz o nich, o kobiecie w poszarpanej sukience i zniszczonym swetrze, o mężczyźnie z pożałowania godnym zbiorem książek umieszczonych na półce nad jego łóżkiem. Przypomnił sobie, jak siadywał w wytartych spodniach i zbyt dużej koszuli, i czytał książki w słabym świetle lampy naftowej. Był wtedy małym chłopcem z wybujałą wyobraźnią, który twierdził, że udało mu się trafić do baśniowej krainy.

Maskarada, pomyślał. Gorzka maskarada. Przyglądali mu się i śledzili go, żeby przekonać się, czy syn okaże się jednym z nich. Na szczęście tak właśnie było.

A teraz tych dwoje, którzy udawali parę farmerów, przystosowując się do życia normalnych ludzi, jakie nie powinno być ich udziałem, czekało. Czekali na dzień, kiedy będą wreszcie mogli zająć odpowiednie dla nich miejsce w społeczeństwie, na rzecz którego pracowali.

Nie mógł i nie chciał ich zawieść.

Przeszedł przez pokój jadalny i korytarz aż do zamkniętych drzwi frontowych, pozostawiając ślady butów na zakurzonej podłodze.

Wiedział, że za drzwiami nie czeka na niego nikt, ani Ann, ani Kathleen.

Znajdzie tam jedynie zimne poczucie obowiązku, którego sam sobie nie wybrał.

Jadąc samochodem chwilami miewał okresy zwątpienia. Delektował się pięknem rzeczy, które po drodze widział, słyszał i czuł. Podziwiał małe wioski śpiące głębią lata, z ich rowerami i furgonetkami, ze strzelistymi drzewami stojącymi na baczność przy schludnych alejach domków jednorodzinnych, pierwsze czerwieniejące jabłka w sadach, przyjazne podskakiwanie wielkich ciężarówek kołyszących się na autostradach, sposób, w jaki dziewczyna za ladą uśmiechnęła się do niego, kiedy zatrzymał się na kawę w przydrożnym barze.

Wszystko jest w porządku, powtarzał sobie. Te małe wioski, ciężarówki i uśmiechająca się dziewczyna dowodziły, że wszystko jest w porządku. Świat stworzony przez człowieka był miłym i przyjaznym miejscem, w którym z przyjemnością spędziłoby się życie.

W tym momencie mutanci i ich plan wydawały mu się niedorzeczną bzdurą wyczytaną w szmatławej gazecie. Zastanawiał się nawet chwilami, dlaczego nie miałby stanąć, wyjść z samochodu i po prostu wtopić się w otaczający go sielankowy krajobraz. Z pewnością znalazłoby się gdzieś tu miejsce dla niego, pośród kukurydzianych równin, gdzie na każdym skrzyżowaniu wyrastało jakieś miasteczko, w którym człowiek odnaleźć mógł poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Nie szukał jednak spokoju i bezpieczeństwa jedynie dla nich samych. Szukał schronienia przed tym, co już wyczuwało się w powietrzu. Chęcią

pozostawienia samochodu przy drodze i wtopienia się w krajobraz reagował na ten sam lęk, z którym próbowali sobie radzić wizjoniści, praktykując emocjonalną ucieczkę do innych czasów i miejsc. To właśnie chęć ucieczki sprawiała, że zastanawiał się nad pozostawieniem samochodu i znalezieniem kryjówki pośród pól kukurydzy.

Ale nawet tutaj, w rolniczym centrum kontynentu, nie odnalazłby prawdziwego spokoju i bezpieczeństwa. Oczywiście miałby ich namiastkę, taką, jaką odczuwa się nie czytając gazet, nie oglądając telewizji i nie rozmawiając z ludźmi. Zdał sobie jednak sprawę, że zagrożenie czyha zewsząd: przy każdych drzwiach, w każdym mieszkaniu i za każdym rogiem. Przejrzał parę gazet i stwierdził, że sytuacja nie przedstawia się zbyt różowo. Posłuchał radia, w którym komentatorzy opowiadali o nowym, głębokim kryzysie, jakiego świat jeszcze nie przeżywał. Przysłuchiwał się rozmowom ludzi w holu hotelowym, gdzie zatrzymał się na noc, albo w przydrożnych restauracjach. Ludzie ci rozmawiali ze sobą cicho potrząsając głowami i od razu można się było zorientować, że nie są w najlepszym nastroju.

Mówili:

- Nie rozumiem tylko, jak to wszystko mogło się tak szybko rozegrać.

Jeszcze tydzień czy dwa temu wszystko wskazywało na to, że Wschód i Zachód zjednoczą się przeciwko mutantom. Przecież w końcu mieliśmy coś, przeciwko czemu można wspólnie występować, zamiast okładać się nawzajem pięściami, a tu proszę, sytuacja wróciła do normy, a nawet, o ile to możliwe, jeszcze bardziej się pogorszyła.

Mówili:

- Mnie się wydaje, że to te przeklęte komuchy stoją za całą aferą z mutantami. Zapamiętaj moje słowa, to oni wszystko ukartowali.

Mówili:

- Nie do wiary! Siedzimy sobie tysiące kilometrów z dala od wojny, a już jutro...

Mówili:

- Gdyby to ode mnie zależało, porozumiałbym się z mutantami. Mają w zanadru takie wynalazki, że komuchy przy nich wysiadają.

Mówili:

- Mówilem to już czterdzieści lat temu. Nie powinniśmy byli nigdy przeprowadzać demobilizacji naszej armii po II wojnie światowej. Należało ich od razu zaatakować. W ciągu miesiąca albo dwóch byłoby po kłopocie.

Mówili:

- Najgorsze jest to, że nikt nas o niczym nie informuje. A kiedy już coś ci powiedzą, możesz być pewien, że to tylko propaganda.

Mówili:

- Nie bawilibym się z nimi ani minuty. Zapakowałbym parę bombek na pokład i poleciałbym na komuchów.

Vickers słuchał tych rozmów i stwierdzał, że nie można się w nich dopatrzeć odrobiny chęci kompromisu czy zrozumienia. Nie było nadziei na powstrzymanie wojny w jakikolwiek sposób.

- Jeśli nie teraz - mówili ludzie w restauracjach - to za pięć czy dziesięć lat, więc czemu właściwie nie mieć tego od razu z głowy. Trzeba ich wziąć z

zaskoczenia. W wojnach takich jak ta nie dostaje się drugiej szansy. Albo my, albo oni...

W tym momencie Vickers zrozumiał wreszcie, że nawet tutaj, w sercu kraju, na farmach, w małych miasteczkach i przydrożnych restauracjach ludzie aż kipią od żądz zemsty. I właśnie to jest odpowiednim wyznacznikiem cywilizacji zbudowanej przez ludzi na Ziemi, kultury bazującej na nienawiści, wielkiej pysze i podejrzewaniu o zdradę każdego, kto nie mówi tym samym językiem, nie je takiej samej żywności albo nie ubiera się tak samo.

Była to bezmyślna kultura pobrzękujących maszyn, technologiczny świat, który zapewniał możliwość tworzenia nowych istnień, nie mogących jednakże liczyć na sprawiedliwość czy choćby bezpieczeństwo. Była to kultura wykorzystująca metale, która zgłębiła tajemnice atomu, potrafiła korzystać z wielu różnych substancji chemicznych i budowała skomplikowane i niebezpieczne urządzenia. Skupiła się ona na technologii zapominając zupełnie o socjologii i psychologii, co sprawiło, że człowiek mógł nacisnąć guzik i zniszczyć jakieś znajdujące się daleko miasto, nie wiedząc nawet i co gorsza nie chcąc wiedzieć o życiu, zwyczajach, myślach, nadziejach i wierzeniach ludzi, których zabijał.

Pod błyszczącą powierzchnią słychać było ostrzegawczy pomruk maszyn. Przekładnie, koła zębate, łańcuchy transmisyjne i generatory, nie do końca opanowane przez umysł ludzki, mogły stać się źródłem zagłady.

Vickers jechał, zatrzymywał się tylko, żeby coś zjeść, po czym jechał dalej. Potem znowu jadł, spał i kontynuował podróż. Patrzył na pola kukurydzy, jabłka czerwieniejące w sadach, wsłuchiwał się w piosenki nucone przez

kosiarzy, wdychał zapach koniczyny. Patrzył na niebo i widział ogromne przerażenie wiszące w obłokach. Wiedział, że Flanders miał rację. Żeby przeżyć, człowiek musi mutować, a powstała mutacja musi opanować ludzkość, zanim fala nienawiści zniszczy wszystko, co jeszcze można uratować.

Ale kolumny codziennych gazet i wiadomości radiowe wypełniały nie tylko informacje dotyczące zbliżającego się wybuchu wojny.

Nadal wiele mówiło się i pisało o mutantach, do których nienawiść wciąż rosła. Radzono więc, aby cały czas być ostrożnym. Opisywano też bunty, lincze i palenie sklepów z produktami mutantów.

I jeszcze coś.

Oto rozpuszczano pogłoskę, która swoim zasięgiem powoli obejmowała cały kraj. Słyszało się ją na rogach ulic, na zakurzonych skrzyżowaniach i w zaciemionych bramach domów. Pogłoska mówiła, że gdzieś istnieje inny, całkiem nowy świat, na którym można rozpocząć życie od początku, gdzie można uciec od tysięcy lat pomyłek, które ludzkość popełniała na drodze swojego rozwoju.

Prasa z początku podchodziła do tej nieprawdopodobnej wieści z rezerwą.

Potem wydrukowała parę artykułów na ten temat, nie krzycząc jednak zbyt głośno nagłówkami. Reporterzy również wydawali się podchodzić do owej

pogłoski z rezerwą, ale w końcu zaczęli poświęcać jej coraz więcej czasu i

miejsca. W ciągu zaledwie paru dni informacja o istnieniu innego świata oraz

o dziwnych ludziach z błyszczącymi oczyma, którzy podobno rozmawiali z

kimś (nigdy nie wiadomo było jednak, z kim dokładnie) twierdząc, że stamtąd

przeżył wojnę i czeka na nas.

przybywają, zaczęła konkurować o miejsce na pierwszych stronach z

opowieściami o znenawidzonych mutantach.

Wyraźnie coś wisiało w powietrzu.

44

POGRAŻONE W CIEMNOŚCI CLIFFWOOD pachniało i wyglądało bardzo swojsko. Vickers jechał ulicami miasteczka i czuł, jak wzruszenie ściska mu gardło. To tutaj chciał się osiedlić i spędzić resztę życia na pisaniu powieści, przelewając na papier rodzące się w jego umyśle idee.

Tu był jego dom, meble, rękopis i grubo ciosana półka, na której spoczywał jego księgozbiór. Vickers wiedział jednak, że to miejsce nigdy już tak naprawdę nie będzie jego domem. Co więcej, wiedział, że Ziemia, pierwotna Ziemia ludzi, ta, którą pisało się przez duże "Z", nie będzie już dłużej mogła być jego domem.

Zdecydował, że najpierw spotka się z Ebem. Następnie zajrzy do swojego mieszkania i zabierze rękopis. Potem odda go Ann na przechowanie.

Po namyśle stwierdził jednak, że musi znaleźć jakieś inne miejsce na przechowanie rękopisu, bo nie chciał teraz spotkać się z Ann. No, może nie do końca "nie chciał", ale na pewno nie powinien, gdyż w tej chwili był już prawie pewien, że on i ona są częścią jednego życia.

Zatrzymał samochód przed domem Eba i przez chwilę siedział przyglądając się budynkowi. Z przyjemnością patrzył na schludny ogródek i dom. Eb nie miał żony ani dzieci, a rzadko który kawaler potrafił utrzymać swoje otoczenie w tak idealnym porządku. Pomyślał, że zostanie u Eba tylko przez chwilę, opowie mu, co się wydarzyło, załatwi sprawy organizacyjne i pozna

najnowsze wieści.

Zamknął samochód i ruszył ścieżką w kierunku domu. Przez gałęzie drzew padało światło księżyca, ścieżka była wyraźnie widoczna. Po dojściu do ganku Vickers zorientował się, że w domu nie palą się światła.

Zapukał do drzwi. Dzięki pokerowym wieczorom i innym rzadkim wizytom u Eba wiedział, że drzwi nie wyposażono w dzwonek.

Bez rezultatu. Poczekał chwilę i zapukał jeszcze raz, po czym zawrócił w kierunku samochodu. Może Eb jest nadal w garażu i dokonuje jakiejś ekspresowej naprawy, a może wpadł na jednego do tawerny?

Zdecydował, że poczeka na Eba w samochodzie. Podróż do miasteczka, gdzie bez wątplenia zostałby przez kogoś rozpoznany, nie wydawała mu się najlepszym pomysłem.

W tym momencie jakiś głos spytał:

- Szukasz Eba?

Vickers odwrócił się natychmiast w kierunku, z którego usłyszał głos.

Zauważył stojącego przy płocie sąsiada.

- Tak - odparł Vickers.

Starł się usilnie przypomnieć sobie, kto jest sąsiadem Eba. Za nic jednak nie pamiętał, czy jest to jakaś znana mu osoba, która może go rozpoznać.

- Jestem jego starym przyjacielem - ciągnął Vickers. Właśnie tędy przejeżdżałem i pomyślałem sobie, że może wpadnę.

Mężczyzna przeszedł przez dziurę w płocie i ruszył przez trawnik w kierunku Vickersa.

- Jak dobrze go znależ? - spytał.

- Niezbyt dobrze - odpowiedział ostrożnie Vickers. Nie widziałem go już

dziesięć czy piętnaście lat. Razem się wychowywaliśmy.

- Eb nie żyje - zakomunikował mu sąsiad.

- Nie żyje?!

Sąsiad splunął pod nogi.

- Był jednym z tych cholernych mutantów.

- Nie - protestował Vickers. - To niemożliwe!

- A jednak to prawda. Znaleźliśmy jeszcze jednego, ale udało mu się uciec.

Podejrzewaliśmy, że to Eb go ostrzegł. Gorycz i nienawiść przebijające ze słów sąsiada napelniły Vickersa przerażeniem.

Rozwścieczony tłum zabił Eba i zabije również jego, jak tylko dowie się, że

wrócił do miasta. A z pewnością już wkrótce dowie się o tym, gdyż

prawdopodobnie sąsiad rozpozna go. Wiedział już, kim jest sąsiad. Był to

corpulentny jegomość, który prowadził sklep mięsny w miasteczku. Nazywał

się... ale to przecież nie miało większego znaczenia.

- Wydaje mi się - rzekł sąsiad - że już cię kiedyś widziałem.

- Wątpię. Nigdy jeszcze nie byłem w tych stronach.

- Twój głos...

Vickers rzucił się na niego, starając się wykrzesać z siebie maksimum sił.

Jego pięść zatoczyła łuk, zmuszając ciało do pójścia za ciosem, dzięki czemu

masa ciała przyczyniła się do zwiększenia siły uderzenia.

Uderzył mężczyznę w twarz, a zderzenie ciała z ciałem i kości z kością

sprawilo, że w powietrzu coś tylko świsnęło i mężczyzna zwałił się z nóg.

Vickers nie czekał, co stanie się dalej. Odwrócił się i rzucił do ucieczki w

stronę bramy. Prawie wyrwał drzwiczki samochodu starając się jak najszybciej wsiąść. Nerwowo obrócił kluczyk w stacyjce i nacisnął pedał gazu. Samochód ruszył gwałtownie; małe kamyki wyprysnęły spod protestujących opon.

Ramię Vickersa wydawało się bezwładne; siła, z jaką uderzył przed chwilą mężczyznę, była znaczna. Kiedy przyjrzał się dokładniej dłoni, zauważył, że palce ma poranione i sączą się z nich małe kropelki krwi.

Dopadnięcie samochodu i ruszenie zajęło mu parę minut. Do tego czasu sąsiad Eba mógł ocknąć się i zorientować, co się stało. Jak tylko dotrze do telefonu, rozpocznie się rozdzierające ciszę nocy polowanie ze strzelbami, powrozem i pistoletami.

Vickers musiał uciekać. Wiedział, że teraz nie może już liczyć na niczyją pomoc.

Eb nie żył, zaatakowany bez ostrzeżenia, bez szansy ucieczki na inną Ziemię. Został prawdopodobnie zastrzelony, powieszony albo pobity na śmierć. A Eb był przecież jego jedynym kontaktem tu na Ziemi.

Teraz pozostali już tylko on i Ann.

A Ann nie wiedziała nawet, że jest mutantką.

Wyjechał na autostradę i przemierzył dolinę dociskając gaz do deski.

Pamiętał, że jakieś dziesięć mil dalej powinna znajdować się boczna droga, przy której można było ukryć samochód i przeczekać obławę. Chociaż prawdopodobnie nawet wtedy nie będzie bezpiecznie znowu pokazać się ludziom na oczy.

Może byłoby lepiej pojechać na wzgórze i tam przeczekać pościg?

Nie, pomyślał, i tak nie będę bezpieczny.

Poza tym nie miał chwili czasu do stracenia.

Musiał odnaleźć Crawforda i porozmawiać z nim. Był teraz zdany wyłącznie na siebie.

Odnalazł boczną drogę prowadzącą do połowy wysokości stromego wzgórza. Podjechał nią kilkadziesiąt kilometrów, po czym wysiadł z samochodu i wrócił pieszo na autostradę.

Ukryty za kępą drzew patrzył na śmigające samochody, nie mógł się jednak w żaden sposób zorientować, który z nich go goni.

W tej samej chwili do miejsca, w pobliżu którego się schował, podjechała powoli stara, rozklekotana ciężarówka.

W umyśle Vickersa zrodził się szatański pomysł.

Kiedy ciężarówka go minęła, stwierdził, że jej paka zamknięta jest jedynie niską klapą.

Wyskoczył na autostradę i pobiegł za ciężarówką. W końcu ją dogonił. Jego palce zacisnęły się na krawędzi klapy. Podskoczył i mocniej podciągnął się w górę. Po chwili wysiłku udało mu się bezpiecznie dostać do wnętrza pojazdu, gdzie natknął się na upakowane od podłogi aż po sufit pudełka.

Przykucnął za pakunkami ostrożnie zerkając na drogę.

Wyglądam jak zwierzyna łowna, pomyślał. Zwierzyna goniona przez ludzi, którzy kiedyś byli moimi przyjaciółmi.

Około dziesięciu mil dalej ktoś zatrzymał ciężarówkę.

Jakiś głos spytał:

- Widział pan kogoś przy drodze? Prawdopodobnie szedł piechotą.

- Niii - odparł kierowca. - Nie widziałem nikogo.
- Szukamy mutanta. Podejrzewamy, że porzucił gdzieś tutaj swój samochód.
- A już myślałem, że udało nam się ich wszystkich wylapać - rzekł kierowca.
- Nie wszystkich. Może schował się na wzgórzach. Jeśli tak, to mamy go w garści. Tak czy inaczej, będą pana jeszcze zatrzymywać. Dzwoniliśmy dalej w obu kierunkach. Na drodze ustawione są blokady.
- Będę miał oczy szeroko otwarte - zapewniał kierowca.
- Ma pan pistolet?
- Nie.
- No cóż. W każdym razie niech pan uważa.

Kiedy ciężarówka ruszyła, Vickers dojrzał dwóch mężczyzn, którzy ją zatrzymali. Światło księżyca odbijało się od strzelb, które nosili przewieszane przez ramię.

Ostrożnie zaczął przestawiać pudełka, budując sobie lepszą kryjówkę.

Nie musiał się jednak przejmować.

Ciężarówka zatrzymywana była jeszcze trzy razy. Przy każdej blokadzie uczestnicy pogoni ledwo pobieżnie świecili latarkami do wnętrza pojazdu i nie wykazywali większego zainteresowania towarem. Wyglądało to tak, jakby nie wierzyli już w powodzenie pościgu i w to, że uda im się odnaleźć zbiegłego mutanta. Podejrzewali prawdopodobnie, że tak jak wielu innych, i ten zdażył już zniknąć bez śladu.

Ale Vickers nie mógł sobie pozwolić na ucieczkę. Miał zadanie do wykonania i to właśnie na tej Ziemi.

WIEDZIAŁ, CO ZASTANIE w sklepie 1001 drobiazgow, a mimo to poszedł tam. Było to jedyne miejsce, gdzie, jak mu się wydawało, miał szansę nawiązać kontakt ze swoimi.

Wielkie okno wystawowe było rozbite, a cały budynek wyglądał tak, jak miał nieszczęście stać na drodze trąby powietrznej.

Tłum dokonał swego dzieła.

Vickers stał przed wybitą szybą i gapił się na pozostawione pobojuwisko.

Przypomnił sobie dzień, w którym razem z Ann wstąpił do tego sklepu w drodze na przystanek autobusowy. Pamiętał, że na dachu domu tkwił kogucik wskazujący kierunek wiatru, na podwórku znajdował się zegar słoneczny. Na podejździe stał samochód, po którym teraz nie było ani śladu.

Prawdopodobnie został wypchnięty na drogę i zniszczony, tak jak jego własny samochód.

Odwrócił się od witryny i powoli ruszył ulicą. Nie powinienem był tutaj przychodzić, pomyślał. Była to jednak jego jedyna szansa na kontakt i chociaż była to szansa raczej teoretyczna, musiał ją wykorzystać.

Skręcił za róg, gdzie zauważył spory tłum zgromadzony wokół mężczyzny, który wdrapał się na ławkę i przemawiał.

Vickers w zamyśleniu przeszedł na drugą stronę ulicy i zbliżył się do tłumy.

Mężczyzna na ławce zdjął płaszcz, podwinął rękawy i poluzował krawat.

Mówił spokojnie, ale jego głos niósł się daleko po parku.

- A kiedy spadną bomby - pytał mężczyzna - co będzie dalej? Mówią wam, żebyście się nie obawiali. Mówią, żeby robić swoje i nie przejmować się.

Mówią, że nie powinniście się przejmować, ale czy zastanawialiście się, co

zrobią, kiedy spadną bomby? Czy wtedy będą w stanie wam pomóc?

Tu na chwilę zrobił pauzę, a tłum zamarł. Prawie wyczuwało się napięcie mięśni szczęk, które zaciskali słuchacze. Czulo się także strach...

- Nie pomogą wam - stwierdził mówca cedząc słowa powoli i z rozwagą. - Nie pomogą wam, bo nie będzie wam już można pomóc. Po prostu, moi przyjaciele, będziecie wszyscy martwi. Umrzecie w świetle, które zaleje miasto. Umrzecie i obrócić się w pył. Pozostaną z was tylko atomy.

Z dala dobiegł głos syren, który sprawił, że tłum poruszył się niespokojnie.

- Umrzecie - ciągnął mówca - a przecież nie musicie umierać, gdyż jest inny świat, który na was czeka. Kluczem do tego świata jest ubóstwo. Ubóstwo jest przepustką, która pozwoli wam się tam dostać. Musicie tylko rzucić pracę, rozdać wszystko, co macie... a właściwie wyrzucić wszystko co macie. Możecie tam dotrzeć tylko z pustymi rękami.

Głos syren zbliżał się i tłum zaczął coś szeptać poruszony, jak wielkie zwierzę obudzone ze snu. Szept tłumy popłynął ulicą jak szelest jesiennych liści, które wiatr przegania przed burzą.

Mówca uniósł dłoń i zapadła chwila ciszy.

- Moi drodzy - rzekł - zastanówcie się nad tym. Inny świat czeka na was.

Najbiedniejsi znajdą się tam jako pierwsi. Najbiedniejsi i zdesperowani, ci, dla których na tym świecie nie ma już lekarstwa. A muszę wam powiedzieć, że na Ziemi, o której mówię, nie ma bomb. Tam całe życie zaczyna się od początku. Jest to zupełnie nowy świat, ale prawie dokładnie taki jak ten, z drzewami, trawą, żyzną ziemią, zwierzyną na wzgórzach i rybami kłębiącymi się w rzekach. Jest to rodzaj miejsca, o którym wszyscy marzymy.

Podstawowa różnica jednak polega na tym, że panuje tam spokój.

Wycie syren zbliżało się.

Zza rogu wyjechał samochód. Kierowca gwałtownie nacisnął na hamulce, starając się bez szwanku wyjechać na prostą. Opony zawyły, a syrena ucichła niczym w agonii.

Vickers potknął się o krawężnik i upadł. Instynktownie wysunął dłonie, dzięki czemu wylądował na czworakach. Spojrzał w bok i zauważył hamujący samochód. Wiedział, że nie uda mu się już wstać, że zanim zdoła stanąć na nogach, pojazd nie zdąży wyhamować i uderzy prosto w niego.

Nagle znikąd pojawiła się dłoń, która silnie schwyła go za ramię i ściągnęła z ulicy.

Kolejny samochód policyjny z wizgiem opon i zamierającą syreną wyjechał zza rogu, dokładnie tak, jakby ten pierwszy zdecydował się powtórzyć nieudane wejście.

Rozproszony tłum na dobre rzucił się do ucieczki.

Dłoń pomogła mu wstać i dopiero teraz Vickers zauważył mężczyznę w wytartym swetrze, ze starą blizną na policzku.

- Szybko - rzekł mężczyzna. Kiedy mówił, blizna wila się na policzku jak wąż, a w zaopatrzonej w bokobrody twarzy raz po raz ukazywały się białe zęby.

Człowiek siłą wepchnął Vickersa w wąską uliczkę pomiędzy dwoma budynkami, gdzie Vickers pognał naprzód, starając się nie wpaść na którąś z ceglanych ścian wyrastających po obu stronach.

Słyszał, jak wybawca biegnie za nim.

- Na prawo - rzekł mężczyzna. - Drzwi.

Vickers chwycił klamkę i drzwi otworzyły się ukazując zaciemniony hol.

Weszli do budynku i zamknęli za sobą drzwi. Stali przez chwilę w ciemności, dysząc ze zmęczenia i wsłuchując się w walenie własnych serc.

- Niewiele brakowało - zaczął mężczyzna. - Gliny coraz częściej się wtrącają.

Ledwo zbierze się parę osób i...

Nie skończył zdania. Zamiast tego wyciągnął dłoń i dotknął ramienia Vickersa.

- Chodź - powiedział. - Uważaj. Schody.

Vickers podążył za nim, szukając w ciemności trzeszczących stopni. Stęchły zapach piwnicy za każdym krokiem stawał się coraz bardziej wyraźny.

Na dole schodów mężczyzna odsunął na bok zwisające prześcieradło i weszli do słabo oświetlonego pokoju. W jednym rogu stało stare, zniszczone pianino, w innym widniała sterta kartonowych pudeł. Na środku pomieszczenia znajdował się stół, przy którym siedziało czterech mężczyzn i dwie kobiety.

Jeden z mężczyzn rzekł:

- Słyszeliśmy syreny.

Mężczyzna z blizną kiwnął głową.

- Charley właśnie się rozkręcał. Tłum zbierał się już do wiwatów.

- Kim jest twój przyjaciel, George? - spytał inny człowiek.

- Uciekał, a wóz policyjny omal go nie przejechał - wyjaśnił George.

Zebrani spojrzeli na Vickersa z zainteresowaniem.

- Jak się nazywasz, przyjacielu? - spytał George.

Vickers odpowiedział.

- Myślisz, że to nasz człowiek? - spytał ktoś inny.

- On też tam był - przypomniał George. - I uciekał.

- Ale myślisz, że bezpiecznie jest...

- To swój - rzekł George, ale Vickers zauważył, że słowa wypowiedane są zbyt gwałtownie, z uporem, jakby mężczyzna zaczynał wątpić, czy postąpił słusznie przyprowadzając tutaj nieznajomego.

- Napij się - rzekł jeden z mężczyzn, przesuwając po stole butelkę w kierunku Vickersa.

Vickers usiadł na krześle i wziął butelkę.

Jedna z kobiet, ta zdecydowanie ładniejsza, zwróciła się do niego:

- Mam na imię Sally.

- Miło mi cię poznać, Sally - odparł Vickers.

Rozejrzał się. Żadna z pozostałych osób nie miała specjalnej ochoty się przedstawiać.

Podniósł więc butelkę do ust i pociągnął haust. Wino było dość marne.

Vickers zakrztusił się.

- Jesteś aktywistą? - spytała Sally.

- Słucham?

- Jesteś aktywistą czy purystą?

- Aktywistą - odparł za niego George. - Stał tam razem z innymi.

Vickers zauważył, że George spocił się nieco, ponieważ obawiał się, że popełnił błąd.

- Za cholerę nie wygląda na aktywistę - stwierdził jeden z mężczyzn.

- Jestem aktywistą - zapewnił go jednak Vickers widząc, że najwyraźniej tego od niego oczekują.

- Jest taki jak ja - zauważyła Sally. - Aktywista z zasady, purysta z wyboru.

Prawda? - spytała Vickersa.

- Tak - poparł ją Vickers. - Chyba tak.

Pociągnął kolejnego łyka z butelki.

- Jaki jest twój okres? - dopytywała się Sally.

- Mój okres... - powtórzył Vickers. - Ach tak, mój okres...

W tym momencie przypomniał sobie bladą, napiętą twarz pani Leslie, kiedy pytała go, który okres w dziejach uważa za najbardziej ciekawy.

- Karol Drugi - odparł.

- Dość długo się zastanawiałeś - zauważył podejrzliwie jeden z mężczyzn.

- Długo nie mogłem się na nic zdecydować - wyjaśnił Vickers. - Przez pewien czas próbowałem najróżniejszych okresów, zanim zorientowałem się, który tak naprawdę mnie interesuje.

- I w końcu zdecydowałeś się na Karola Drugiego - rzekła Sally.

- Właśnie.

- A ja wolę Azteków - odparła Sally.

- Ale przecież Aztekowie...

- Wiem, co chcesz powiedzieć - przerwała mu. - Tak nie można. O Aztekach przecież niewiele wiadomo. Ale przecież w ten sposób mogę sobie trochę pozmyślać, prawda? A to czyni zabawę jeszcze bardziej interesującą.

- To wszystko jedna wielka bzdura - powiedział George. Kiedy nie mieliśmy nic innego do roboty, można było bawić się w pamiętniki i udawanie, że żyje się w innych czasach. Ale teraz mamy pełne ręce roboty.

- George ma rację - pokiwał głową jeden z mężczyzn.

- Wy, aktywiści, nie macie racji - zaprotestowała Sally. - Najważniejsza w wizjonizmie jest zdolność przenoszenia się z obecnego czasu i wymiaru do innych epok.

- Słuchaj no - zaczął George. - Nie mam...

- Ależ zgadzam się - wpadła mu w słowo Sally - że musimy pracować dla tego innego świata. Przecież to szansa, na jaką zawsze czekaliśmy. Ale to przecież nie oznacza, że musimy rezygnować...

- Przestań już - zdenerwował się jeden z mężczyzn, postawny facet siedzący po drugiej stronie stołu. - Mam już dość tych bzdur. Nie czas ani miejsce teraz na to.

- Dzisiaj będziemy mieli spotkanie - powiedziała Sally do Vickersa. - Chcesz wpaść?

Vickers zawahał się. W słabym świetle zauważył jednak, że wszyscy patrzą się na niego.

- Pewnie - odparł. - Pewnie. Będzie mi bardzo miło.

Wziął butelkę, napił się i podał George'owi.

- Niech przez jakiś czas nikt nie wychodzi - powiedział George. - Lepiej, żeby gliniarze trochę ochłonęli.

Upił wina i podał butelkę dalej.

46

KIEDY SALLY I VICKERS przybyli, zebranie właśnie się rozpoczynało.

- George też przyjdzie? - zapytał Vickers.

Sally uśmiechnęła się.

- George, tutaj?

Vickers pokiwał głową.

- Rzeczywiście, to chyba nie w jego stylu.

- George to awanturnik - wyjaśniła Sally. - Napaleniec. Urodzony organizator. Nigdy nie pojmę, w jaki sposób udało mu się nie zostać komunistą.

- A ty? Tacy jak ty?

- Jesteśmy propagandystami - odparła Sally. - Zbieramy się na spotkaniach, rozmawiamy z ludźmi, staramy się ich zainteresować. Jesteśmy misjonarzami, którzy nawracają i przekonują ludzi do modlitwy. Kiedy już uda nam się kogoś nawrócić, przekazujemy go takim jak George.

Siedząca za stołem ubrana na czarno kobieta zastukała nożykiem do otwierania listów.

- Proszę o spokój. Rozpoczynamy zebranie - powiedziała smutnym głosem.

Vickers podsunął Sally krzesło, po czym sam zajął miejsce. Pozostali również sadowili się na krzesłach.

Jak zauważył Vickers, pomieszczenie składało się z dwóch pokoi połączonych ze sobą - jadalni i salonu. Ogromne drzwi, które teraz były otwarte na oścież, łączyły oba pokoje.

Nieźle sytuowana klasa średnia, pomyślał Vickers. Na tyle wywyższa się, by nie być wulgarna, ale nie posiada klasy tych naprawdę bogatych. Oryginalne malowidła na ścianach, prowansalski kominek i meble, które najwyraźniej pochodziły z epoki, chociaż Vickers nie byłby w stanie określić jakiej.

Vickers przyjrzał się twarzom otaczających go ludzi i starał się określić ich pozycję. Tu jakiś mężczyzna na kierowniczym stanowisku, pewnie

przedstawiciel handlowy. A ten, który najwyraźniej dawno nie widział fryzjera, jest prawdopodobnie malarzem albo pisarzem, chociaż raczej niezbyt znanym.

**Opalona
kobieta**

**o
stalowosiwych
włosach**

najprawdopodobniej często jeździła konno.

Wszystko to jednak nie miało najmniejszego znaczenia. W domu tym, z ubranym w liberię lokajem stojącym przy drzwiach, gromadziła się klasa średnia, podczas gdy w drugim końcu miasta z pewnością odbywa się inne spotkanie w kamienicy czynszowej, która nigdy nie widziała nawet lokaja. W małych miasteczkach i wsiach odbywają się zebrania w domach takich bankierów albo fryzjerów i tam też ktoś stuka w stół, prosi o ciszę i otwiera zebranie. Prawdopodobnie na większości z nich jest ktoś taki jak Sally, kto czeka tylko na możliwość porozmawiania z ludźmi i "nawrócenia" ich.

Kobieta w czerni rzekła:

- Panna Stanhope jest dziś pierwsza na liście. - Po czym oparła się wygodnie w krześle, wyraźnie zadowolona, że udało jej się wreszcie uciszyć zebranych i rozpocząć spotkanie.

Panna Stanhope wstała. Jak zauważył Vickers, była ucieleśnieniem damskiej frustracji ciała i ducha. Miała około czterdziestki, była pewnie starą

panną i miała pracę, która za piętnaście lat pozwoli jej na osiągnięcie niezależności finansowej. A mimo to chciała uciec przed jakimś widmem, szukając schronienia w sanktuarium innej osobowości.

Jej głos był czysty i silny, panna Stanhope miała jednak tendencje do głupiego uśmiechania się. Czytała z wysoko podniesioną brodą, niczym krasomówca, co sprawiało, że jej szyja wyglądała na jeszcze bardziej chudą, niż była w rzeczywistości.

- Jak zapewne państwo pamiętają, moim okresem jest Amerykańska Wojna Secesyjna widziana od strony Południa.

Zaczęła czytać.

- "13 października 1862. Pani Hampton przysłała dziś po mnie karocę ze starym Nedom, jednym z kilku lokajów, którzy jej pozostali. Większość służby uciekła i pozostawiła ją zupełnie bezradną. W podobnej sytuacji znalazło się dziś tak wielu z nas..."

Ucieczka do wieku krynoliny i kawalerii, pomyślał Vickers. Do wojny, z której czas wymyślił już plugastwo, krew i cierpienie, a z jej żalonych uczestników uczynił postaci romantycznej nostalgii.

Kobieta czytała:

- "...była tam Izabela. Ucieszyłam się na jej widok, gdyż minęło już wiele lat od czasu, kiedy spotkałyśmy się po raz ostatni. Wtedy w Alabamie..."

Oczywiście, ucieczka, pomyślał. Ale ta ucieczka jest platformą, z której ludzie głoszą ewangelię tamtego, innego świata. Świata spokojnego, który może stać się alternatywą dla steranej i wykrwawionej Ziemi.

Trzy tygodnie, pomyślał. Minęły zaledwie trzy tygodnie, a wszystko jest już

zorganizowane. Ludzie tacy jak George biorą na siebie krzyk, ucieczkę i ewentualnie umieranie, a kobiety takie jak Sally zajmują się pracą w podziemiu.

A mimo to, mimo stojącego przed nimi otworem nowego świata i obietnicy nowego życia, nadal zachwyca ich nostalgiczny rytuał pachnącej magnoliami przeszłości. Na ich twarzach wyryte było piętno zwątpienia i desperacji; nie mogli pozwolić sobie na odrzucenie marzeń w obawie, że rzeczywistość, kiedy wyciągną rękę w jej stronę, rozwieje im się w palcach jak mgła.

Panna Stanhope czytała dalej:

- "Siedziałam przez godzinę przy łóżku pani Hampton, czytając Targowisko próżności, książkę, którą uwielbia. Czytywała ją wcześniej sama, a od czasu gdy leży obłożnie chora, czytano ją pani Hampton więcej razy, niż może spamiętać."

Ale nawet jeśli niektórzy nadal trzymali się marzeń, pozostali, między innymi tacy jak George "aktywiści", walczyli w imię obietnicy, którą odnaleźli w nowym świecie. Każdego dnia przybywało tych właśnie.

Będą oni siać propagandę i uciekać, kiedy w pobliżu zawyją syreny policyjne. Potem ukryją się w ciemnej piwnicy i poczekają do momentu, gdy policja odjedzie.

Panna Stanhope czytała dalej, a kobieta w żałobie siedząc za stołem kiwała spokojnie głową, a w silnej ręce nadal dzierżyła nożyk do listów. Pozostali także przysłuchiwali się opowieści, jedni z dobrego wychowania, inni z wielkim zainteresowaniem. Kiedy odczyt dobiegnie końca, zaczną zadawać pytania dotyczące przedmiotu badań i innych punktów wymagających

wyjaśnienia. Potem zasugerują wprowadzenie do pamiętnika pewnych poprawek, a na końcu pogratulują panie Stanhope wspaniałego dzieła. W końcu wstanie ktoś inny i zacznie czytać o swoim życiu w zupełnie innym miejscu i czasie, a pozostali będą słuchać.

Vickers czuł wyraźnie beznadziejność tych poczynań. Czuł wypełniający pokój zapach magnolii, zapach róż i korzenny aromat pokrytych kurzem lat.

Kiedy panna Stanhope skończyła, a wszyscy uczestnicy spotkania zaczęli zadawać pytania, Vickers po cichu wstał i wyszedł na ulicę.

Na niebie świeciły gwiazdy. To mu coś przypominało.

Jutro pójdzie spotkać się z Ann Carter.

Wiedział jednak, że nie powinien tego robić. Nie powinien spotykać się z Ann Carter.

47

ZADZWONIŁ DO DRZWI i czekał. Kiedy usłyszał odgłosy kroków, wiedział, że powinien odwrócić się i uciekać co sił w nogach. Nie miał prawa tu przychodzić i miał świadomość, że źle robi. Trzeba było najpierw zająć się wykonaniem zadania, a nie trwonić czas na mrzonki. Zresztą przyjscie tutaj było bezcelowe, bo sen o Ann przeminął teraz bezpowrotnie jak sen o Kathleen.

Ale musiał tu przyjść, po prostu musiał. Stojąc już przed drzwiami, dwa razy zawahał się i odwrócił, żeby odejść. Tym razem jednak był pewien, że wie, czego chce i stał przed drzwiami, wsłuchując się w odgłos kroków, które zbliżały się do niego.

I co jej powie, kiedy otworzy mu drzwi, zastanawiał się. Co wtedy? Ma wejść

jakby nigdy nic, jakby on i ona byli tymi samymi ludźmi, którzy spotkali się ostatnio?

Czy ma jej powiedzieć, że jest mutantką, co więcej - androidem, sztuczną, wyprodukowaną kobietą?

Drzwi otworzyły się i stanęła przed nim Ann, równie piękna jak w jego wspomnieniach. Ann schwyciła go za rękę, wciągnęła do środka i zamknęła za nim drzwi, opierając się o nie plecami.

- Jay - powiedziała - Jay Vickers.

Starał się coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Stał tak patrząc na nią i myślał: To niemożliwe. To po prostu niemożliwe.

- Co się stało, Jay? Powiedziałeś, że do mnie zadzwonisz.

Tocząc ze sobą wewnętrzną walkę wyciągnął ramiona, a ona szybko, prawie z desperacją, rzuciła się w nie. Przytulił ją mocno do siebie. W swych ramionach znaleźli wreszcie ukojenie.

- Myślałam na początku, że ci odbiło - powiedziała. Kiedy przypominałam sobie, co opowiadałeś przez telefon, kiedy zadzwoniłeś do mnie z jakiegoś miasteczka w Wisconsin, byłam prawie pewna, że coś z tobą jest nie tak. Że masz nierówno pod sufitem. Wtedy też zaczęłam sobie przypominać te wszystkie dziwne rzeczy, które robiłeś, mówiłeś i pisałeś, i nagle...

- Spokojnie, Ann - przerwał jej. - Nie musisz teraz o tym mówić.

- Jay, czy ty się właściwie kiedykolwiek zastanawiałeś nad tym, czy jesteś zwykłym człowiekiem? Jest w tobie chyba coś, czego nie spotyka się na co dzień... coś niezwykłego...

- Tak - przyznał - często o tym myślałem.

- Bo ja jestem pewna, że nie jesteś normalny. To znaczy, nie jesteś normalnym człowiekiem. Ale nie mam nic przeciwko temu. Bo ja też nie jestem zwykłym człowiekiem.

Przytulił ją jeszcze mocniej, czując, że i ona go obejmuje. Nareszcie zdał sobie sprawę, że odnaleźli się jak dwie zagubione i pozbawione przyjaciół dusze w oceanie ludzkości. Byli zdani tylko na siebie. Nawet gdyby się nie kochali, musieliby wspólnie stawić światu czoło.

Zadzwonił telefon stojący na biurku, ale nie zwrócili na to większej uwagi.

- Kocham cię, Ann - rzekł, a część jego mózgu nie będąca częścią jego osoby, ale zimnym, bezstronnym obserwatorem, który stał gdzieś z boku, przypomniawszy mu, że nie może jej kochać. Że jest rzeczą niemożliwą, niemoralną i absurdalną kochać kogoś bliższego niż siostra, kogoś, czyje życie stanowiło kiedyś część jego własnego życia, i czyje życie za jakiś czas połączy się z jego życiem i utworzy inną osobowość, a ta najpewniej nie będzie zdawała sobie nawet sprawy z ich istnienia.

- Przypomniałam sobie coś - powiedziała nagle Ann poważnym, a jednocześnie nieobecny głosem. - Ale nie mogę tego pojąć. Może mógłbyś mi pomóc?

- Co sobie przypomniałaś? - spytał Vickers.

- Byłam z kimś na spacerze. Starłam się sobie przypomnieć jego imię, ale nie mogę. Po tych wszystkich latach pamiętam tylko twarz. Szliśmy doliną z ceglanego domu stojącego na wzgórzu. Schodziliśmy w dół. Była chyba wiosna, bo kwitły dzikie jabłonie. Słyszałam śpiew ptaków, ale najśmieszniejsze jest to, że jestem pewna, iż nigdy tak naprawdę nie odbyłam

tego spaceru, a mimo to go pamiętam. W jaki sposób można pamiętać coś, co się nigdy nie zdarzyło.

- Nie wiem - przyznał Vickers. - Może wyobraźnia płata ci figle. Może gdzieś o tym przeczytałaś?

Wiedział jednak, że tak nie jest. Najlepszy dowód na to, co od dawna podejrzewał.

Flanders wyraźnie powiedział, że jest ich troje. Troje androidów stworzonych z jednego, ludzkiego istnienia. Tę trójkę tworzyli on, Flanders i Ann Carter. Ann pamiętała zaczarowaną dolinę, dokładnie tak samo jak on, ale ponieważ on był mężczyzną, szedł z kobietą o nazwisku Kathleen Preston, natomiast ona była kobietą, więc szła z mężczyzną, którego nazwiska nie mogła sobie teraz przypomnieć. A jeśli nawet sobie przypomni, i tak będzie to nazwisko fikcyjne. Bo jeśli on szedł doliną, to na pewno nie z kobietą o nazwisku Kathleen Preston, ale z kobietą, która nazywała się zupełnie inaczej.

- To jeszcze nie wszystko - rzekła Ann. - Wyobraź sobie, że wiem, co myślą inni ludzie. Zupełnie...

- Posłuchaj, Ann - przerwał jej po raz kolejny.

- Staram się nie wiedzieć, co myślą, ale niestety bardziej lub mniej podświadomie robię to już od wielu lat. Zawsze podejrzewałam, co za chwilę powiedzą. Zawsze miałam przygotowaną odpowiedź. Znałam ich obiekcje, jeszcze zanim zdążyli je wyrazić. Ale wiedząc, co ich przekona, umiałam dobrze prowadzić interesy. Kiedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że potrafię czytać w cudzych myślach, chciałam się przekonać, czy to rzeczywiście prawda, czy też może mam jakieś urojenia. Nie było to łatwe, bo

nie opanowałam jeszcze zbyt dobrze tej sztuki, ale w końcu mi się udało! Jay, ja naprawdę potrafię...

Obejmując ją myślał: Ann jest telepatką. Jest jedną z tych, którzy potrafią umysłem sięgnąć do gwiazd.

- Kim my jesteśmy, Jay? - spytała Ann. - Powiedz mi.

Telefon przeraźliwie zaskrzeczał domagając się odebrania.

- Potem ci to wyjaśnię - obiecał Vickers. - W każdym razie sytuacja nie jest aż tak tragiczna. Pod pewnymi względami jest nawet niezłe. Wróciłem, bo zrozumiałem, że cię kocham, Ann. Chciałem uciec, ale nie mogłem. Przecież nie można...

- Można. - Nie dała mu dokończyć. - Och, Jay, można i trzeba. Modliłam się, żebyś do mnie wrócił. Kiedy zorientowałam się, że coś jest nie tak, przestraszyłam się, że już cię nigdy nie ujrzę... Że może nie będziesz mógł do mnie wrócić, że stało ci się coś złego. Modliłam się ze wszystkich sił, ale czułam się jak hipokrytka, bo nigdy dotąd nie zwracałam się do Boga...

Dzwonek telefonu bezustannie zrzędził.

- Telefon - zauważyła wreszcie.

Pozwolił jej usiąść przy biurku i podnieść słuchawkę. Rozglądał się po pokoju i usiłował spojrzeć na wszystko przez pryzmat własnych wspomnień.

- To do ciebie - stwierdziła Ann.

- Do mnie?

- Tak. Czy ktoś wiedział, że masz do mnie przyjść? Pokręcił głową i podszedł do telefonu. Wziął słuchawkę, ważył ją w dłoni i zastanawiał się, kto i dlaczego do niego dzwoni.

Nagle zorientował się, że czegoś się boi. Czuł, jak po skórze spływa mu pot.

Był pewien, że po drugiej stronie słuchawki może być tylko jedna osoba.

- Tu Neandertalczyk, Vickers.

- Ten z maczugą? - spytał Vickers.

- Z maczugą i całą resztą - odparł Crawford. - Musimy pogadać.

- W twoim biurze?

- Na zewnątrz czeka taksówka.

Vickers zaśmiał się, a jego śmiech zabrzmiał bardziej szyderczo, niż tego oczekiwał.

- Od jak dawna wiecie, gdzie jestem?

Crawford zachichotał.

- Od kiedy wyjechałeś z Chicago. Nasze analizatory są wszędzie.

- I co? Dobrze im idzie?

- Od czasu do czasu łapią jakiś sygnał.

- Nadal jesteś tak pewien swojej broni?

- Jasne. Ale...

- Nie masz się czego obawiać, przecież rozmawiasz z przyjacielem - uspokoił go Vickers.

- Musimy pomówić, i to natychmiast. Przyjeżdżaj jak najszybciej.

W tym momencie Crawford rozłączył się. Vickers odłożył słuchawkę i przez chwilę stał w bezruchu.

- To Crawford - powiedział do Ann. - Chce się ze mną widzieć.

- Czy wszystko w porządku, Jay?

- Tak.

- Ale wrócisz?

- Obiecuję.

- Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

- Teraz już wiem.

48

CRAWFORD POSZEDŁ DO FOTEŁA stojącego za biurkiem. Vickers ze zdziwieniem stwierdził, że jest to ten sam fotel, w którym siedział parę tygodni temu, kiedy przyszli do niego z Ann.

- Miło cię znów widzieć - zaczął Crawford.

- Chyba wszystko idzie po waszej myśli - zauważył Vickers - bo widzę, że jesteś bardziej uprzejmy, niż kiedy widzieliśmy się ostatnio.

- Zawsze jestem uprzejmy. Czasami jestem zdenerwowany lub przestraszony, ale zawsze uprzejmy.

- Nie zgarnęliście Ann Carter.

Crawford potrząsnął głową.

- Nie musieliśmy. W każdym razie jeszcze nie w tej chwili.

- Ale obserwowaliście ją?

- Obserwowaliśmy was wszystkich. To znaczy tych niewielu, którzy zostali.

- Przecież jeśli tylko chcemy, możemy zniknąć.

- Nie wątpię - przytaknął Crawford - ale mimo to nie znikacie. - Przyznam ci się jednak, że gdybym ja był mutantem, natychmiast bym się stąd zabrał.

- Bo cię pokonaliśmy, i dobrze o tym wiesz - rzekł Vickers. Chciałby choćby w połowie tak mocno wierzyć w swoje słowa, jak to zabrzmiało.

- W każdej chwili gotowi jesteśmy rozpocząć wojnę. Wystarczy skinąć

palcem, a zacznie się strzelanina.

- Ale się nie zacznie.

- Pogrywacie za ostro. Tym razem już przesadziliście. Musimy to zrobić...

Zmuszacie nas do podjęcia ostatecznych kroków.

- Chodzi ci przypadkiem o sprawę innego świata?

- Zgadza się - potwierdził Crawford.

Siedział i patrzył na Vickersa swymi bladoniebieskimi oczyma zatopionymi w grubej warstwie tłuszczu.

- Co w takim razie mamy zrobić? - spytał. - Stać bezczynnie i przyglądać się, jak nas niszcycie? Zaczęliście sprzedawać swoje produkty, ale was powstrzymaliśmy, przyznaję, że w dość brutalny sposób. Ale wy dalej swoje.

Raz wam nie wyszło, więc wpadliście na nowy pomysł: religię, fanatyzm rodem z parkowej ławki czy jak to tam nazywacie.

- Głoszenie prawdy - odparł Vickers.

- Jak go zwał, tak go zwał, w każdym razie działa. I to aż za dobrze. Żeby was powstrzymać, trzeba będzie rozpocząć wojnę.

- Chcesz powiedzieć, że prowadzimy działalność wywrotową.

- Bez wątpienia - zgodził się Crawford. - Już po paru dniach widać było pierwsze efekty, ludzie zaczęli zwalniać się z pracy, opuszczając swe domy, wyrzucać pieniądze. Mówili, że ubóstwo to klucz do innego świata. Co za numer chcecie nam tym razem wykręcić?

- I co dzieje się z tymi ludźmi? Z tymi, którzy rzucają pracę i rozdają swoje pieniądze? Sprawdzaliście to?

Crawford pochylił się w fotelu.

- To nas właśnie najbardziej przeraża. Oni znikli, zanim zdążyliśmy z nimi porozmawiać. Po prostu znikli.

- Przeszli do innego świata - poprawił go Vickers.

- Nie wiem, gdzie przeszli, ale wiem, co się stanie, jak tak dalej pójdzie.

Opuszczą nas nasi pracownicy. Jeden po drugim zaczną odchodzić, z początku pojedynczo, potem masowo.

- Jeśli chcecie z tego powodu rozpocząć wojnę, nie wróżę wam wielkich sukcesów.

- W każdym razie nie pozwolimy wam na to - zapewnił go Crawford. - W jakiś sposób was powstrzymamy.

Vickers wstał i pochylił się nad biurkiem.

- Jesteś skończony, Crawford. To my was powstrzymamy. Nie zapominaj o tym, że to my...

- Siadaj - warknął Crawford.

Vickers przez chwilę mu się przyglądał, a potem powoli opadł na krzesło.

- Jest jeszcze jedna sprawa - ciągnął Crawford. - Mówiłem ci, że w tym pokoju są analizatory. Ale one są nie tylko w tym pokoju. Są wszędzie. Na

dworcach

kolejowych,

przystankach

autobusowych,

w

hotelach,

restauracjach...

- Tak myślałem. W ten sposób udało wam się mnie odnaleźć.
- Ostrzegałem cię. Nie możesz nami pogardzać tylko dlatego, że nadal chcemy być ludźmi. Posiadając władzę nad przemysłem światowym można dokonać wielu rzeczy, i to w bardzo krótkim czasie.
- Przechytrzyliście samych siebie - stwierdził Vickers. Dzięki analizatorom dowiedzieliście się wielu rzeczy, o których wolelibyście nie wiedzieć.
- Na przykład?
- Na przykład tego, że wielu przemysłowców, bankierów i innych działających w waszej organizacji jest mutantami, z którymi walczyacie.
- To prawda. Swoją drogą mógłbyś mi wyjaśnić, w jaki sposób udało wam się ich przemyć?
- Wcale nie musieliśmy ich przemycać, Crawford.
- Nie musieliście...
- Zaczniemy od początku - rzekł Vickers. - Powiedz mi, kim jest mutant?
- Cóż, to taki niby zwykły człowiek posiadający pewne dodatkowe uzdolnienia. Rozumiejący rzeczy, których reszta z nas nigdy nie będzie w stanie pojąć.
- Przyjmijmy więc teraz, że jakiś człowiek jest mutantem, ale nie będąc tego świadom, uważa siebie za zwykłego człowieka. I co się z nim stanie? Niezależnie od tego, czy jest doktorem, prawnikiem, żebrakiem albo złodziejem, dotrze na sam szczyt. Stanie się cenionym lekarzem, wygrywającym wszystkie sprawy adwokatem czy też poczytnym pisarzem. Może nawet zostać przemysłowcem albo bankierem.
- Z twarzy Crawforda patrzyło na niego dwoje niebieskich, szeroko otwartych

oczu.

- I ty osobiście - ciągnął Vickers - prowadzisz jedną z najbardziej uzdolnionych grup mutantów na Ziemi. Ludzi, których nie mogliśmy zwerbować, gdyż byli za bardzo związani z tym światem. I co ty na to, Crawford?

- Nic. Na pewno im o tym nie powiem.

- Ale ja to zrobię.

- Na pewno nie - odrzekł Crawford stanowczo. - Należysz już do historii. Jak ci się zdaje, w jaki sposób udało ci się tak długo pozostać na wolności mimo pracy wszechobecnych analizatorów? Otóż tylko dlatego, że ja ci na to pozwoliłem.

- Myślałeś pewnie, że uda ci się ubić interes.

- Może i tak. Ale już tak nie myślę. Kiedyś byłeś dla nas cenny. Teraz jesteś już tylko niebezpieczny.

- Czy to ma być ostrzeżenie?

- Sam znasz odpowiedź. Żegnaj, Vickers: Miło było cię poznać.

Vickers podniósł się z krzesła.

- Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy.

- Śmiem wątpić - powiedział Crawford.

49

ZJEŹDŹAJĄC NA DÓŁ WINDĄ. Vickers gorączkowo rozmyślał.

Rozesłanie informacji, że przestał być pod ochroną, że każdy może go ustrzelić jak kaczkę, zajmie Crawfordowi jakieś pół godziny.

Gdyby chodziło tylko o niego, sprawa byłaby prosta. Ale jest jeszcze Ann.

Niewątpliwie i ona stanie się łatwym celem, bo kości zostały już rzucone, a Crawford nie był przecież człowiekiem, który marnuje czas.

Musiał odnaleźć Ann. Odnaleźć i powiedzieć jej prawdę nie dopuszczając do tego, by zadawała zbyt wiele pytań.

Na parterze wysiadł z windy razem z innymi pasażerami. Zauważył, że windziarz wyszedł za nimi i ruszył w kierunku najbliższej budki telefonicznej. Pewnie mnie szpieguje, pomyślał. Najprawdopodobniej w windzie znajdował się analizator, który w jakiś znany tylko windziarzowi sposób zasygnalizował jego obecność. Crawford powiedział, że analizatory są wszędzie, na dworcach, przystankach i w restauracjach - wszędzie.

Jak tylko analizator rozpoznał mutanta, wszczynął alarm zrywający na nogi specjalny oddział, który miał go odnaleźć i wyeliminować. Może istniały też analizatory przenośne lub były inne sposoby rozpoznania mutantów. W każdym razie, gdy tylko go wytropią, gra jest skończona.

Skończona, bo mutant nie jest niczego świadom. Nic nie ostrzega go przed nadchodzącą śmiercią. Gdyby tylko miał jakąś szansę, chwilę czasu na zastanowienie, znikłby, tak jak zniknęła większość mutantów, kiedy ludzie Crawforda szukali właścicieli firm produkujących wieczne towary.

Jak Crawford to ujął? "Dzwonisz do drzwi i czekasz. Siedzisz w pokoju i czekasz."

Teraz jednak nikt już nie dzwonił do drzwi.

Teraz atakowali z ukrycia, strzelając w plecy. Wiedzieli, kim jesteś i nie miałeś żadnych szans, bo działali bez ostrzeżenia.

W ten sposób zginął Eb i wszyscy inni, gdyż ludzie Crawforda nie dali im

cienia szansy.

Tylko jego, Jaya Vickersa, Ann i może paru innych chwilowo oszczędzono.

Teraz jednak się to zmieni. Jest już tylko jednym z mutantów do odstrzału.

Wszedł na chodnik po drugiej stronie ulicy rozglądając się wokoło.

Może wziąć taksówkę, pomyślał. Nie, lepiej nie, w taksówce może być

analizator. Z drugiej strony jednak, analizatory były wszędzie. Na przykład w

budynku, gdzie mieszkała Ann, bo jak inaczej Crawford mógłby się

dowiedzieć, że był tam Vickers.

W żaden sposób nie uda mu się ukryć przed analizatorami. Nie może się

schować ani zatrzeć za sobą śladów.

Stanął na krawędzi chodnika i przywołał mijającą go właśnie taksówkę.

Samochód zatrzymał się, a Vickers wsiadł i podał taksówkarzowi adres.

Mężczyzna spojrzął na niego zdziwiony.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Vickers. - Nic się panu nie stanie, jeśli

tylko zachowa pan spokój.

Taksówkarz nie odpowiedział.

Vickers usiadł na brzegu siedzenia.

- W porządku, chłopie - rzekł w końcu kierowca. Mnie tam nic do tego.

- To dobrze - odparł Vickers. - Jedźmy już.

Patrzył na budynki, obok których przejeżdżali, cały czas mając na oku

taksówkarza. Ten jednak zachowywał się spokojnie. W pewnej chwili uderzyła

go nagła myśl. A jeśli czekają w mieszkaniu Ann? Jeśli poszli tam

natychmiast, złapali ją, a teraz czekają już tylko na niego?

No cóż, musiał zaryzykować.

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem. Vickers otworzył drzwiczki i wyskoczył na zewnątrz. Taksówka gwałtownie ruszyła i znikła za najbliższym zakrętem.

Vickers podbiegł do drzwi i nie zważając na czekającą windę wbiegł na schody.

Dotarł do mieszkania Ann i nacisnął klamkę, ale gładki metal przesunął mu się pod palcami. Mieszkanie było zamknięte. Zadzwoił do drzwi, ale nikt nie otworzył. Jeszcze kilkakrotnie nacisnął dzwonek, potem przeszedł na drugą stronę korytarza i z rozpędem usiłował staranować drzwi. Poczul, że nieznacznie się poddają, powtórzył operację. Za trzecim razem zamek puścił i drzwi otworzyły się z hukiem.

- Ann! - krzyknął Vickers.

Odpowiedziała mu cisza.

Vickers przebiegł przez wszystkie pokoje, ale nie znalazł w nich żywego ducha.

Wreszcie stanął; czuł, jak spływa po nim zimny pot.

Ann nie było! Pozostało im tak niewiele czasu, a Ann nie było w domu!

Wyskoczył na zewnątrz i zaczął zbiegać po schodach.

Kiedy wyszedł na ulicę, zatrzymały się przed nim trzy samochody, jeden po drugim. Dwa kolejne były w drodze. Z samochodów zaczęli wyskakiwać uzbrojeni mężczyźni.

Chciał się odwrócić i wbiec z powrotem do budynku, ale kiedy wykonał zwrot, wpadł na stojącą za nim osobę. Zauważył, że była to Ann; niosła wypchane zakupami torby. Z jednej z nich wystawała nać selera.

- Jay - rzekła zdumiona Ann - co się dzieje? Kim są ci wszyscy ludzie?

- Szybko! - wydyszał Vickers. - Spróbuj przejrzeć moje myśli, tak jak to robiłaś z innymi.

- Ale...

- Szybko!

Czuł, jak Ann koncentruje się i przenika do jego umysłu.

Coś uderzyło w kamienną ścianę budynku tuż nad ich głowami, po czym odbiło się do góry wydając przy tym dźwięk torturowanego metalu.

- Trzymaj się - powiedział Vickers. - Znikamy stąd.

Zamknął oczy i w myślach zażyczył sobie znaleźć się na drugiej Ziemi. Czuł, jak mózg Ann infiltruje jego myśli. W pewnej chwili pośliznął się i upadł, uderzając głową w coś twardego. Przed oczami ujrzał miliony gwiazd, poczuł ból dłoni i zwałający się na niego ciężar.

Usłyszał, jak wiatr szeleści w drzewach. Otworzył oczy i z radością zauważył, że wkoło nie ma ani jednego budynku.

Leżał na wznak u podnóża szarego, granitowego głazu. Na jego brzuchu znajdowała się torba z zakupami, z której wystawały zielone liście selera.

Vickers usiadł.

- Ann! - zawołał.

- Tu jestem - usłyszał.

- Nic ci się nie stało?

- Fizycznie nic, ale psychicznie zdrowa chyba nie jestem. Możesz mi wyjaśnić, co się stało?

- Spadliśmy z tego głazu - wyjaśnił Vickers.

Wstał i podał jej dłoń pomagając podnieść się z ziemi.

- Z jakiego głazu? Gdzie my w ogóle jesteśmy?

- Jesteśmy na Drugiej Ziemi - odparł Vickers.

Stali tak obok siebie i rozglądali po okolicy. Wkoło widzieli tylko dziką, opuszczoną, zalesioną krainę upstrzoną głazami takimi jak ten, z którego właśnie spadli.

- Drugiej Ziemi - powtórzyła Ann. - Mówisz o tych bzdurach, które opisywali w gazetach?

Vickers przytaknął z marsową miną.

- To nie są bzdury. Ona naprawdę istnieje.

- No cóż, niezależnie od tego, gdzie jesteśmy, przywieźliśmy tu ze sobą obiad

- stwierdziła Ann. - Pomóż mi tylko zebrać zakupy.

Vickers ukląkł i zaczął zbierać ziemniaki, które wysypały się z torby.

Niektóre z nich po upadku rozpadły się na kawałki.

50

TO MUSIAŁ BYĆ MANHATTAN. W każdym razie zanim na tej Ziemi pojawił się człowiek i wybudował swoje na wpół cudowne, na wpół potworne budowle. Był to dawny Manhattan, nieskażony jeszcze cywilizacją.

- Ale musi tu przecież coś być - zawyrokował Vickers. Mutanci musieli zbudować tutaj jakąś sieć dystrybucji towarów, które przesyłane są do Nowego Jorku.

- A jeśli nie? - zapytała Ann.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Lubisz podróże?

- Do Chicago?

- Dalej - odpowiedział. - I to pieszo. Chociaż może uda nam się zbudować tratwę, jeśli tylko dotrzemy do jakiejś rzeki płynącej na zachód.

- Muszą tu przecież być jakieś inne centra mutantów.

- Pewnie i tak, ale możemy nie mieć szczęścia natknąć się na któreś z nich.

Kiwnęła głową.

- To wszystko i tak jest co najmniej dziwne.

- Nie tyle dziwne, co nieoczekiwane - poprawił ją Vickers. - Gdybyśmy mieli więcej czasu, wszystko bym ci wyjaśnił.

- Oni przecież do nas strzelali!

Vickers skinął głową potakująco.

- Nie lubią nas.

- Ale są przecież ludźmi, zupełnie takimi samymi jak my.

- Nie takimi samymi - zaproponował Vickers. - Ale masz rację, są ludźmi. I to jest właśnie cały problem. Bycie człowiekiem w dzisiejszych czasach już nie wystarcza.

Dorzucił parę drew do ogniska, po czym odwrócił się do Ann.

- Chodźmy.

- Co ty, przecież już ciemno.

- Wiem. Ale jeśli na tej wyspie są ludzie, to prędzej czy później zobaczymy jakieś światła. Wystarczy, że wejdziemy na wzgórze. Jeśli nic nie dostrzeżemy, wrócimy do ogniska. Kiedy nadejdzie świt, rozejrzemy się jeszcze raz.

- Wiesz Jay, pod wieloma względami nasza sytuacja przypomina piknik.

- Nie jestem zbyt dobry w rozwiązywaniu zagadek, więc od razu mi powiedz

pod jakimi względami.

- Palimy ognisko, jemy pod gołym niebem i...

**- Jeśli tylko o to chodzi, wiedz, że na pewno nie jesteśmy na pikniku -
przerwał jej Vickers.**

Ruszył na wzgórze, a Ann poszła za nim. Przedzierali się przez zarośla i omijali kamienne głazy. Nocne jastrzębie przeczesywały niebo ponad nimi cichym, dostojnym lotem. Z daleka dochodziło pohukiwanie sowy. Kilka robaczków świętojańskich świeciło w krzakach.

Weszli na wzgórze, które nie było zbyt wysokie, ale za to dość strome, a kiedy doszli na szczyt, zauważyli światła.

- Jest - ucieszył się Vickers. - Domyślałem się, że muszą tu gdzieś być.

- Światła są dosyć daleko. Musimy tam iść na piechotę?

- Może nie.

- To w jaki sposób...

- Jesteś telepatką - przypomniał jej Vickers.

Ann potrząsnęła głową.

- Spróbuj - zachęcał ją Vickers. - Skoncentruj się i spróbuj porozmawiać z kimś tam, na dole.

Przypomniał sobie, jak Flanders bujając się w fotelu na ganku mówił mu, że odległość nie jest dla telepaty żadną przeszkodą, że mila czy rok świetlny nie różnią się od siebie niczym. - Myślisz, że mi się uda?

- Nie wiem - przyznał Vickers - ale nie chcesz chyba iść tam piechotą?

- Wolalabym nie.

Stali w milczeniu, patrząc na małe skupisko światel. Vickers starał się

zorientować, gdzie mniej więcej jest ono umiejscowione. Część została umieszczona w miejscu, gdzie na starej Ziemi było Centrum Rockefellera, inne w Central Parku, a jeszcze inne w zakolu East River. Tutaj jednak wszędzie rosły drzewa i trawa. Nigdzie nie widać było ani kawałka stali czy betonu.

- Jay! - Głos Ann wydawał się czymś podniecony.

- Tak, Ann?

- Chyba mam kogoś.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Ani jedno, ani drugie. To chyba robot. Tak, mówi, że jest robotem. Mówi, że przyśle po nas kogoś... a właściwie coś.

- Ann...

- Mówi, żebyśmy tu czekali. Zaraz tu będą.

- Ann, spytaj, czy potrafią tutaj kręcić filmy.

- Filmy?

- Tak. No wiesz, takie ruchome obrazki. Jak w kinie. Spytaj, czy mają kamery i resztę sprzętu.

- Ale po co...

- Nie dyskutuj, tylko pytaj!

- Ale film?

- Wpadłem na pewien pomysł. Możemy jeszcze wygrać z Crawfordem.

- Jay, nie masz chyba zamiaru tam wracać!

- Właśnie, że mam - powiedział Vickers.

- Jayu Vickersie, na pewno ci na to nie pozwolę!

- Nie możesz mnie powstrzymać - odparł Vickers. Usiądźmy tu i

poczekajmy, aż po nas przyjadą.

Usiedli blisko siebie.

- Opowiem ci pewną historię - zaczął Vickers. - Historię chłopca, który

nazywał się Jay Vickers i będąc bardzo małym... - Tu Vickers nagle zawiesił

głos.

- Mów dalej - zachęciła go.

- Może innym razem. W każdym razie na pewno ci ją opowiem.

- Ale dlaczego nie teraz? Bardzo chciałabym ją usłyszeć.

- Księżyc wschodzi - zauważył Vickers - a to nie czas na snucie opowieści.

Najpierw próbował zamknąć przed nią swój umysł, wznieść barierę, której

jej nie wyćwiczone zmysły nie byłyby w stanie pokonać. Dopiero wtedy zaczął

się zastanawiać. Czy mogę jej powiedzieć, że jesteśmy sobie bliżsi, niż się jej

wydaje, że powstaliśmy z jednego istnienia i wejdziemy do tego samego ciała,

nie mogąc kochać się nawzajem.

Oparła się na nim, położyła głowę na jego ramieniu i spojrzała w niebo.

- Wypogadza się - stwierdziła. - Teraz czuję się tu bardziej swojsko. Mimo że

wszystko jest takie dziwne. Nowy świat, nasze zdolności i te straszne

wspomnienia.

Vickers objął ją ramieniem, a Ann odwróciła głowę i pocałowała go szybko i

impulsywnie.

- Będziemy szczęśliwi - rzekła. - Będziemy razem żyć w tym nowym świecie.

- Będziemy szczęśliwi - powtórzył za nią Vickers.

Teraz już widział, że nie może jej nic powiedzieć. Ann pewnie i tak wkrótce

wszystkiego się dowie, ale na pewno nie od niego.

51

VICKERS USŁYSZAŁ W SŁUCHAWCE dziewczęcy głos i spytał Crawforda.

- Pan Crawford jest na konferencji - oznajmiła sekretarka.

- Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Vickers.

- Pan Crawford nie życzy sobie... Czy powiedział pan Vickers? Jay Vickers?

- Zgadza się. Mam dla niego wiadomość.

- Chwileczkę, panie Vickers.

Czekał zastanawiając się, ile czasu mu jeszcze zostało, bo analizator w budce telefonicznej na pewno bił już na alarm. Oddział specjalny jest już pewnie w drodze.

W słuchawce odezwał się głos Crawforda.

- Dzień dobry, Vickers.

- Odwołaj swoje psy gończe - powiedział Vickers. Marnują swój i twój czas.

W głosie Crawforda usłyszał nieskrywany gniew:

- Wydawało mi się, że już ci mówiłem...

- Spokojnie - przerwał mu Vickers. - Nie macie najmniejszej szansy, żeby mnie załatwić. Twoi ludzie nie byli w stanie zastrzelić mnie nawet wtedy, kiedy mieli mnie już na muszce. Jeśli więc nie możesz mnie zabić, lepiej prowadź ze mną negocjacje.

- Negocjacje?

- Tak właśnie powiedziałem.

- Słuchaj Vickers, nie mam zamiaru...

- Ależ masz - przerwał mu znowu Vickers. - Drugi świat wymyka wam się

spod kontroli. Wizjoniści są coraz silniejsi i prędzej czy później wystąpią przeciw wam. Pora więc chyba, żebyśmy pogadali.

- Nie mam takich kompetencji. Jest nade mną paru ludzi, którzy nie dają mi pełnej władzy - odparł Crawford.

- W porządku. Chętnie z nimi porozmawiam - ucieszył się Vickers.

- Vickers, lepiej stąd uciekaj - poradził mu Crawford. Nigdy nie uda ci się ta sztuczka. Nie ważne, co planujesz, i tak ci się nie uda. Nie zdołasz z tego wyjść żywy. Nawet jeśli zrobię wszystko co w mojej mocy, nie zdołam cię uratować, jeśli nadal będziesz tu wracać.

- Idę do ciebie.

- Lubię cię, Vickers. Nie wiem dlaczego, bo nie mam ku temu żadnego powodu...

- Idę do ciebie - powtórzył Vickers.

- Dobra - rozzłościł się Crawford. - I tak jesteś już martwy.

Vickers podniósł torbę z filmem i wyszedł z budki. Winda czekała już na niego, więc ruszył w jej kierunku z ramionami przyciśniętymi do ciała tak, jakby w każdej chwili oczekiwał kulki w plecy.

- Trzecie piętro - powiedział.

Windziarz nie mrugnął nawet okiem. Analizator musiał już dawno poinformować go o obecności mutanta, ale najwyraźniej windziarz miał specjalne instrukcje odnoszące się do pasażerów, którzy jechali na trzecie piętro.

Vickers otworzył drzwi prowadzące do Północnoamerykańskiego Biura Badań, a w holu czekał już na niego Crawford.

- Chodźmy - rzekł krótko Crawford.

Odwrócił się i długim holem pomaszerował przed siebie. Vickers spojrział na zegarek i szybko policzył pozostający mu czas. Nieźle, pomyślał. Wciąż miał w zapasie dwie lub trzy minuty. Na szczęście przekonanie Crawforda nie trwało tak długo, jak tego oczekiwał.

Za dziesięć minut zadzwoni Ann. To, co stanie się w ciągu tych dziesięciu minut, zadecyduje o sukcesie lub porażce.

Crawford zatrzymał się przed drzwiami na końcu holu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Vickers?

Vickers skinął głową.

- Pamiętaj, jeden błąd i... - Tu Crawford syknął znacząco przesuwając palcem po gardle.

- Jasne - upewnił go Vickers.

- Ludzie, którzy tam siedzą, są desperatami. Masz jeszcze czas na ucieczkę.

Nie powiem im, że byłeś tutaj.

- Kończ już to gadanie, Crawford.

- Co tam masz?

- Film dokumentalny. Pomoże mi wytłumaczyć to, co chcę wam przekazać.

Macie tu jakiś projektor?

Crawford skinął głową.

- Mamy projektor, ale bez operatora.

- Poradzę sobie - zapewnił go Vickers.

- Chcesz nam zaproponować interes?

- Raczej jedyne wyjście z sytuacji.

- Dobra, wchodź.

W pokoju zasłonięto kotary, dzięki czemu panował tu lekki półmrok, w którym długi stół z siedzącymi przy nim mężczyznami wydawał się tylko rzędem białych twarzy.

Vickers poszedł za Crawfordem wzdłuż stołu. Jego stopy zapadały się głęboko w puszysty dywan. Przyjrzał się siedzącym przy stole i zauważył, że wielu z nich jest znanymi publicznie osobami.

Po prawej ręce Crawforda siedział bankier oraz mężczyzna, który raz po raz wzywany był do Białego Domu, gdzie powierzano mu bardzo delikatne misje dyplomatyczne. Byli tam również inni, których rozpoznał, jak również tacy, których widział pierwszy raz w życiu. Niektórzy mieli na sobie dziwne szaty świadczące o przynależności do innej kultury.

Oto patrzył na śmietankę Północnoamerykańskiego Biura Badań, mężczyzn, którzy prowadzili zwykłych ludzi do walki przeciw rasie mutantów. Desperatów Crawforda.

- Zdarzyła się dziwna rzecz, panowie - zaczął Crawford. - Rzecz bardzo dziwna. Gościmy dziś u nas mutanta.

W ciszy białe twarze skierowały się na Vickersa, po czym z powrotem na Crawforda, który kontynuował wypowiedź. - Pan Vickers - ciągnął Crawford - jest naszym dawnym znajomym. Zapewne pamiętacie, panowie, że dyskutowaliśmy już o nim. Mieliśmy kiedyś nadzieję, że dzięki niemu uda się rozwiązać problem różnic między dwoma rozgałęzieniami tej samej rasy. Pan Vickers przychodzi dziś do nas z własnej woli i twierdzi, że zna rozwiązanie zaistniałej sytuacji. Nie powiedział mi jednak, na czym rozwiązanie to miałoby

polegać. Przyprorowadziłem go więc bezpośrednio do was. Oczywiście od was zależy, panowie, czy chcecie wysłuchać, co ma do powiedzenia.

- Ależ oczywiście - rzekł jeden z siedzących. - Niech mówi.

Inny dodał:

- Z przyjemnością posłuchamy.

Pozostali przytaknęli skinieniem głowy.

- Oddaję panu głos - rzekł Crawford do Vickersa.

Vickers podszedł do stołu. Na razie idzie całkiem nieźle. Jeśli tylko reszta wypadnie równie pomyślnie, jeśli nie strzelę jakiejś gafy, uda się. Teraz już mogę tylko wygrać albo przegrać, nie ma odwrotu ani gry na zwłokę.

Postawił torbę z filmem na stole, uśmiechnął się i zagaił:

- Nie jest to żadna piekielna broń, panowie. To tylko film, który za waszym pozwoleniem chciałbym zaprezentować.

Nie roześmiali się. Siedzieli tylko i patrzyli na niego, a z ich twarzy nie można było nic wyczytać. Vickers czuł jednak ich mrożącą krew w żyłach nienawiść.

- Chcecie rozpocząć wojnę - kontynuował. - Spotkaliście się tu, by zdecydować, czy należy już przystąpić do ostatecznego starcia...

Białe twarze wydawały się pochylać nad stołem, patrząc w jego kierunku.

Jedna z nich rzekła:

- Jest pan albo bardzo odważny, albo wyjątkowo głupi.

- Przybyłem tu, by zakończyć wojnę, jeszcze zanim się zacznie - wyjaśnił

Vickers.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej jakiś przedmiot, który następnie rzucił

na stół.

- Oto bąk - rzekł Vickers. - Takimi jak ten bawią się dzieci, a w każdym razie kiedyś się bawiły. Chcę wam przez chwilę poopowiadać o bąku.

- O bąku? - zdziwił się ktoś. - Co to za bzdura?

Ale siedzący na prawo od Vickersa bankier rzekł z sentymentem w głosie:

- Sam miałem kiedyś takiego bąka. Niestety już ich nie produkują. Od wielu lat takiego nie widziałem.

Wyciągnął dłoń, wziął bączka i zakręcił nim na stole. Pozostali wyciągnęli szyje, żeby popatrzeć.

Vickers spojrział na zegarek. Nadal mieścił się w czasie. Żeby tylko nic się nie wydarzyło.

- Pamięta pan bąka, Crawford? - spytał Vickers. - Bąka, który był w moim pokoju, kiedy przyszedł pan do mnie.

- Pamiętam - przyznał Crawford.

- Zakręcił nim pan, a on znikł - przypomniał mu Vickers.

- Ale widzę, że wrócił.

- Dlaczego zakręcił pan tym bąkiem?

Crawford nerwowo oblizał usta.

- No... Nie wiem. Może chciałem przywołać dzieciństwo, żeby przez chwilę jeszcze być małym chłopcem.

- Pytał mnie pan wtedy, do czego mi bąk.

- A pan odparł, że służy do przenoszenia się do baśniowej krainy. Wtedy powiedziałem panu, że jeszcze tydzień temu stwierdziłbym, że obydwaj zwariowaliśmy... pan dlatego, że mówi takie rzeczy, a ja, bo pana słucham.

- Ale zanim przyszedłem do pokoju, zakręcił pan bąkiem. Niech mi pan powie, Crawford, dlaczego pan to zrobił?

- Niech pan mówi - popędzał go bankier.

- Cóż - rzekł zmieszany Crawford - właśnie przed chwilą powiedziałem panu dlaczego.

Za Vickersem otworzyły się drzwi. Vickers obrócił się i zauważył sekretarkę, która skinieniem przywoływała Crawforda.

Wszystko idzie zgodnie z planem, pomyślał Vickers. Jak w szwajcarskim zegarku. Dzwoniła Ann. Crawforda wywołano do telefonu. Tak właśnie Vickers to zaplanował, gdyż gdyby Crawford był w pokoju, plan byłby praktycznie niewykonalny.

- Panie Vickers - rzekł bankier - ciekaw jestem, o co właściwie chodzi z tym bączkiem. Jaki jest jego związek z naszą sytuacją?.

- To rodzaj analogii - odparł Vickers. - Istnieją pewne podstawowe różnice pomiędzy zwykłymi ludźmi i mutantami. Za pomocą bąka mogę je panom wytłumaczyć w sposób najprostszy. Zanim jednak to zrobię, chciałbym, aby panowie obejrzeeli film, który przyniosłem. Dopiero wtedy będę w stanie wyjaśnić, o co mi chodzi. Przepraszam na momencik.

Podniósł torbę z filmem ze stołu.

- Ależ proszę bardzo - odrzekł bankier. - Poczekamy.

Vickers cofnął się do schodków prowadzących do pokoju projekcyjnego, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Musiał działać szybko i skutecznie, bo Ann nie będzie mogła zbyt długo zatrzymać Crawforda, a ten lepiej żeby nie wracał przez przynajmniej pięć

minut.

Nalóżył rolkę z filmem na projektor i drżącymi palcami przeciągnął taśmę przez soczewki. Sprawdził, czy wszystko zostało poprawnie przygotowane.

Wyglądało na to, że jest gotów.

Znalazł włącznik i nacisnął go. Z projektora trysnął strumień światła. Na przeciwległej ścianie, po drugiej stronie pokoju konferencyjnego pojawił się wirujący bąk, którego kolorowe paski poruszały się od dołu do góry, po czym znikwały, znów pojawiały się, przesuwały ku górze i znikwały...

Nagrany na taśmie głos rzekł:

- Oto widzicie państwo bąka, prostą zabawkę dziecięcą, za sprawą której ulegamy bardzo ciekawej iluzji...

Vickers sprawdził na własnej skórze, jak bardzo narrator ma rację.

Komputerowi eksperci znaleźli właściwe słowa, poskładali je w odpowiedni sposób, wybrali właściwą intonację, aby nadać im maksimum semantycznej wartości. Słowa miały za zadanie przyciągnąć uwagę publiczności, skupić ją na bąku i utrzymać na kilka sekund.

Vickers cicho zszedł ze schodów i podszedł do drzwi. Jeśli nadejdzie

Crawford, zatrzyma go jeszcze przez parę minut.

Głos z ekranu mówił:

- Jeśli przyjrzycie się dokładnie, zauważycie, że kolorowe paski wydają się przesuwać w kierunku wierzchołka bączka i tam znikają. Dziecko przyglądające się tym paskom zastanawia się często, gdzie też one znikają...

Vickers starał się liczyć sekundy, które ciągnęły się niemiłosiernie powoli.

Głos mówił dalej:

- Przyjrzyjcie się dokładnie... patrzcie uważnie... idą w górę i znikają... idą w górę i znikają... w górę i znikają...

Przy stole nie było już wielu mężczyzn, tylko dwóch lub trzech, którzy byli tak zaabsorbowani obserwowaniem bąka, że nie zauważyli zniknięcia swoich towarzyszy. Może ci dwaj lub trzej pozostaną tutaj. Być może akurat oni są tymi nielicznymi zwykłymi ludźmi wśród mutantów.

Vickers cicho otworzył drzwi i wymknął się z pokoju.

Kiedy zamknął je za sobą, nie słyszał już narratora, który mówił:

- ...idą w górę i znikają... przyjrzyjcie się uważnie... idą w górę...

Crawford szedł właśnie korytarzem przetaczając się ociężale.

Nagle zauważył Vickersa i zatrzymał się.

- Chcesz czegoś? - spytał. - Dlaczego wyszedłeś?

- Chciałem usłyszeć odpowiedź na pytanie - odpowiedział Vickers. - To, na które nie chciałeś odpowiedzieć tam. Dlaczego zakręciłeś bąkiem?

Crawford potrząsnął głową.

- Nie rozumiem, Vickers. Przecież to nie ma sensu. Wiesz, że ja też kiedyś przeniosłem się do krainy z baśni. Zupełnie tak samo jak ty. Jeszcze kiedy byłem małym chłopcem. Przypomniałem sobie po rozmowie z tobą. Może właśnie dlatego, że z tobą porozmawiałem. Przypomniało mi się, że kiedyś siedziałem na podłodze, patrzyłem na bąka i zastanawiałem się, gdzie mogą się podziewać te paski... no wiesz, kiedy podchodzą do góry. Zastanawiałem się, dokąd wędrują i byłem tak zafascynowany, że musiałem chyba za nimi podążyć, bo w pewnym momencie znalazłem się w baśniowej krainie. Było tam mnóstwo kwiatów. Zerwałem jeden z nich, a kiedy wróciłem, nadal

trzymałem go w dłoni. Stąd wiem, że rzeczywiście tam byłem. Panowała wtedy zima i nigdzie nie można było uświadczyc ani jednego kwiatka. Kiedy pokazałem go matce...

- Wystarczy - przerwał mu Vickers pewnym siebie głosem. - To tylko chciałem usłyszeć.

Crawford patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Nie wierzysz mi?

- Wierzę.

- Więc o co ci chodzi, Vickers?

- O nic.

A więc to jednak nie Ann Carter!

Flanders, on i Crawford!... to oni byli tymi trzema istotami obdarzonymi życiem zaczerpniętym z Jaya Vickersa!

A Ann?

Ann nosiła w sobie życie dziewczyny, która chodziła z nim doliną, dziewczyny, którą pamiętał jako Kathleen Preston, a która tak naprawdę nazywała się inaczej. Dlatego właśnie Ann pamiętała dolinę i spacery wiosną z jakimś chłopcem.

Oczywiście Ann, którą znał, mogła być tylko jedną z trzech Ann, tak jak on był jednym z trzech Jayów Vickersów, ale nie miało to większego znaczenia.

Może Ann rzeczywiście nazywała się Ann Carter, tak jak on Jay Vickers. Może oznaczało to, że kiedy ich życia zostaną im w końcu zwrócone, zatrzymają obecną świadomość.

Teraz nie musiał już kryć swego uczucia do Ann, ponieważ była ona inną

osobą, a nie częścią jego samego.

Ann... jego Ann... wróciła na Ziemię, żeby zadzwonić i wywabić Crawforda z pokoju, aby ten nie mógł ostrzec innych przed niebezpieczeństwem, jakie stwarzał kręcący się na ekranie bąk. Teraz jednak wróciła na Drugą Ziemię i nic już jej nie zagrażało.

- Wszystko jest w porządku - powiedział Vickers. W najlepszym porządku.

Wkrótce i on tam wróci, a Ann będzie czekać już na niego. Będą szczęśliwi, tak jak chciała tego Ann, kiedy siedzieli na wzgórzu i czekali na przybycie robotów.

- No cóż - odparł Crawford - w takim razie wracajmy. Vickers zatrzymał go jednak:

- Nie musimy.

- Jak to?

- Twoich przedsiębiorców już tam nie ma - wyjawił mu Vickers. - Są w

innym świecie. Tym, o którym opowiadają wizjoniści na rogach ulic.

Crawford patrzył na niego jak cielę na malowane wrota. W końcu krzyknął:

- Bąk!

- Zgadza się.

- Teraz zaczniemy wszystko od początku - krzyczał Crawford. - Nowy skład.

Nowi...

- Nie masz już czasu - powstrzymał go Vickers. - Ziemia jest skończona.

Ludzie stąd uciekają. Nawet ci, którzy zostaną, nie będą cię słuchać ani tym bardziej walczyć dla ciebie.

- Zabiję cię! - wydarł się Crawford. - Zabiję cię, Vickers!

- Nie zrobisz tego.

Stali twarzą w twarz i patrzyli na siebie w napięciu.

- Rzeczywiście - zgodził się Crawford uspokajając się nieco. - Chyba rzeczywiście nie. Chociaż powinienem. Dlaczego nie mogę cię zabić, Vickers?

Vickers dotknął ramienia Crawforda.

- Chodź, przyjacielu - powiedział. - A może właściwie powinienem nazywać cię bratem?

K O N I E C